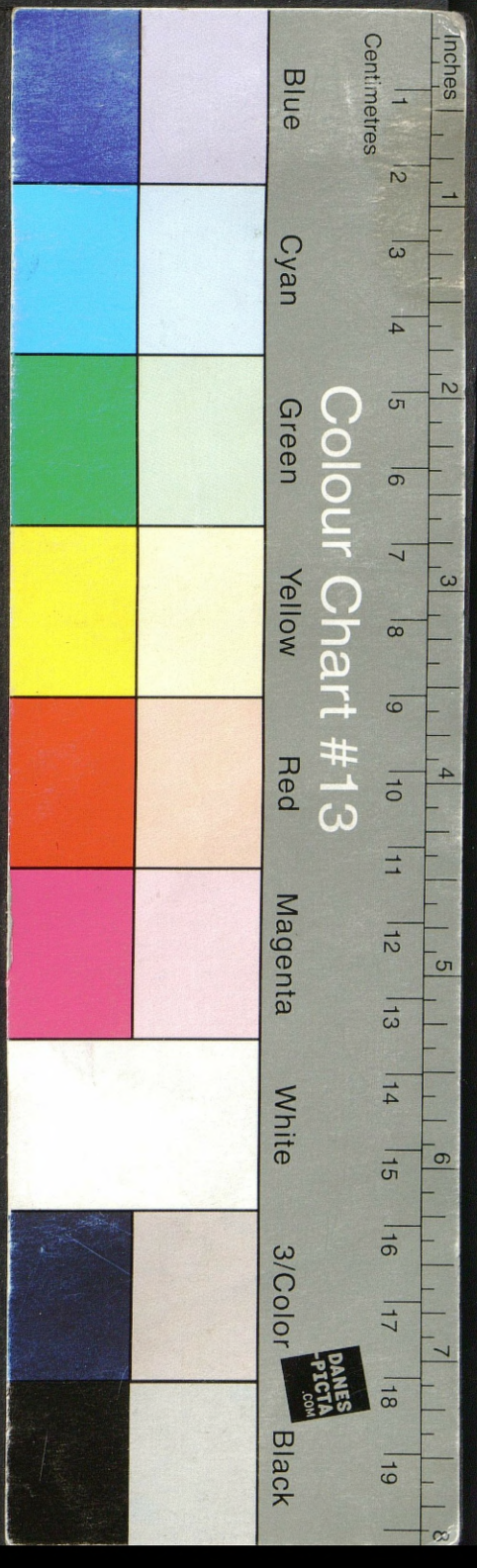


KONRAD ROGÓYSKI

TROSKI ZYGMUNTA STAREGO O BAŁTYK

SZKICE HISTORYCZNE

NAKŁADEM AUTORA
KONRADA ROGÓYSKIEGO WARSZAWA, WIŚNIOWA 44.
1939



dd 91.540

KONRAD ROGÓYSKI

TROSKI ZYGMUNTA STAREGO O BAŁTYK

SZKICE HISTORYCZNE

NAKŁADEM AUTORA
KONRADA ROGÓYSKIEGO WARSZAWA. WIŚNIOWA 44.
1939

jest 120 26 II/2

KONRAD ROGÓYSKI

TROSKI ZYGMUNTA STAREGO O BAŁTYK

SZKICE HISTORYCZNE

NAKŁADEM AUTORA
KONRADA ROGÓYSKIEGO WARSZAWA, WIŚNIOWA 44.
1939

Wiersz o winie Andrzeja Krzyckiego, zacytowany w przekładzie polskim w IV-ej części niniejszej książki, napisany został, tak jak i wszystkie prawie utwory tego poety, po łacinie.

Uczony i poeta Ludwik Hieronim Morstin, z właściwą mu subtelnością i umiłowaniem klasycznego piękna, przełożył wiersz ten na język polski, za co składam mu podziękowanie.

W oryginalnym łacińskim tekście wiersz o winie brzmi:

Vinum bonum et suave
Bonis bonum — gravis grave
Liquor necnon sapor ave
Mundana laetitia!
Ave pulchrum in colore,
Ave flagrans in odore,
Ave sapidum in ore
Dulce linguae vinculum!
Felix venter, quem intrabis
Felix lingua, quam rigabis
Felix os, quod tu lavabis
Et beata labia!

Wierszyk ten, jakkolwiek drobny i krótki, daje miarę talentu i kultury literackiej Krzyckiego. Podziwiać w nim można niezwykłą, jak na owe czasy, melodyjność oraz wdzięk tak treści, jak i formy.

AUTOR

34585/2
im. K. Dzieduszyckich
WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA" W-wa, Sienna 15, tel. 675-93

1947 K. 185/2737
BIBLIOTEKA NARODOWA

I.
W KRAKOWIE.

Ludno i gwarno było na ulicach Krakowa. Uroczystość Hołdu Pruskiego właśnie zakończyła się przed ratuszem. Jeszcze w niektórych kościołach biły dzwony. Jeszcze dźwięczało echo muzyki wojskowej i bębnów. Rżały rumaki towarzyszów pancernych, którzy pełnili straż honorową przy osobie królewskiej na Rynku. Łopotały w powietrzu proporce powracających oddziałów wojskowych. Kołysały się nad głowami ludzkimi barwne sztandary różnych związków i cechów.

Powracające z Rynku tłumy płynęły falą ku Zamkowi Królewskiemu i podmiejskim błoniom, gdzie mieściły się gospody, oberże i namioty dla przyjezdnych.

Sunęły kolasy duchownych i świeckich dygnitarzy. Poprzedzali je pachołkowie na koniach, którzy bądź dowcipem bądź przekleństwem torowali pojazdom drogę wśród powodzi ludzkiej. Swawolna ciżba pieszych musiała co chwila ustępować drogi magnackim orszakom i kawalkadom. Śmiech i trefne słowa rozlegały się raz po raz naokół.

Migały grupy giermków i pachołków dworskich. Chłopy na schwał. Wszystko rosłe, dorodne, a poubierane jak panięta.

Nie brak było kmiotków z bliższych okolic stolicy, a od młodzieży szkolnej i rzemieślniczej roiło się wszędzie.

Delegacje różnych związków, cechy, kupiectwo i przedni mieszczanie zwracali powszechną uwagę godnością postawy i bogactwem szat.

Ciekawość i kwietniowe słońce rozwarły na oścież wszystkie okna górnych pięter, a wyglądające z nich nieśmiało białogłowy, rzucały uśmiechy i kwiaty wybrańcom.

Gród Wawelski rozbrzmiewał życiem i triumfem. W powietrzu unosiła się radość, że wróg odwieczny ukorzył się nareszcie przed wielkim i uwielbianym królem.

Najwięcej jednak zachwytu i ciekawości budziły konne poczty znamienitych rycerzy polskich, którzy z różnych ziem do Krakowa zjechali.

Słońce przeglądało się w ich lśniących zbrojach, jak w zwierciadle, a pozłociste kapy na koniach, barwne płaszcze i kolorowe pióra na szyszakach sprawiały złudzenie dziwacznych bukietów zamorskiego kwiecia, kołysanych wiatrem wiosennym.

Wśród tłumu szli zwolna ku Zamkowi dwaj starsi wiekiem mężowie, rozmawiając półgłosem.

Wyższy z nich miał powierzchowność cudzoziemską i jego wymowa obcym trąciła akcentem. Płaszcz godny z czarnego sukna, futrem z łasic

lamowany, zwisał mu z ramion, a głowę nakrywał czarny beret włoskiego kroju.

Towarzysz jego, z mieszczańska odziany, mówiący czystą gwarą krakowską, wspierał od czasu do czasu ramieniem cudzoziemca i jakby zabiegał o jego względy i życzliwość. Raz w raz niecierpliwie odpychał z drogi wyrostków i strofował ich, aby się pod nogami nie plątali.

— Pięknie i składnie odbyła się dzisiejsza parada — mówił cudzoziemiec. — Przypomniały mi się mediolańskie czasy, kiedy tam rządy sprawował i o wszystko pilnie się troszczył dziadek mojej Miłościwej Pani, Ludwik Moro, książę Sforza.

Dawne to dzieje. Byłem wówczas młodym pachołkiem, pokojowcem księżnej Izabelli, matki Jej Królewskiej Mości. Ale pamiętam jak dziś tamtejsze święta i gody. Co to były za splendory! Co za wspaniałości podczas ceremonii zaślubin księżniczki Bianki Sforza, ciotki naszej królowej, z cesarzem Maksymilianem, którego wówczas przedstawiali w Mediolanie najznakomitsi biskupi i magnaci niemieccy.

A wyjazd małżonki księcia Ludwika Sforza, księżnej Beatrice, ze specjalną ambasadą do Doży Weneckiego?

Widzi mi się zawsze, że piękniejszych chwil w życiu moim nie ujrzę. Ulice Mediolanu wyglądały, jak otwarta szkatuła zbytku i przepychu! Jak sala tronowa najbogatszego pod słońcem zamku! Ślepło się od kolorów i blasków! Tylko naród, który tak odczuwa piękno, jak włosi, który tylu dał światu artystów — może się zdo-

bywać na takie metamorfozy i może w jednej chwili genialnie przeobrażać powszednie życie w takie niezapomniane słoneczne festyny!

Zawsze sobie myślę, żeby Król Jegomość poznał Mediolan, to jeszcze chętniej sprowadzałby do Polski moich ziomków do różnych prac i czynności, które tutaj jeszcze na wykonanie czekają.

Piękny jest wasz kraj. Ludzie zacni i pracowici. Jedno tylko mogę im zarzucić, że nie rozumieją doniosłości handlu, nie imają się kupiectwa i prawie się nim brzydzą. Ale to się musi zmienić z czasem. Polacy muszą się nauczyć tej pracy, muszą ująć w swoje ręce handel i wydoskonalić się w zawodzie kupieckim. Inaczej w Polsce nie będzie nigdy prawdziwego dobrobytu. Piękna i zacna jest praca na roli, ale w dzisiejszych czasach różne inne przemysły i ich rodzimy rozwój stają się nieodzowne w życiu każdego narodu. Po siedmioletnim pobycie pokochałem Polskę jak rodzoną ziemię. Chciałbym tu z wami do śmierci pozostać, ale jednak wierzajcie mi, Lombardia i życie w niej ma inny urok.

Faustino, totumfacki Królowej Bony, głowę opuścił na piersi i jakby odleciał myślą do umiłowanej krainy.

— Achtung! Achtung! Na bok, — rozległy się krzyki. Powstał tumult wśród pieszego tłumu. Nadjeżdżał liczny i bogaty orszak któregoś z komturów krzyżackich. Jeden z ostatnich koni, wystraszony kobiercem, który spadł mu z balkonu na głowę, począł rwać się i wspinać. Ludzie ze strachem usuwali się pod ściany, a krzyżak tak spiął wierzchowca ostrogami, że zwierzę tańczyło jak lalka na zadnich kopytach.

Nieoczekiwanie koń skręcił błyskawicznego młyńca i krzyżak zwalił się na bruk, jak kłoda.

Spoglądano z ukosa na tarapaty jeźdźca, który zaplątał się w zwojach obszernego płaszcza i nogami przebierał w powietrzu.

Posypały się złośliwe uwagi i drwiny. Konia przytrzymano za uzdę, ale nikomu nie było pilno dopomóc niemcowi, który z trudem gramolił się z ziemi.

Włoch uśmiechnął się i szepnął do ucha towarzyszowi, że niebardzo ludność krakowska miłuje gości krzyżackich.

— Trudno zbirów miłować, co od trzech wieków krew naszą toczą, i płacą żelazem i krzywdą za ofiarowaną gościnę — żachnął się polak i pociągnął włocha za ramię do sieni obocznego dużego domu.

— Chyba przeczekamy tu, — rzekł — dopóki nawała pieszych i jezdnych nie opróżni ulicy. W takim ścisku i zgiełku o wypadek nietrudno i boję się, aby waszmość szwanku jakiego nie odniósł.

Sień była czysta i obszerna; przysiedli na murku we framudze i raczyli się tabaką, raz po raz kichając donośnie.

— Podobno goście pruscy jutro jadą do Niepołomic — zagadnął polak — i mają tam być łowy z sokołami na ptactwo?

— Jest taki zamiar, w istocie — odrzekł stary dworak Królowej Bony. — Słyszałem jak ochmistrz dworski wczoraj wydawał polecenia masztalerzom i sokolniczym. Część służby nawet ma dzisiaj wieczór wyjechać z Krakowa; co

się nie pomieści w oficynach niepołomickiego dworu, ma być zakwaterowane w oberży waćpana w Niepołomicach.

— To i mnie trzeba duchem dziś wieczorem wracać, aby dopilnować wszystkiego i w pogotowiu mieć czeladź, w razie jakiegoś rozkazu ze Dworu — odrzekł pan Porajski — właściciel oberży w Niepołomicach.

— Królowa rada będzie, że uroczystość dzisiejsza na rynku odbyła się tak wspaniale — gwarzył włoch dalej, wracając do przerwanej rozmowy. — Wielce się kłopotała Miłościwa Pani, czy aby wszystko będzie po jej myśli, i czy pruscy panowie nie będą sobie trefnować ze zbytniej prostoty dworu wawelskiego i braku ostentacji w ceremonii. Ale wszystko odbyło się tak pięknie, że i na dworze cesarskim w Wiedniu lub Insbruku nie mogłoby być większej parady. Jednego tylko nie mogę wyrozumieć. Miłościwa pani nie jest czegoś rada, że książę Albrecht, po zdjęciu zakonnego płaszcza, pozostaje nadal w Prusach i rządzić tam będzie jako Wassal Królewski? W tych sprawach dworskich to nigdy nie można wszystkiego pojąć. Zawsze są jakieś sekrety! Przy okazji muszę o to zapytać — szepnął Faustino — bo królowa na darmo nigdy się nie frasuje.

— Królowa chce niemcom pokazać Niepołomice i swoje dzianety wierzchowe, z których jest bardzo dumna.

— Nie widziałem w życiu białogłowy, co konia dosiadałaby lepiej, jak nasza królowa. Aż drży z radości, kiedy na swojego siwka siada!

— Król — bo tam niekoniecznie te spacery

lubi i od ostatniego wypadku, kiedy królowa z konia zleciała i nie tylko oczekiwane macierzyństwo przepadło, ale wiele troski i niepokoju było o zdrowie, niechętnym okiem patrzy i na łowy i na konne harce Miłościwej Pani!

— Cóż! kiedy królowa zawsze mówi: „jestem z rodu Sforzów, a wszystkie białogłowy, do tego domu należące, dosiadały rumaków narówni z rycerzami i prawie-że do turnieju stawać były gotowe".

— Juścić prawda! Nie zapomnę nigdy, jak małżonka księcia Ludwika Moro, księżna Beatrice d'Este całymi dniami konno uganiała w okolicach zamku pawijskiego, tropiąc z psiarnią dziki, a często i niedźwiedzie.

— A nieboszczyk ojciec królowej, książę Jan Galeazzo zdrowie na owach zmarnował! A jaki to był myśliwy! Jak umierał, to mu do sypialni musieli przyprowadzić wierzchowego konia i psy gończe, tak bowiem te zwierzęta miłował, że chciał się z nimi pożegnać przed śmiercią. — Brat królowej, co go Ludwik XII, król francuski z Mediolanu porwał i opatem we Francji po niewoli zrobił, na koniu zginął. Spadł podczas polowania i zabił się na miejscu.

— A powiedźcie, Panie Faustino, — zapytał włocha Porajski — czy ten krewniak, co królowa była z nim zaręczona, żyje jeszcze?

— Toć żyje, podobno, ale co to za życie w niewoli? Królowie francuscy domowi Sforzów wielkie krzywdy wyrządzili i bez miłosierdzia dla nich byli. Najpierw Ludwik XII zamęczył w niewoli we Francji księcia Ludwika Moro; ludzie

mówią, że w klatce żelaznej, jak drapieżnego zwierza go więził. Teraz król Franciszek I więzi we Francji syna księcia Ludwika, księcia Maksymiliana Sforzę, właśnie tego, co był zaręczony z naszą królową. Pokarał Pan Bóg ostatnio francuzów, bo słyszał pewno waszmość, że hiszpanie pod Pawią do niewoli wzięli ich króla, Franciszka I, i trzyma go teraz cesarz Karol V w więzieniu w Madrycie. Niech ambitny francuz pokosztuje niewoli i niech sprobuje podpłomyków hiszpańskich z maurytańskim czosnkiem.

Niebardzo Porajski biegły był w historii i, chcąc gawędę na inne tory skierować, zagadnął włocha, czy Jego Królewska Mość przyjmie udział w łowach jutrzejszych w Niepołomicach.

— Widzi mi się, że Król ostanie w Krakowie — odpowiedział włoch. — Dziś rano z Gdańska powrócili posłowie królewscy, Zakrzewski i Opaliński i wieści ponoć niezbyt dobre przywieźli. Herezja się tam szerzy coraz bardziej. Liczba jej zwolenników wciąż się wzmaga. Wypierają z kościołów księży katolickich, a parafie odszczepieńcy zagarniają w swoje ręce. Dla Miłościwego Pana to wielki frasunek. Z posłami rozmawiał dziś pośpiesznie. Jutro ma im dać długie posłuchanie.

Jakoby Rada miejska w Gdańsku przepędzona i pospólstwo chwyciło rządy w swe ręce. Prześladują księży katolickich i zakonników, grabią skarby w kościołach i klasztorach i za nic mają władzę i rozkazy biskupa włocławskiego, do którego diecezji Gdańsk należy. Podobno sklepy na pryncypalnych ulicach pozamykane, gdyż boją

się kupcy rozboju. Ta zawierucha odbija się na handlu gdańskim; wielu kupców ucieka stamtąd w obawie o swoje życie i mienie. Okrętów cudzoziemskich coraz mniej przybija do portu gdańskiego, bo już rozniosło się po świecie, że w grodzie tym niema ani porządku, ani bezpieczeństwa.

— A infamisy te niemce gdańskie są bez miary!

— Biskup Włocławski, Maciej Drzewicki, do diecezji którego Gdańsk należy, wybrał się do Gdańska, aby w sprawy kościelne wejrzeć, i sprawiedliwość komu należy uczynić. Rozejrzawszy się w stosunkach, kazał on największego burzyciela samozwańca-kaznodzieję, wtrącić do lochu pod probostwem Panny Marii, gdzie sam zamieszkał, aby wreszcie sąd jakowy nad nim zrobić. Ale, nie można było do ładu trafić z pospólstwem! Nazajutrz drzwi plebanii zawieszone zostały dziesiątkami zdechłych psów i kotów, a tłum zachowywał się tak groźnie i tak się burzył, że taki dygnitarz kościelny jak biskup Drzewicki musiał nocą sekretnie miasto opuścić, aby do jakiego większego zgorszenia nie doszło. Czy to słyszane rzeczy?

— Mówiono mi, że jutro Panowie Rada mają zebrać się u Króla Jegomości i deliberować o tej zawierusze gdańskiej.

Drzwi z ulicy rozwarły się szeroko i do sieni wszedł właściciel domostwa, otoczony pachołkami i domownikami.

Był to zdawna w Krakowie osiadły Erazmus Horn, niderlandczyk, jeden z najpoważniejszych składników sukna flandryjskiego.

Spostrzegłszy w swojej sieni nieoczekiwanych gości, rozłożył ramiona z radości i wnet począł prosić, aby do świetlicy na lampkę miodu zajść raczyli.

Erazmus znał dobrze tak Faustyna Tranquillo, totumfackiego królowej Bony, jak i Porajskiego, i, jak prawdziwie dobry kupiec, pamiętał, że dzięki ich rekomendacji niejedną sztukę sukna już korzystnie umieścił.

Goście opowiedzieli, jak przypadkiem, pragnąc przeczekać tłok na ulicy i uniknąć nieszczęścia schronili się tutaj, nie przypuszczając, że będą mieli okazję powitać gospodarza.

Zagadali o uroczystości dzisiejszej, która wszystkim była na ustach.

Erazmus, bez przekonania potakiwał Porajskiemu, kiedy tenże pokpiwał z upokorzenia pychy krzyżackiej, i prosił gości dwornie, aby się jaknajwygodniej pod oknem usadowili.

Świetlica była obszerna i piękna. Chociaż Erazmus już parę lat dziesiątków w Krakowie mieszkał i zżył się z ludźmi i miejscowymi obyczajami, w urządzeniu mieszkania swojego jednak zachował tradycje flandryjskie. Izba, rzec by można, była żywcem z Gandawy przeniesiona. Porządek i czystość była taka, jakby mieszkańcy wcale w tej komnacie nie bywali.

Ściany, podłoga, drzwi i okna, pomalowane lśniącą farbą, jakby wczoraj dopiero przez cieśli i malarzy wykończone. Pod ścianami stały rzeźbione z ciemnego dębu ciężkie stoły, zydle i ławy. Pełno wszędzie naczyń i talerzy z mosiądzu

i cyny, a wszystko takie czyste i błyszczące, jakby dopiero co ze sklepu przyniesione.

U sufitu piękny świecznik mosiężny, a w nim kolorowe świece woskowe. Na ścianach wisiały wizerunki protoplastów rodziny. Kobiety w białych karbowanych kryzach i głębokich czepcach, a mężczyźni w wielkich czarnych kapeluszach. Ciężkie zasłony z zielonego sukna okalały okna, a na parapetach kwitły całe klomby tulipanów i hiacyntów, które podówczas rzadkością były w Polsce.

Córka gospodarza, dygając grzecznie gościom, postawiła przed nimi tacę z dzbanem cynowym, pełnym miodu, i kubki misternie z cyny wyrobione.

— Napijemy się polskiego miodu za zdrowie waszmościów — rzekł Erazmus. — Stoi on u mnie w piwnicy już dobrych parę latek. Już to przyznać trzeba, że polacy umieją miody sycić i smak ich jest tak przedni, że dorównać mogą najwytworniejszym likworom holenderskim.

— Co tam na Zamku słychać, panie Faustino? W takich czasach żyjemy, że każdy dzień nowiny przynosi?

— Dzisiejsze nowiny niekoniecznie przyjemne — odparł włoch. — W Gdańsku bunt się szerzy. Handel zamiera. Niby to pod pretekstem wolności religijnej, pospólstwo władzę w swe ręce chwyciło, i chyba Król Jegomość z wojskiem będzie musiał się do tego grodu wybrać, aby buntowników poskromić.

— Tak, tak — w całej Europie świat chrześcijański się burzy — odrzekł Erazmus. Od bra-

BIBLIOTEKA NARODOWA

ta z Gandawy miałem niedawno wiadomości, że i tam nauka Lutra coraz szersze kręgi zatacza i do wszystkich miast niederlandzkich przenika. W Niemczech potworzyły się już nawet koła i ligi, które energicznie troszczą się o organizację nowego kościoła i z Rzymem nie chcą mieć nic wspólnego. Słyszałem, że niektóre miasta w Niemczech zadaleko nawet w reformie poszły i sam Luter teraz jest zatrwożony. We Francji i Szwajcarii podobno także wielu zwolenników nowej nauki się znajduje. Pojawili się tam jakoby uczniowie Lutra, którzy na swój sposób, od luterskiego odrębny, projektują reformę.

— Panie Erazmus — przerwał Porajski — mnie się widzi, że ci ludzie biorą się nie do swoich rzeczy. Religia to sprawa kościelna! Jeżeli zachodzi konieczność pewnych zmian w kościele katolickim, to przecież do tych rzeczy nie cywilni są powołani, — ino Papież i duchowieństwo!

Porajski niebardzo rozumiał istotę tych sporów religijnych, od których wszędzie — nawet w Krakowie było głośno. Atoli, z rozmów zasłyszanych tu i ówdzie, wyrobił sobie taki sąd, że skoro w kościele dzieje się źle, to Papież i inni zwierzchnicy kościoła mają prawo i obowiązek to zło uzdrowić czy usunąć. Ale zasię od tych reform ludziom postronnym.

Obraz pasterza i owczarni był dla niego punktem wyjścia do rozstrzygnięcia tej kwestii i dziwnym mu się wydawało, aby owieczki same miały stanowić dla siebie prawa i kanony kościelne.

Zresztą takie na ogół było przekonanie wśród ówczesnej braci szlachty w Polsce.

Chociaż Porajski, sam będąc pochodzenia szlacheckiego, ze szlachtą mało obcował, uważany był bowiem przez nią, z uwagi na zawód oberżysty, za wykolejeńca, miał jednak licznych krewniaków wśród stanu szlacheckiego. Z uboższymi widywał się od wypadku do wypadku i słyszał od nich, jakiego zdania o ruchu reformacyjnym jest większość szlachecka.

— Duchowieństwo współczesne — odciął z zapalczywością Erazmus — zamiast głosić ewangelię i czyste słowo Boże, myśli tylko o swoich wygodach i ambicjach. Im nie pilno robić reformę w kościele! Księża i dygnitarze kościelni zamiast duszpasterstwem, zajmują się świecką polityką i sprawami, które im korzyści materialne przynoszą. A tymczasem umysł ludzki jest coraz doskonalszy; ludy dążą do wolności myśli, jako swojego przyrodzonego prawa i kościół nie może ich w tym krępować. A waszmościowie sądzicie, że w Polsce ta nowa nauka niema zwolenników? W świecie kupieckim u nas w Krakowie aż wre, zwłaszcza wśród niemców i czechów. Wszyscy więcej oświeceni zdają sobie sprawę, że w kościele katolickim ostatnimi czasy źle się dzieje i wszyscy pragną i oczekują zmiany. Ja tam nie przypuszczam, aby nasz Król Jegomość, którego wielką mądrość, nie tylko Polska, ale cały świat ceni i podnosi, z mieczem poszedł do Gdańska, robić porządek! Samo prześladowanie nowej nauki nie zabije jej i nie przywróci równowagi i spokoju w kościele katolickim!

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

— Zważcie jednak panie Erazmus — odezwał się Faustino Tranquillo, iż żaden król katolicki nie może patrzeć spokojnie na poniewieranie duchownych i kościoła przez tłum cywilny lub gawiedź uliczną!

— Wszyscy monarchowie chrześcijańscy muszą wiernie i gorliwie bronić naszej świętej wiary. Bronili jej przez wieki całe przed turkiem, jedynym dotychczas wrogiem, a teraz muszą jej bronić przed buntownikami, którzy wyszli z łona tego samego kościoła. Jeżeli panujący chcą uchodzić za pomazańców Bożych, to muszą pamiętać, że owo namaszczenie Chrystusowe otrzymali za sprawą Rzymu i papieża. Dlatego każdy książę czy król chrześcijański winien jest papieżowi wierność i posłuszeństwo, a kościołowi katolickiemu obronę.

— A wasz cesarz Karol, czy nie walczy z nową nauką? Ileż to razy już słychać było, że ciężkie kary winnym w takich wypadkach wymierzał, nie tylko w Hiszpanii, ale i u was w Niderlandach!

— Pewno — ciągnął włoch — że sobory powszechne powinny jaknajprędzej zająć się uzdrowieniem tych stosunków, inaczej kościół katolicki straci miliony wyznawców...

— Wiem, wiem, wtrącił z rozdrażnieniem Erazmus, że cesarz Karol probuje stosować w Niderlandach te same sposoby gnębienia nauki Lutra co w Hiszpanii. Już w 1520 roku ogłosił pierwszą z owych barbarzyńskich ustaw, zmierzających do stłumienia nowej wiary karami i śmiercią! Wszystkie te usiłowania były i są daremne.

Nie potrafią ukrócić badawczego ducha moich rodaków i zatrzymać postępu reformacji. Cesarz Karol z każdym rokiem więcej ma wrogów w Niderlandach i grób kopie dla przyszłości swej dynastii w tym kraju. A czy waszmościowie wiecie, czym są Niderlandy dla cesarza? Mówi się o skarbach indyjskich, o złocie amerykańskim, o bogactwach dworu hiszpańskiego, wszystko to bajki i gawędy!

W istocie, handel i praca moich rodaków dostarczały i dostarczają środków na wszystkie ambitne przedsięwzięcia i zachcianki wielkiego cesarza, który w ciągu ostatnich paru lat wyciągnął z mojej ojczyzny 24 miliony dukatów.... Co uchodzi z hiszpanami nie koniecznie ma pasować do ludu niderlandzkiego, który tężyzną, pracą i cnotą wyróżnia się od innych narodów, a w każdej sprawie potrafi miarę zachować. Inkwizycja nie przekona ludzi, przywykłych od wieków do swobody w słowach i czynach!

Waszmościowie zamało jesteście obeznani z dążeniami i zasadami nowej nauki i nie doceniacie znaczenia reformacji dla rozwoju ludzkości. Zobaczycie za lat kilkadziesiąt, jakie wielkie ognisko wiedzy i postępu ta nauka roznieci i jakie szerokie kręgi zatoczy!

Widząc podniecenie gospodarza, włoch skierował zręcznie rozmowę na inne tory; napomknął o wieczornych ucztach na Zamku i o jutrzejszych łowach w Niepołomicach. Wreszcie, po paru minutach, oświadczył uprzejmie: — Czcigodny panie Horn, wypoczęliśmy w waszej pięknej świe-

tlicy, wysączyliśmy do dna dzban wybornego miodu, za gościnność dziękujemy, a teraz pora wracać do obowiązków. — Dzień dzisiejszy zapowiada się bardzo ruchliwie na Zamku.

Porajski podniósł się również i obydwaj goście, pożegnani dwornie i odprowadzeni przez Horna, aż do bramy wiodącej na ulicę — udali się na Wawel.

II.

NA WODACH GDAŃSKICH.

Po upalnym dniu sierpniowym wieczór był niesłychanie parny. Ciężkie, czarne chmury stłoczyły się nad ziemią. W powietrzu była złowroga cisza. Bałtyk robił wrażenie Morza Martwego. Toń morska spała, jak by zaklęta, oczekując bez ruchu i bez szmeru na podmuch wiatru, który by jej życie przywrócił. Klęska suszy i gorąca trwała w Gdańsku już od paru tygodni. Poziom wody w porcie był tak niski, że większe okręty musiały zatrzymywać się na pełnym morzu. O paręset metrów również od latarni morskiej musiała zarzucić kotwicę „Nadzieja Lubeki", która przed paru dniami zawinęła do Gdańska, a nazajutrz — skoro świt, w razie pomyślnych wiatrów, miała odpłynąć z powrotem do rodzinnego miasta nad Trawą.

Statkiem tym powracał do siebie Herman Brömse, jeden z patrycjuszów Wolnego Miasta Lubeki, znany kupiec hanzeatycki, a krewniak obecnego pierwszego burmistrza miasta Gdańska, Filipa Bischoffa.

Ważne sprawy handlowe i konieczność ustalenia pewnych wspólnych punktów programu polityki hanzeatyckiej sprowadziły go do Gdańska.

Pragnąc pogawędzić jeszcze sam na sam z krewniakiem i pożegnać go na pokładzie odjeżdżającego okrętu, jak gościnność nadmorskich krajów wymagała, Bischoff odprowadził Brömsego paradną łodzią, która służyła wyłącznie do użytku gdańskich dygnitarzy miejskich.

Stateczek, zbudowany jeszcze za czasów burmistrza Ferbera, na podobieństwo gondoli weneckiej, obsługiwało przy wiosłach czterech pachołków miejskich w czerwonych kubrakach. Piąty, również barwnie odziany, siedział u steru i jednocześnie pilnował oszklonej kolorowymi szybkami latarni, z której płynęły chwiejne smugi kolorowych świateł.

Pozłocisty, rzeźbiony w formie olbrzymiego alegorycznego ptaka, przedni nos łodzi, złocone rzeźby podtrzymujące baldachim nad wygodnymi, zasłanymi kobiercem ławkami, dobrze odziana i starannie dobrana służba, wszystko świadczyło o zamożności i o zamiłowaniu do przepychu tych, którym łódź służyła.

Muskularne ramiona rosłych knechtów, rekrutowanych z rybaków helskich, sprawnie pracowały przy wiosłach. Łódź mknęła jak strzała i wkrótce podróżni znaleźli się na pokładzie wielkiego okrętu.

Z uwagi na późną porę, nie można było zbytnio przeciągać gawędy. Brömse rozlewnie wyrażał swoją radość, że krewniak jego piastuje tak wysokie i świetne stanowisko w Gdańsku i dodał, że dziadek Bischoffa, porzucając w połowie XV wieku Lubekę i osiedlając się tutaj, miał widocznie przeczucie tych wielkich przeznaczeń i powo-

dzeń, jakie jego i potomków w Gdańsku oczekiwały.

Krewniacy pożegnali się. Po wymianie serdeczności i ostatnich pozdrowień — Bischoff, stąpając zręcznie po sznurowej drabince, wyrzuconej z okrętu, powrócił do paradnej łodzi i dał polecenie wioślarzom, aby zawieźli go do przystani przy Zielonym Moście.

Miał on w pamięci, że z godziny na godzinę oczekiwany był powrót specjalnego kuriera, który pojechał po pisma do Krakowa, i chciał u dyżurującego nocą na ratuszu sekretarza zasięgnąć wiadomości w tej kwestii.

Wieści oczekiwane były z niecierpliwością, bo posłowie gdańscy z podburmistrzem Zimmermanem na czele, wyjechali w ważnej misji już przed kilkunastu dniami do Krakowa. Mieli oni sobie powierzone przedstawienie Rządowi Polskiemu motywów zmian, zaprowadzonych w gdańskiej administracji i stosunkach kościelnych i uzyskanie sankcji królewskiej na obecny stan rzeczy.

Kiedy łódź mijała latarnię morską, zegar na wieży ratuszowej wydzwonił właśnie północ.

Światła w mieście już pogasły. Życie i praca w Gdańsku zaczynała się o świcie, wcześnie więc z wieczora udawali się pracowici gdańszczanie na spoczynek.

Pod wpływem ciszy nocnej i parodniowych rozmów z krewniakiem, wspomnienia snuły się po głowie Bischoffa.

Majaczyła mu w pamięci postać wspomnianego przed chwilą dziada, która rysowała mu się jak przez mgłę w wyobraźni. Był on dzieckiem jesz-

cze, kiedy umarł wielki burmistrz gdański, Filip Bischoff, na pamiątkę którego wnukowi dano to samo imię.

Pamiętał ciężki złoty łańcuch na piersiach, majestatyczny beret, płaszcz futrem bobrowym oszyty, cały bogaty burmistrzowski strój dziada, w którym go podczas różnych uroczystości widywał.

Jako dziecko, kreślił chętnie nieudolne figury ludzkie, w takie właśnie akcesoria przybrane i marzył, aby kiedyś samemu podobny strój przywdziać.

Jak żywe stawały mu w pamięci zabiegi i starania ojca, aby pójść śladami dziada i osiągnąć te same zaszczyty w Radzie Miejskiej.

Wszystkie wysiłki były daremne. Syn Filipa Bischoffa, Walter, był chorowity i słaby. Miał tylko dumę Bischoffów, ale brakowało mu wytrwałości i żelaznej woli rodzica.

Mniemał on, że złoto i sam fakt, iż jest synem wielkiego burmistrza, wystarczy, aby zdobyć najwyższe stanowisko. Tymczasem zjawili się liczni rywale, mocniejsi od niego. Najgłówniejszym był potężny, nienawistny Ferber. Trzeba było ustąpić. Stanowisko ławnika, na którym się Walter Bischoff zatrzymał, dawało tylko dużo goryczy. Przygnębienie i troska żarły nawskroś tego człowieka. Przyplątała się poważna choroba i spowodowała śmierć przedwczesną.

I znów w wyobraźni wnuka, jakby na pociechę, zamajaczyła postać dziada. Pociągająca, a mocna i nieugięta, jak ze śpiżu odlana.

Od ojca słyszał, zresztą i sam Filip Bischoff

nieraz mu opowiadał, jakie różne koleje w życiu przechodził. Zawsze jednak ze wszystkich trudności wychodził zwycięsko. Żona dziada Bischoffa pochodziła z wielkiego możnego rodu, który w Lubece przez długie lata ważną odgrywał rolę. Mężowie z tego rodu, w imieniu Wolnego Miasta Lubeki, owej fortecy Hanzy niemieckiej, prowadzili zwycięskie wojny z Norwegią i Danią. Byli oni również twórcami i założycielami kantorów hanzeatyckich w miastach rosyjskich. Dotarli aż hen do Niżnego Nowogrodu. Stamtąd zwozili do Lubeki okręty pełne wszelkiego dobra. Najbogatszy z nich oddał swoją jedyną córkę Bischoffowi za żonę. Interesy rozwijały się coraz świetniej. Bischoffowi powierzono zarząd kantorów rosyjskich. Młody, przedsiębiorczy Bischoff wybudował w Niżnym Nowogrodzie wielkie magazyny i obwarował je, jak twierdzę. Napełnił je towarami z Zachodu, aby następnie wymieniać towary te na bezcenne futra rosyjskie. Po paru latach pomyślnych przyszła seria klęsk. Pożar w jedną noc zniszczył doszczętnie wspaniale rozpoczęte dzieło. Olbrzymie składy, pełne bogactw, całkowicie spłonęły. Aby pokryć zobowiązania trzeba było ustąpić stryjom żony większość praw do kantorów rosyjskich.

W tym czasie również burza morska zatopiła w pobliżu Królewca okręty teścia, a on sam ze zmartwienia nagle zmarł.

Sytuacja stała się bardzo ciężka.

Onego czasu Wolne Miasto Gdańsk przyciągało wielu kupców hanzeatyckich, z uwagi na specjalne przywileje, jakie nadane zostały temu grodowi przez królów polskich.

Na mocy tak zwanego wieczystego pokoju, zawartego przez króla Kazimierza Jagiellończyka w 1466 roku w Toruniu, z Zakonem Krzyżackim, między innymi miastami pomorskimi, również i Gdańsk zwrócony został Polsce. Już król Kazimierz Jagiellończyk otoczył specjalną opieką handel gdański. Jego następcy gorliwie uprawiali dalej tę samą politykę.

Kupcy korzystali z większych przywilejów w Gdańsku, niż gdziekolwiek indziej w sąsiednich krajach.

Dziadek Bischoff powziął decyzję przesiedlenia się z Lubeki do Gdańska. Wkrótce na handlu zbożem, które w Polsce kupował, zarobił tu wiele pieniędzy. Zaczęła go tentować praca w administracji miejskiej. Rozpoczął jako ławnik. Potem mianowano go rajcą. Niebawem, z uwagi na wybitne zdolności administracyjne, obrany został pierwszym burmistrzem. Ród Bischoffów pozyskał wpływy i znaczenie w Gdańsku. Spokrewnił się z najmożniejszymi domami. Wtedy zaczęła kiełkować owa rywalizacja z rodem Ferberów.

Łódź z pozłocistym ptakiem mijała właśnie oryginalne fasady śpichlerzy gdańskich. Cienie nocy dodawały uroku wymyślnym konturom tych budynków.

Jak zaklęta w kamień kronika, mówiły one o przeszłości, o dziejach i o przedsiębiorczości f e n i c j a n P ó ł n o c y.

Najwyższy i najpiękniejszy z tych gmachów należał do Ferberów. Fortuna jednak kołem się toczy. Potężny burmistrz Ferber naraził się ludowi. Walka stronnictwa ludowego z Ferberem

trwała lat kilka. Nienawiść przeciwko niepopularnemu dygnitarzowi wzmagała się ciągle. Prądy reformacji przyniosły z Niemiec zarzewie walk socjalnych. Na tle nauki Lutra rozwinęła się niezależność i swoboda krytyki. Powstała pochopność do sądzenia ludzi nawet na najwyższych szczeblach stojących. Domagano się reform nie tylko w kościele, ale również w społeczeństwie i w rządzie.

Ferber był faworytem Rządu Polskiego, do którego większość ludności niemieckiej w Gdańsku miała instynktowną, chociaż utajoną, niechęć.

Ferber był także jednym z nielicznych i szczerych obrońców kościoła katolickiego i przeciwstawiał się mężnie reformacji.

W tej atmosferze, walka przeciwko Ferberowi przybierała coraz ostrzejsze formy.

W końcu naczelny burmistrz musiał miasto opuścić; ta dobrowolna banicja miała rzekomo piętno hańby; stronnictwo ludowe żądało od niego rachunków za ostatnie lata gospodarki miejskiej; Ferber rachunków tych nie chciał, czy też nie mógł złożyć; majątek banity bądź skonfiskowano bądź obłożono sekwestrem.

Zdawało się, że gwiazda Ferbera raz na zawsze zagasła!

W Gdańsku krążyły wieści, że burmistrz Ferber zawinił swoją lekkomyślnością i uporem, że sam po części wywołał katastrofę, że był ofiarą fatalnego splotu okoliczności, — ale Bischoff zdawał sobie sprawę doskonale, że równocześnie były i inne czynniki, które zgubę pierwszego burmistrza przyśpieszyły.

Filip Bischofff nie mało się do tego przyczynił. Rodzina Ferberów miała wielu wrogów i wśród patrycjatu gdańskiego. Znany był antagonizm wiekowy między Ferberem i rodziną Feldstete. Liczni przedstawiciele potężnego gdańskiego rodu Feldstete, spokrewnionego z Bischoffami, inspirowani przez Filipa Bischoffa i powodowani uczuciem dawnej waśni i zemsty, potrafili zręcznie wyzyskać niechęć stronnictwa ludowego do Ferbera.

Dolewali oni umiejętnie oliwy do ognia. Wyzyskany został każdy moment dla Ferbera niepomyślny. — Wyciągnięty został na forum publiczne każdy najdrobniejszy — kompromitujący Ferbera szczegół. Akcja była znakomicie przez krewniaków zorganizowana i zakonspirowana. A świetnym jej inicjatorem był sam Bischoff. Wszystkie ataki były ubrane w pozory sprawy publicznej i dobra ogólnego. Nikt się nie domyślał, że na dnie przyczajona tkwiła próżność i żądza władzy ferberowskich rywali.

Wreszcie zgnębiony i skompromitowany Ferber musiał odejść. Majątki jego i interesy zachwiane, grozi mu zupełna ruina. Dumnie sterczące spichlerze stoją puste. Tylko pracowite pająki gdańskie zasnuwają pajęczyną ich gotyckie okna.

Niebawem przywódcy pospólstwa pochwycili władzę w swe ręce. Dali oni nie tylko zupełną folgę samowoli w urządzeniu spraw kościelnych, ale również triumfalnie rozwiązali Radę Miejską. Naznaczyli wszędzie nowych ludzi. Ci ostatni, dzięki umiejętnym zabiegom, wybrali

w początku 1525 roku pierwszym burmistrzem miasta Gdańska Filipa Bischoffa.

Nareszcie nadeszła upragniona chwila. Wnuk objął sukcesję, przekazaną mu bezwiednie przez wielkiego dziada.

Z początku wszystko układało się pomyślnie. Bischoff, wyniesiony na najwyższe stanowisko po spiętrzonych falach namiętności ludzkich, liczył, że w zespole Rady, jaki się przygodnie wytworzył, będzie panował samowładnie, że poprowadzi grę, która mu pozwoli opanować sytuację i zapewni na długo władzę i korzyści.

Tymczasem stronnictwo ludowe wniosło skargę do Rządu Polskiego przeciwko banicie Ferberowi. Pomawiano dawnego pierwszego burmistrza o to, że przez swoją samowolę, chciwość i upór o mało nie wywołał w Gdańsku rozruchów.

Król Zygmunt próbował pogodzić zwaśnione strony. Następnie, widząc bezowocność tych zabiegów, począł, przynajmniej tak się pozornie wydawało, życzliwym uchem słuchać głosów oskarżycieli.

Bischoff sądził, że król Zygmunt, znany naogół ze swej powściągliwości w polityce gdańskiej, będzie również przez palce patrzył na wszystkie ostatnie wydarzenia w Gdańsku i w końcu pogodzi się z faktem dokonanym, dając milcząco swoją sankcję, tak reformom kościelnym, jak i zmianom administracyjnym przez stronnictwo ludowe wprowadzonym.

Dotychczasowe zachowanie się króla najzupełniej takie przypuszczenie uzasadniało.

Bischoff również liczył na to, że prąd refor-

matorski miał już cichych zwolenników wśród oświeconych klas w Polsce i, że za pieniądze na dworze krakowskim można będzie znaleźć, tak jak na wszystkich zresztą wówczas dworach europejskich, wpływowych przyjaciół. Jedynie może stanowisko biskupów polskich niepokoiło go zlekka. Ale pocieszał się, że filozofia humanistyczna, wpływowi której ulegali wówczas dygnitarze kościelni w Polsce i obawa z ich strony poważnych powikłań w stosunkach polsko-gdańskich, skłonią duchowieństwo do ugody. Siła faktu dokonanego i przebiegłość w działaniu powinny były zaważyć również na szali i dopomóc gdańszczanom.

Przede wszystkim jednak Bischoff rachował na wieczne zatargi Polski z Zakonem Krzyżackim. W zatargach tych Gdańsk, zmieniając stosownie do okoliczności swoje nastroje i politykę, mógł zawsze zgrywać rolę języczka u wagi i szachować Polskę.

Długo trwająca waśń i wciąż wznawiane kroki wojenne między Królem Zygmuntem i Albrechtem, Wielkim Mistrzem, pomimo pokrewieństwa między stronami (Albrecht był synem Jagiellonki, siostry Zygmunta), nie rokowały rychłego pokojowego załatwienia tych sporów.

Okazało się jednak,że przebiegły burmistrz zawiódł się w swoich rachubach.

W przeciągu kilku pierwszych tygodni wszystko szło po jego myśli i plany jego były bliskie urzeczywistnienia.

Nieoczekiwanie w kwietniu 1525 roku zaskoczył go fakt hołdu pruskiego, jaki odbył się w Krakowie. Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego, Al-

brecht, porzucił płaszcz zakonny, przeistoczył się za zgodą Polski w lennego władcę Prus pod zwierzchnictwem Polski, a między Królem Zygmuntem i Albrechtem nawiązane zostały przyjazne stosunki.

Od tej chwili zmieniło się wszystko. Zaczęły się piętrzyć przeciwności. Zawód po zawodzie spotykał Bischoffa. Pioruny spadały z jasnego nieba.

Stanowisko króla Zygmunta względem zbuntowanych gdańszczan uległo — raptownie — radykalnej zmianie.

Okres pobłażania i cierpliwości skończył się!

Już w maju przyszła decyzja królewska w sprawie burmistrza Ferbera i wypadła całkowicie na korzyść tego ostatniego, nakazując restytucję wszystkich praw byłego burmistrza.

Znów zjawiło się widmo groźnego rywala.

Rząd Polski, po hołdzie pruskim, nie obawiając się już widocznie wojny z Zakonem i Prusami, bez skrupułów przystąpił do dokładnego rozważenia i potępienia wypadków gdańskich.

Napiętnował surowo wszystkie ekscesy. Przysłał szereg bardzo groźnych i kategorycznych edyktów, w których żądał natarczywie i stanowczo przywrócenia pierwotnego stanu rzeczy tak w kościele, jak i w Radzie Miejskiej.

Jaki będzie ostateczny wyrok króla Zygmunta? Co przywiozą posłowie, którzy w tej chwili bawią w Krakowie?

Pozatem były inne jeszcze troski: nastrój wśród niższych klas ludności gdańskiej zaczynał być niepokojący. Po kilkumiesięcznych wybry-

kach i zakosztowaniu władzy, przywódcy ludu zaczęli zdradzać coraz śmielsze i coraz dalej idące zamiary.

Władzę pierwszego burmistrza uznawano tylko formalnie, a za jego plecami zapadały w łonie stronnictwa ludowego coraz radykalniejsze uchwały tak w sprawach kościelnych, jak i politycznych.

Tak np. wydane zostało rozporządzenie, określające nową organizację Rady Miejskiej, przyczem 3/4 reprezentantów miało być z klasy pracującej fizycznie, a 1/4 tylko reprezentantów z innych zawodów. Następnie zaczęto zmieniać prawa i ustawy i zamiast niektórych dotychczasowych statutów wprowadzono przepisy Mojżesza, zawarte w Starym Testamencie. Kaznodzieją w kościele Ś-tej Katarzyny mianowany został szewc pantoflowy, któremu za to wyznaczono pensję, jak urzędnikowi itp.

Rozporządzenia takie wywołały trwogę wśród kupiectwa i klas zamożniejszych. Przekonano się, że lud nie dorósł do zadań, jakie gwałtem chce spełniać. Rozpoczęły się tajemne sesje z udziałem pierwszego burmistrza. Radzono, jak zapaleńców powstrzymać od oczywistych błędów. Wreszcie, nie mogąc znaleźć innych środków zaradczych, postanowiono wysłać do Wittenberga, do Lutra specjalnego delegata, proboszcza od Ś-tej Barbary, z prośbą o przysłanie do Gdańska kaznodziei, którego nauki i wpływ okiełzałyby i uspokoiły rozbestwione pospólstwo.

Luter przysłał pismo. — Zalecał w nim obywatelom gdańskim poszanowanie prawowitej

władzy i ustaw krajowych, nadmienił, że przepisy mojżeszowe są wyłącznie dla żydów, a nie dla „pogan" i wreszcie delegował do Gdańska specjalnego, zaufanego kaznodzieję.

Stosunki jednak poprawie nie uległy i gawiedź dopuszczała się wciąż nowych ekscesów.

Mało tego, w zaufanym gronie stronnictwa ludowego uknuto plan oderwania zupełnie Gdańska od Polski, a wobec przypuszczalnego przyjazdu króla do Gdańska łączono nawet ten plan z przygotowaniami do spisku na życie i osobę króla.

Oczywiście, akcja ta była prowadzona w tajemnicy przed kupiectwem i cechami, które, żyjąc z handlu z Polską, niezawodnie sprzeciwiłyby się tym zamiarom.

Dzięki wrodzonej chytrości i dobrym wywiadowcom, Bischoff wszystkiego był świadom.

Knowania gdańszczan poważnie go niepokoiły.

Rozumiał on, jakie nieobliczalne następstwa dla Gdańska może pociągnąć za sobą próba zerwania stosunków z Polską.

Krwawe ofiary i niewiadomy epilog.

Warunki wikłały się z każdym dniem bardziej. Chciał ratować sytuację, chciał nakazać rozwagę. A przede wszystkim chciał bronić swego obecnego stanowiska, z takim trudem zdobytego.

Zdawał sobie sprawę, że dobre stosunki z Polską utrzymać trzeba za wszelką cenę. Trzeba w Krakowie zbagatelizować wrogi ruch pospólstwa gdańskiego i pozornie winę zwalić na kilku

awanturników z niższych klas. Rzeczy tak przedstawić, aby wszystko, co się stało w Gdańsku, wyglądało nazewnątrz, jako uświęcone ogólną zgodą. Trzeba zdobyć zaufanie króla Zygmunta i magnatów polskich, wyprzeć się wszelkiego wspólnictwa z nową nauką i sprawić, aby polacy uwierzyli, że Bischoff przyjął stanowisko pierwszego burmistrza jedynie dlatego, aby zapobiec tym nieszczęściom, które rządy pospólstwa sprowadzić mogą.

Jednocześnie rozumiał on, że musi wszelkich środków użyć, aby opanować rozszalałą gawiedź gdańską. Narazie mógł tylko grozić zarysowującą się coraz silniej opozycją klas zamożniejszych.

Przypuszczalne, lojalne stanowisko wobec Polski kupiectwa, giełd i cechów, które skupiały w swoich rękach wszystkie bogactwa i sprawy ekonomiczne Gdańska, powinno było uspakajająco podziałać na pospólstwo.

Ale ta polityka była piekielnie trudna. Szarpała nerwy i wyczerpywała siły. Wymagała ciągłego napięcia uwagi! Czujności bez wytchnienia! Z goryczą pomyślał Bischoff o tylko co składanych mu gratulacjach przez Brömsego. Jak wielka przepaść bywa między pozorami i rzeczywistością! Łańcuch burmistrzowski, którego tak pragnął w dziecinnych latach, chwilami jest tak ciężki, jak kajdany skazańca.

W ciemności zarysowały się kontury Zielonego Mostu.

Łódź zbliżała się do przystani. Sternik zręcznym ruchem nakierował jej bok do schodów w ocembrowaniu rzeki ułożonych. Dwaj pachoł-

kowie zwinnie wyskoczyli na pomost, przytrzymali łódź i pomogli wysiąść pierwszemu burmistrzowi.

*

* *

Posłaniec, który jeździł do Polski po pisma, przed godziną powrócił. Przywiózł on pisma oficjalne do Rady Miejskiej od podburmistrza Zimmermana. Prócz tego — list prywatny od tegoż Zimmermana do Bischoffa.

Zimmerman donosił Radzie, że król bardzo dużo czasu sprawie gdańskiej poświęcił. Polecił prymasowi Łaskiemu wygotować szczegółowy raport o wszystkim, co zaszło dotychczas w Gdańsku. Na podstawie tego sprawozdania król zorientuje się w obecnym stanie rzeczy i zajmie należne stanowisko.

Tymczasem posłowie gdańscy mają pozostać w Krakowie i oczekiwać na decyzję królewską.

Król wezwie do Krakowa dla złożenia zeznań członków dawnej Rady Miejskiej, oraz, pod groźbą banicji, przywódców ludowych: Wawrzyńca Bollhagena, Jana Netacka, Joachima Neymana i Jana Schultza.

Bardziej niepokojący był list prywatny. Zimmerman usilnie prosi Bischoffa, aby niezwłocznie przybył do Krakowa i dopomógł w łagodzeniu nastrojów i opinii wśród duchowieństwa polskiego i magnatów. Z królem wypadałoby się również zobaczyć. Podrażnienie w Krakowie jest większe, niż to było oczekiwane. Wydaje się rzeczą pewną, że obecnego stanu rzeczy rząd polski nie za-

aprobuje. Wszystko to grozi poważnymi powikłaniami w stosunkach polsko-gdańskich.

Pismo to ostatecznie przygnębiło Bischoffa. Ponowna podróż do Polski bynajmniej mu się nie uśmiechała. Pamiętał, jakich trzeba było, za ostatnią bytnością w Krakowie w lipcu, używać wybiegów i chytrych argumentów, aby zażegnać burzę, uspokoić obawy i wzbudzić zaufanie do swoich słów. Jakże śmiertelnie męczącą była ta polityka kłamstw, podawanych każdemu z dygnitarzy krakowskich w innej formie.

Przy całej wrodzonej przebiegłości i giętkości, wzdrygał się na samą myśl, że tę rolę linoskoka trzeba będzie znowu powtórzyć.

Pomimo późnej pory sen i zmęczenie odleciało pierwszego burmistrza.

Szedł już ku domowi na spoczynek, ale nawał myśli i nowa troska pędziły go przed siebie, wciąż dalej, w uśpione miasto.

Doszedł do kościoła Św. Katarzyny.

Pod rozłożystymi lipami, które ocieniały cmentarz kościelny, stało parę ławek. Rzucił się na jedną z nich Bischoff, aby rozważyć otrzymane wiadomości i powziąć decyzję.

Czy warto ponosić tyle ofiar, tyle udręki, a wzamian mieć tylko pozory władzy?

W imię czego ma znosić te wszystkie przykrości? jaki obrót rzeczy wezmą? i jaka rola przypadnie mu w wyniku?

Gdzie leży przyczyna tego błędnego koła, które wytworzyło się w stosunkach gdańskich?

Niewątpliwie, jest cały splot czynników i wszystkie wywierają pewien wpływ zazębiając się wzajemnie.

Prawda, że duchowieństwo katolickie zawiniło i nie było w ostatnich dziesiątkach lat na wysokości zadania. Kościół Rzymski nie uwzględniał rozwoju myśli ludzkiej i, zamiast ulepszać organizacje religijne i pilnie kontrolować klasztory, którym powierzył olbrzymią ilość swoich agend, obojętnie patrzył i patrzy na wypaczanie nauki Chrystusa i upadek obyczajów. Zmaterializowanie wyższego duchowieństwa katolickiego było wprost potworne!

Ale czy hasło reform kościelnych w całych Niemczech, a tutaj w Gdańsku i Prusach w szczególności, nie było pretekstem do innej walki, która gotowała się już oddawna i tylko czekała na okazję, aby wybuchnąć?

Tkwił w pamięci Bischoffa ów ponury wieczór niedzielny z 22 Stycznia 1525 roku, kiedy bramy rynku gdańskiego były zatarasowane, a Rada Miejska z garścią zwolenników, prawie, że oblężona przez gawiedź na placu ratuszowym. Rozdrażnienie i nienawiść między ludem i patrycjuszami miejskimi były tak wielkie, że lada chwila oczekiwano rozpoczęcia walki bratobójczej i wzajemnej rzezi.

Ulice miasta były ciemne i puste. Okiennice wszędzie szczelnie zamknięte. Sklepy zabarykadowane. Gdzie niegdzie tylko śpieszyła banda mętów ulicznych z dymiącym łuczywem w ręku. Z chmury dymów i swędów, unoszących się nad tymi przechodniami, wyłaniały się ponure widma jutrzejszych przewrotów, zbrodni i rabunków.

W rezultacie, w żądaniach ludu, które wówczas po długich pertraktacjach przedłożone były

Radzie, przeważały sprawy polityczne i społeczne.

Żądania te były śmiałe i radykalne. Było to załatwienie rachunków między patrycjuszami i plebejuszami. Chociaż sprawy religijne były na drugim planie, aspiracje w tym kierunku szły również po bardzo śmiałej linii. Domagano się zredukowania wszelkich obrzędów do minimum, odrzucenia z religii wszystkiego, co krępuje, jednym słowem zerwania z kościołem katolickim, tak co do istoty, jak i co do formy. Wreszcie żądano stworzenia takiego kultu, który byłby bratem wolnego wszechświatowego handlu.

Kaznodzieja kościelny miał być płatnym urzędnikiem. Funkcje te mógł pełnić każdy rzemieślnik, jeżeli posiadał dar słowa. Pozatem na dnie tych żądań czaił się jeszcze interes materialny, chęć zagrabienia bogactw klasztornych i kościelnych.

Jakie to dziwne, myślał Bischoff, iż narody i szczepy niemieckie, które jedne z pierwszych chrzest przyjęły, które następnie natarczywie, często nawet przemocą i gwałtem — chrzest innym ludom narzucały i które przez wieki całe rzekomo w obronie kościoła walczyły, dzisiaj z taką łatwością i obojętnością od kościoła katolickiego odchodzą... Czyżby chrześcijaństwo w Niemczech było tylko powierzchownym płaszczem, pod którym kryło się zawsze pogaństwo??..

Miałyżby być hasła religijne, przez tyle wieków w Niemczech głoszone, tylko zwykłą obłudą i wyrachowaniem?

Kiedy Bischoff pierwotnie obserwował te

rzekomo reformatorskie prądy w Prusach i Gdańsku, przypuszczał, że ów sceptycyzm religijny, owa łatwość zerwania z Rzymem jest rezultatem wiekowej polityki Zakonu Krzyżackiego na Pomorzu.

Patrzył on przez lata całe, jak rycerze krzyżowi szczepili obłudę, okrucieństwo i wszelkie zbrodnie w tych nieszczęsnych krajach i wpływowi ich przypisywał deprawację pomorskiej ludności.

Ale potem przekonał się, że w rdzennych krajach niemieckich nie działo się lepiej. Wszędzie, zwłaszcza w tak zwanych Górnych Niemczech, nauka Lutra szybko znajdowała posłuch, wszędzie podkreślano jej wygodę i elastyczność. W niektórych miejscowościach rozpasanie gawiedzi było tak potworne, że sam Luter był przerażony. Odnosiło się wrażenie, że w sercach tych ludzi więcej było zawsze wyrachowania i barbarzyńskich namiętności bohaterów z Nibelungów, jak miłości Chrystusa.

Bischoff dużo jeździł po świecie. Interesy handlowe nastręczały okazje do obcowania z różnymi ludźmi. Bywał często w Niemczech, ale znał również dobrze kraje słowiańskie. Uderzał go zawsze kontrast pomiędzy światem duchowym ludów słowiańskich i ludu niemieckiego.

Tej prostoty, mistyki i naiwności w stosunku do wiary katolickiej, jaką spotykał u polskiego kmiotka, nie widział nigdzie w Niemczech.

Tam dominował we wszystkich dziedzinach życia, nie wyłączając spraw religijnych, pierwiastek wyrachowania, interes, pogoń za zyskiem, a przytem okrucieństwo i zdrada!

Za odpowiednie wynagrodzenie w Niemczech można było kupić każdą usługę, każde uczucie!

Knecht niemiecki wynajmował swoje życie i sumienie, aby brać udział nieraz w bratobójczych walkach.

Za wypłacony mu żołd szedł służyć do obcego wojska, aby przy pierwszej okazji znów zdradzać tego, co mu mniej zapłacił.

Książę z panującego domu sprzedawał swoje uczucia i przekonania, aby dostać się na tron obcego mu krwią i duchem państwa, którego ideałów nigdy nie rozumiał, a z jego zadaniami i celami nie miał nic wspólnego.

Zasada, gdzie jest chleb, tam jest ojczyzna, była bez skrupułów głoszona i stosowana przez każdego niemca.

Wzywano tylko do pomocy, zależnie od okoliczności, prawo pięści (Faustrecht), lub prawo rycerstwa rozbojowego (Raubritterthum).

Jeżeli te współczynniki nie wystarczały, to na pogotowiu była zawsze zdrada.

Wielki Mistrz Zakonu Krzyżackiego, Albrecht, margrabia brandenburski, nie mogąc zachować władzy Wielkiego Mistrza, a pragnąc utrzymać ziemie pruskie, zdradza Rzym — i ideały Zakonu Krzyżackiego, w imię których przez lata całe dopuszczał się gwałtów i morderstw, porzuca suknię zakonną, korzy się przed tronem polskim i staje się wyznawcą nauki Lutra i świeckim władcą.

Czy zdrada Judasza nie blednie wobec tego faktu?

A cała działalność Hanzy, czy nie charakte-

ryzuje wymownie bezwzględności i zaborczości niemieckiej? Sama jej nazwa „H a n z a", co znaczy w niemieckiej gwarze „w o j o w n i c z a k u p a", już mówi za siebie.

A zdrada przeciwko Polsce, uknuta ostatnio przez przywódców stronnictwa ludowego w Gdańsku? Czy z punktu widzenia moralności i sprawiedliwości dziejowej można ją zrozumieć i obronić? Czy Gdańsk niesłusznie został Polsce zwrócony? Czy można gród ten nazwać niemieckim? Powstał on na ziemi przez prastare szczepy słowiańskie zamieszkałej. Założony był przez potomków legendarnego księcia polskiego, Lecha. Wieki całe zwierzchnia władza nad tym grodem należała do królów polskich. Okoliczność, że następnie zniemczony został przez rozbójniczą politykę Zakonu Krzyżackiego, że Krzyżactwo, pragnąc pozbyć się za wszelką cenę żywiołu słowiańskiego na całym Pomorzu, a w szczególności w Gdańsku, urządzało zdradzieckie rzezie Kaszubów i Prusów i osiedlało tu kupców i rzemieślników niemieckiego pochodzenia, nie może zmienić rdzennego słowiańskiego charakteru Gdańska. Nie może również być powodem oderwania go od polskiej macierzy.

Tak, ale o tym wszystkim wolno tylko myśleć, lecz nie wolno mówić pierwszemu burmistrzowi miasta Gdańska!

Niestety Bischoff, osobiście, dla tych niepodległościowych haseł gdańszczan obudzić w sobie życzliwości nie może. Widocznie nie pół wieku, ale dużo, dużo wieków trzeba, aby zaistniał taki patriotyzm w sercu przybysza!?

Zresztą, gdyby w Gdańsku były inne stosunki, inni ludzie, to może i ta polityka niepodległościowa byłaby więcej pociągająca, ale w atmosferze chciwości, intryg i obłudy miejsca niema na szczery patriotyzm i bohaterstwo!

Poza tym, czy plan gdańszczan na dalszą metę jest realny?

Czy miasto, położone w tak znacznej odległości, czy to lądem, czy morzem od krajów niemieckich, oddzielone i otoczone naokoło posiadłościami słowiańskimi, przy ujściu największej rzeki polskiej, początek i spławne koryto której w Polsce się znajduje, miasto zależne gospodarczo wyłącznie od Polski, która jest jego zapleczem, nawet przy przewadze ludności niemieckiej, potrafi utrzymać i obronić swoją niepodległość?

Z drugiej strony przyznać trzeba, że Polska nie tylko nie zdradza żadnych wrogich zamiarów w stosunku do rozwoju i wielkich swobód miasta Gdańska, ale przeciwnie wciąż pomnaża jego przywileje.

Stanowczo nie, w walce, która rozgrywa się w tej chwili w Gdańsku, Bischoff nie będzie powolnym narzędziem w rękach ludowej partii niemieckiej, a chłodny rozsądek nakazuje raczej zachować dobre stosunki z Polską.

Stanowisko Bischoffa w tych warunkach jest i będzie jeszcze długo niewdzięczne; praca wyczerpuje go i dlatego chwilami przychodzi zniechęcenie. Jedynie żądza władzy i bogactwa pcha go naprzód.

Ciemne chmury na zachodzie przecięła błyskawica. Zagrzmiało w oddali. Liście lip, jakby

czując zbliżającą się burzę i upragniony deszcz, zaczęły szeleścić. Zegar kościelny wydzwonił godzinę drugą po północy.

Kiedy przebrzmiały w głębokiej ciszy nocnej dwa mocne, długie dźwięki zegara, rozpoczął się śpiew małych, mniejszych i zupełnie drobnych dzwoneczków, tak misternie na wieży zawieszonych, że zespół ich tworzył czarującą i dziwnie kojącą melodię. Była to jakby radosna Hosanna na cześć Stwórcy. Żywiołowa i czysta. Bischoff słuchał zawsze z przyjemnością tego hejnału. Przypomniała mu się legenda, która o dzwonkach Ś-tej Katarzyny w Gdańsku wówczas krążyła.

Podobno, kiedyś przed laty, w Karwi, wiosce rybackiej, położonej niedaleko Gdańska, młode dziewczęta kaszubskie wiosną grabiły siano na łąkach nad morzem.

Nastrój był radosny. Łąki — skąpane w słońcu. Pokosy siana obfite. Od bujnego kwiecia pachnące i barwne. Dziewczęta uwijały się z pośpiechem i bez troski nuciły pieśń nabożną.

Wtórowały im chmary rozświergotanych drozdów. Wesołe ptactwo to gnieździło się w okolicznych krzewach półdzikich, wonnych, białych róż, którymi Karwia słynęła.

Wtem na horyzoncie ukazały się okręty korsarzy skandynawskich. Znani byli oni z tego, że nie tylko dobytek rabowali i niszczyli, ale porywali również młode dziewczęta.

Przerażone kaszubki rzuciły się na kolana i poczęły głośno modlić się i wzywać pomocy Ś-tej Katarzyny, patronki młodych dziewcząt.

W jednej chwili podobno czarne chmury za-

snuły niebo. — Zerwała się burza na morzu. Flotylla korsarska, po daremnej walce z żywiołem, wkrótce zatonęła.

Nazajutrz dziewczęta narwały pełen wóz kwitnących gałęzi różanych, zebrały wśród mieszkańców okolicznych wiosek kilkanaście kup srebrnych groszy i udały się do Gdańska do proboszcza parafii Ś-tej Katarzyny.

Opowiedziały one kapłanowi cudowne zdarzenie, wręczyły mu pieniądze z prośbą o zakupienie kompletu dzwonków wieżowych dla kościoła Ś-tej Katarzyny, jako dziękczynnego votum za ocalenie, a białe róże ze łzami wdzięczności złożyły na stopniach ołtarza swojej patronki.

Jakoby dla tego, mówiła legenda, głosy tych dzwonków są takie piękne, czyste i nie z tego świata.

Bischoff podniósł się z ławki i udał się ku domowi.

Niewątpliwie, gdyby posiadał żywą i niezachwianą wiarę, oraz mocne głębokie zasady, na religii oparte, byłoby mu łatwiej walczyć!

Ale wtedy nie byłoby go na stanowisku pierwszego burmistrza miasta Gdańska!

I znów w wyobraźni zamajaczyła postać dziada. Trzeba wytrwać. Skończyć to, co się rozpoczęło. Droga do władzy jest długa i ciernista. Z połowy tej drogi wracać nie wolno.

Jutro, skoro świt, Bischoff postanowił wyjechać do Krakowa.

III.

NA WAWELU.

Holenderski zegar na kominku wybił godzinę dziewiątą. Królowa Bona uniosła się na łożu i energicznym ruchem pociągnęła za taśmę od dzwonka.

Ciężka kotara, zasłaniająca drzwi do przyległej komnaty, rozsunęła się, i do sypialni wbiegła pokojowa.

— Maryno, odsłoń okna i przygotuj mi żywo strój poranny; niechaj podadzą zaraz śniadanie do przyległej komnaty; potem przywołaj z oficyn Faustino i damę, która dziś służbę pełni w szatni, mam dla nich zlecenia; pośpiesz się tylko, bo dzisiaj kurierzy jadą do Wiednia i w związku z tym jest bardzo wiele do czynienia! Presto! Presto!

Maryna, włoszka, ulubiona służebna królowej, szczupła i zwinna, zawsze milcząca, ubrana jak mniszka, w mig zaniosła rozkazy do kredensu. Po chwili, trzymając na ramieniu cały stos przyborów do stroju, podawała swej pani kolejno różne czepce i krezy z białego, rurkowanego indyjskiego muślinu, a wreszcie zarzuciła jej na ramiona płaszcz fałdzisty z czarnej tafty, lamowany srebrną wstęgą. Nie upłynął jeszcze bowiem okres

żałoby po matce Bony, księżnej Izabelli Aragońskiej, a królowa ściśle przestrzegała etykiety w tym względzie.

Słońce zaglądało przez okna do wielkiej sypialni; zajaśniały w jego promieniach misterne hafty złotogłowia, zdobiącego ściany, ożyły niezliczone arabeski i wzory kobierca perskiego, który zaścielał marmurową posadzkę, i zagrały kolorami tęczy kryształowe świeczniki weneckiej roboty.

Wszystkie pokoje, przeznaczone dla królowej, były przed jej przyjazdem do Polski z gruntu przerobione. Dekoratorzy z Włoch sprowadzeni, pod kierunkiem znakomitego budowniczego florenckiego, Franciszka Lori, pracowali kilka miesięcy. Skromne, prawie klasztorne mury Wawelskiego zamczyska zajaśniały niewidzianym dotychczas w Polsce przepychem i zbytkiem.

Posłowie polscy, po powrocie z Neapolu, gdzie odbyły się zaręczyny królewskie, byli nietylko zachwyceni urodą Bony, lecz również i zdziwieni świetnością otoczenia i wyrafinowaną cywilizacją życia włoskiego.

Podobizna młodocianej oblubienicy, przez posłów przywieziona, przeszła wszystkie oczekiwania Zygmunta.

Powstały obawy, że rezydencje królewskie w Polsce mogą na wytwornej włoszce sprawić wrażenie zbyt skromnych i ubogich.

Pod wpływem tych opowiadań i obaw, król Zygmunt, który już pół wieku przeżył w wielkiej prostocie i umiarkowaniu, zapragnął dostosować przynajmniej część zamku Wawelskiego do zbyt-

kownych upodobań i przyzwyczajeń przyszłej małżonki i nie szczędził niczego, aby wszystkie przygotowania wypadły jaknajwspanialej.

Pomimo to Bona była ze swoich apartamentów na Wawelu niezadowolona! Wciąż skarżyła się królowi, że na innych dworach monarchowie piękniejsze mają otoczenie i umeblowanie; użalała się, iż w tureckich kobiercach, złotymi nićmi przetykanych, zamało jest złota; że zdobiące ściany tkaniny z Arrasu są zbyt proste w rysunku, a barwy w nich zbyt ponure; że król zamało z Włoch sprowadza rzeźb marmurowych i bronzów; że należy dużo jeszcze komnat zamkowych z gruntu przerobić, aby całości nadać wyraz wygody i piękna; i wreszcie, że Polacy na ogół tylko o jadło i napoje dbają, a mieszkań swoich nie chcą i nie umieją przystrajać.

Bona przeszła do przyległej komnaty, gdzie oczekiwało już śniadanie.

Krupki jęczmienne na mleku, których królowa we Włoszech nie znała, a polubiła w Polsce, gorące grzanki z masłem, melon pachnący i parę brzoskwiń z Niepołomickiej cieplarni.

Wszystko podane na ciężkich srebrnych misach, gładkich i lśniących jak zwierciadło, a składnie ustawionych na białym cieniutkim obrusie, suto haftami złotymi przybranym.

Królowa była wstrzemięźliwa w jedzeniu i piciu, zwłaszcza, że po przyjściu na świat Zygmunta Augusta zaczęła tyć i z tą skłonnością stale walczyła.

We drzwiach ukazał się wezwany Faustino Tranquillo. Skłonił się z poufałym, życzliwym

uśmiechem starego sługi, ucałował rękę królowej i w skupieniu słuchał dawanych mu zleceń.

— Niechaj w tej chwili przyjdą do mnie: nadworny medyk i ochmistrzyni królewicza i królewien; potrzebny mi będzie również mistrz Ludwik Aliphio, a następnie szafarz dworski i ogrodnik z Niepołomic, któremu wezwanie wczoraj było już skoro świt posłane.

Faustino oddalił się, a po chwili zameldowano Mistrza Aliphio, sekretarza królowej.

Królowa Bona poleciła mu sporządzenie pisma do kancelarii królewskiej w Wiedniu, aby zwolniono od opłat i formalności celnych transport pachnącego winogradu włoskiego, który wraz z trzema dzianetami ze stada królowej w Neapolu przybyć ma w tych dniach do Wiednia pod opieką dworzan z zamku królowej w Bari.

Należy tylko w piśmie nastawać na pośpiech w załatwieniu sprawy. Powolność przy rewizji i marudzenie urzędników wiedeńskich ubiegłej wiosny naraziły dwór polski na wielką przykrość. Transport pomarańcz (pomma arancia), zaleconych Jego Królewskiej Mości jako lekarstwo przez nadwornego medyka, był tak długo trzymany w Wiedniu w tym roku w marcu, i przybył z takim opóźnieniem do Krakowa, że większość owoców uległa zepsuciu.

Dalej trzeba wygotować pismo do starosty zamku w Bari, które zabierze służba, powracająca z Wiednia do Neapolu. Chodzi o to, aby ogrodnik z Bari przed zimą przysłał transport jarzyn włoskich, których w Polsce hodować nie umieją, i przygotował zawczasu sadzonki i nasiona róż-

nych ulubionych przez królowę roślin ogrodowych do przyszłej wiosennej plantacji. Królowa potrzebuje ich nie tylko do ogrodów w dobrach królewskich po całej Polsce rozrzuconych, ale obiecała te sadzonki różnym panom z Rady, pragnie bowiem, aby w Polsce rozwinął się gust i upodobanie do tych rzeczy, które już dziś znane są jako artykuły włoskie, a nazywane są w Polsce „włoszczyzną".

Ogrodnik z Niepołomic dostarczy za chwilę spis ilości jarzyn na zimę potrzebnych. Razem z jarzynami niechaj starosta z Bari przyśle parę baryłek wina muszkatelowego.

Przez tego samego kuriera królowa pragnie również posłać pismo do stryja swego, panującego obecnie w Mediolanie, księcia Francesco Sforza, w kwestii następującej:

Księżna Izabella Aragońska, matka królowej Bony, opuszczając w roku 1501 Lombardię, pozostawiła na przechowaniu w klasztorze o. o. Dominikanów w Mediolanie część swoich ruchomości.

Między innymi rzeczami był tam marmurowy biust antyczny, naturalnej wielkości, który dziwnym zbiegiem okoliczności tak był zbliżony do rysów Księżnej Izabelli, że mógł być uważany za jej portret. Przedmiot ten, tak ze względu na powyższe, jak i na jego pochodzenie — (ofiarowany był bowiem w prezencie Księżnej Izabelli Aragońskiej przez margrabinę Izabellę Mantuańską, a znaleziony był przypadkiem w Rzymie przez nadwornego malarza mantuańskiego, Andrea Mantegna, który pierwszy to podobieństwo dostrzegł) — stanowi dla królowej Bony niezmiernie cenną pamiątkę.

Wobec tego królowa Bona prosi księcia Francesco Sforzę o polecenie sprawdzenia, czy wśród ruchomości księżnej Izabelli przechował się w klasztorze Dominikanów rzeczony marmur i, w razie twierdzącym, o polecenie wyprawienia go przez jaką pewną okazję do Krakowa.

Jednocześnie królowa prosi o porozumienie się z o. o. Dominikanami, żeby przechowywali nadal u siebie troskliwie resztę rzeczy księżnej Izabelli, aby w odpowiednim momencie królowa polska, jako jedyna sukcesorka, mogła nimi dysponować.

Przede wszystkim jednak mistrz Aliphio musi dowiedzieć się u osobistego sekretarza Króla Jegomości i dać zaraz znać Królowej, czy można będzie dzisiaj przed południem pomówić dłużej z królem w ważnych sprawach.

Zameldowano nadwornego medyka i ochmistrzynię dzieci królewskich. Ochmistrzyni użalała się, że chłody dwóch ostatnich dni, niebywale ostre jak na połowę września, nabawiły królewicza i księżniczkę Annę silnego kaszlu i kataru. Lekarz kazał pozostać królewiczowi przez kilka dni w łóżku. Trzeba już zacząć palić ogień na kominie. Jego Królewska Mość zabronił usługiwać włoskiej służbie w dziecinnych pokojach i przykazał, aby służba była wyłącznie polska; dzieci mają jaknajwięcej po polsku rozmawiać, gdyż obecnie mowa ich jest pełna błędów i słów cudzoziemskich. Pokojowiec, który został w myśl rozkazu królewskiego przysłany do usługi królewicza, bardzo zwinny i dobry chłopiec, syn kmiotka z Niepołomic, ma jakiś defekt w zdrowiu i z nóg

wydziela woń nieprzyjemną, na co królewicz bardzo się uskarża. Czy więc medyk królowej nie dałby mu jakiejś skutecznej na tę chorobę medycyny? Królowa wysłuchała sprawozdania, oznajmiła, że przyjdzie odwiedzić dzieci popołudniu i dłużej z nimi pozostanie, a co do pokojowca, rzekła, kalecząc polską mowę, której nauczyć się nie mogła, „to żadna medycyna nie potrzebna; jeden gorący kąpiel na nogi każdy wieczór i basta! basta!"

Dama z szatni przyszla po rozkazy. Królowa kazała jej podać sobie suknię, która jej ongiś za szatę ślubną służyła. Na bankiecie, przed rokiem, poplamiono ciemnym sosem cały bok. Obecnie trzeba część materiału zmienić, aby królowa mogła szatę tę zabrać ze sobą na uroczystości, jakie projektują się w styczniu w Piotrkowie w związku z ważnym sejmem, jaki się tam wówczas odbędzie. Suknia była niegdyś przepiękna, z atłasu gładkiego, turkusowej barwy, powleczona szczero-złotymi blaszkami misternej roboty, wykonanymi przez mistrzów weneckich. Kosztowała w swoim czasie kilka tysięcy dukatów, szkoda więc, aby leżała bezużytecznie tym bardziej, że niebawem skończy się żałoba królowej i potrzebne będą jasne stroje. Należy wykrajać bryt poplamiony i posłać przez dzisiejszego kuriera wraz z pismem do starosty zamku w Bari, aby kazał jaknajprędzej w Neapolu, skąd atłas pochodził, zrobić potrzebną ilość materiału w tym samym kolorze, i przez najbliższą okazję odesłać.

Powrócił mistrz Aliphio i przyniósł wiadomość, że król będzie cały dzień dzisiaj bardzo za-

jęty; obiadować będzie sam na sam z prymasem Łaskim, a potem przyjeżdżają panowie Rada i Burmistrz Gdański Bischoff na długie rozmowy. Jego Królewska Mość obiecuje koło jedenastej zajść na chwilę do królowej.

Jeszcze raz zjawił się Faustino i oznajmił, że kupiec krakowski, Aleksander Levi, dowiedziawszy się, że dzisiaj wyjeżdża kurier do Wiednia, przyszedł prosić królowę, aby wstawiła się do dworu Wiedeńskiego o zmniejszenie opłat celnych, od różnych, przeznaczonych dla niego towarów, z Mantui i Mediolanu pochodzących i zatrzymanych przez wiedeńską komorę celną.

Faustino tajemniczo nadmienił, że kupiec gotów jest ponieść duże ofiary i poświęcić kilkadziesiąt łokci zielonego ormismu na tle złotym, jeżeli władze celne jego prośbę uwzględnią. Ma on również możność dostarczenia królowej po niebywale niskich cenach większej ilości skórek sobolowych. Królowa pomyślała chwilę i zapytała Faustina, czy można wierzyć obietnicom Leviego, i jakiego tenże w świecie kupieckim zażywa imienia. Włoch życzliwie sprawę popierał i twierdził, że szata z zielonego ormismu pięknie odbijałaby od blond włosów królowej.

Figlarny a zarazem przebiegły uśmiech zaigrał na koralowych ustach Bony. Szybko skreśliła ona parę słów do Ludwika Aliphio, i poleciła, aby Faustino zaprowadził kupca do sekretarza królowej, celem dyskretnego, przezornego i skutecznego załatwienia jego prośby i propozycji.

Maryna wsunęła ostrożnie swoją zakwefioną

głowę do komnaty, i oznajmiła, iż tylko-co był pokojowiec Jego Królewskiej Mości, aby uprzedzić, że Miłościwy Pan już nadchodzi.

Królowa skinęła łaskawie głową Faustino i wyszła na spotkanie małżonka do paradnej sali.

Była to najpiękniejsza komnata w apartamentach Bony.

Ściany były obite jasno-niebieskim adamaszkiem, haftowanym w srebrne kabalistyczne figury. Stoły, stoliki, sekretery, sepety, ławy i krzesła były z hebanu, wykładanego kością słoniową. Tym samym błękitnym adamaszkiem były pokryte również siedzenia krzeseł, foteli i ław.

Na kominie stał zegar w hebanowej oprawie, którą zdobiły arabeski z setek turkusów różnej wielkości.

Szczególną uwagę zwracała przepiękna czara z jednej sztuki szafiru na złotej osadzona nóżce, dar cesarza Maksymiliana.

O tym kosztownym cacku różne legendy i trefne słowa na Wawelu krążyły.

Słynny ze złośliwości i dowcipu biskup przemyski, Andrzej Krzycki, na poufnych ucztach dworskich, kiedy biesiadnicy byli już pod dobrą datą, twierdził tajemniczo, że cesarz Maksymilian, nie chcąc trzymać u siebie czary św. Graala i obawiając się zemsty rycerzy Tafelrundy, oddał ją na przechowanie na Wawel, pod opiekę Smoka Sforzów.

Biada jednak chwili, kiedy rycerze Arthusa odnajdą miejsce, gdzie czara się kryje.

Na tle tej błękietnej komnaty urocza postać Bony, w czarnym płaszczu, zarysowała się jak nieziemskie zjawisko.

— Miłościwy Panie — zawołała Bona po czułym uścisku, jakim ją król przywitał — heretycy gdańscy tak Cię pochłonęli swoimi awanturami, że od kilku tygodni wydaje mi się, iż nie mam małżonka! Król nie obiaduje i nie wieczerza, jak dawniej z Boną, a wciąż narady i obcy ludzie czas mu zabierają! Kiedy to się skończy nareszcie?

Król napawał się pięknością Bony — pieścił wzrokiem jej nadobne kształty, patrzył na przedziwny kontrast złotych włosów z ciemną oprawą czarnych oczu i podziwiał grację, z jaką gestykulowała swoimi małymi, białymi jak z alabastru rękami, robiąc mu wymówki.

Dobrotliwy uśmiech, w miarę jak odpowiadał królowej i zaczynał mówić o wypadkach gdańskich, ustępował miejsca frasunkowi i trosce, które niebawem zasępiły mu czoło.

— Wydarzenia gdańskie — mówił Król — to zwiastun burzy, która zagraża całemu światu chrześcijańskiemu. Dla Polski sprawa ta ma szczególną wagę. To co się tam dzieje od pewnego czasu, nie tylko zabija handel i dobrobyt Polski, ale grozi ponownym oderwaniem się Gdańska od Polski; nie dziw więc, że sprawa ta tyle czasu zabiera i mnie i panom z Rady. Bez swobodnego dostępu do Bałtyku Polska nie będzie mocarstwem. Brak jej będzie oddechu, krwi i pulsu. Gdańsk jest naszym najważniejszym portem morskim. — To złote wrota Polski na Bałtyk, który jest gościńcem naszych dziejów, źródłem potęgi i bogactwa naszego państwa, łącznikiem między Polską i światem. Przynależności Gdańska do Polski musimy bronić i strzec jak źrenicy oka!

— Miłościwy Panie — odrzekła Bona, wysłuchawszy uważnie słów królewskich — jeżeli Polsce tak bardzo do rozwoju i potęgi potrzebne jest morze bałtyckie, to czemu zgodziliśmy się tak łacno na oddanie w lenność ziem pruskich i portów tamtejszych księciu Albrechtowi? Moja krew włoska i mój wrodzony zmysł praktyczny burzyły się wówczas! Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego Polska takie dobrodziejstwo Albrechtowi świadczy? Ani racja stanu, ani logika nie usprawiedliwiała tego aktu szczodrobliwości! Czy nie lepiej było przyłączyć Prusy Wschodnie do Korony Polskiej i dysponować tą ziemią bez ograniczenia?

— Niestety, tylko kosztem przewlekłej i zaciętej wojny z krzyżactwem i książętami niemieckimi — odrzekł Król — można byłoby taki stan rzeczy stworzyć. Tymczasem Polska jest już zanadto wycieńczona wojnami, zanadto potrzebowała i potrzebuje pokoju, aby okrzepnąć gospodarczo, aby ufundować i rozwinąć wielki handel i zaprowadzić ład i postęp w stosunkach wewnętrznych.

A przytem zachodziła jeszcze jedna obawa: ziemie pruskie tak jak i Gdańsk, dzięki zdradzieckiej polityce Zakonu, zostały sztucznie, ale b a r d z o s i l n i e skolonizowane przez ludność niemiecką. Cenny to gospodarczo żywioł. — W pracy bardzo gorliwy, ale nie zna miary w chciwości. Skrupułów moralnych mu brak, a politycznie — bardzo niepewny. Zawsze do zdrady skory na rzecz dawnej ojczyzny. Ztąd niebezpieczeństwo, że nawet w razie powrotu

Prus Wschodnich do Korony, zamieszki i bunty powtarzałyby się tam ustawicznie, a stosunki Polski z Prusami byłyby naogół jeszcze trudniejsze jak ze zniemczonym Gdańskiem. Żadnej życzliwości i lojalności dla państwa, którego formalnie są obywatelami — mówił zadumany, jakby głośno myśląc, Król Zygmunt.

— Może mądrą i stosowaną uporczywie polityką dałoby się wyrobić z czasem w niemcach pruskich i gdańskich zrozumienie i świadomość, że jedynie praca oparta o Polskę, która, z racji swojego położenia geograficznego, jest ich naturalnym opiekunem i sprzymierzeńcem, dałaby im dobrobyt i pożądany rozwój, ale dużo, dużo jeszcze wody wlać musi Wisła do Bałtyku, nim te czasy przyjdą!

— Wartościowi Polacy powinni osiedlać się na wybrzeżu, a zwłaszcza w Gdańsku i ławą tam polskość podtrzymywać!

— Pozatem w ugodzie z Albrechtem odgrywały rolę inne jeszcze, pośrednie, ale głębokie rachuby polityczne. Sądzono, że oddanie Prus w lenne władanie Albrechtowi zada cios ostateczny krzyżactwu w Polsce i wykaże Rzymowi, po jakich błędnych drogach kroczyła polityka papieska w sprawach Zakonu Krzyżackiego z Polską związanych.

— Tymczasem współżycie Polski z władzami gdańskimi nie układa się gładko i nastręcza wciąż kłopotliwe niespodzianki.

— Większość przybyszów z Niemiec, którzy się w Gdańsku osiedlili i za pomocą intryg doszli do władzy i kierowniczych stanowisk, nie tylko

nie poczuwa się do wspólnoty z polską racją stanu, ale faktycznie nie chce być nawet lojalnymi obywatelami miasta Gdańska. To znaczy, że ludzie ci przekładają zawsze swoją osobistą korzyść i własny interes prywatny nad ogólny interes Wolnego Miasta. Można ich porównać z wilkami, gospodarującymi w owczarni. Są to po większej części drapieżni pośrednicy handlowi, uganiający się bez żadnych skrupułów, za zyskiem i złotem. Dochodzą szybko do majątku. — Daje im to władzę, wpływy i zaszczyty. Przykładem swoim zarażają i gorszą zacnych i pracowitych rdzennych gdańszczan, przodkowie których byli założycielami tego grodu. Drapieżnicy ci wyzyskiem i nieprawościami doprowadzają biedną ludność kaszubską do rozpaczy i do takich ekscesów, jakich świadkami jesteśmy ostatnio w Gdańsku.

— Przewrotność i obłuda niemców gdańskich zawsze budziła we mnie obawy i troski, niestety, w wielu wypadkach aż zbyt oczywiście usprawiedliwione.

— Pomny testamentu, głoszonego przez mojego świątłego rodzica, a d u s u m tych synów, którzy na tronie polskim zasiądą, głęboko mam wryte w sercu jego słowa: n i e m a p o t ę ż n e j P o l s k i b e z w ł a d z t w a n a d m o r z a m i!

— Chociaż mój światopogląd morski był już zupełnie ustalony, kiedy brałem berło królewskie do ręki, a w związku z tym miałem już wyrobiony sąd o stosunkach gdańskich, dopiero podczas własnych rządów przekonałem się, ile prawdy i mocy zawierały w sobie prorocze słowa mojego

wielkiego ojca i jak często w życiu najgorętsze pragnienia i wysiłki niweczy splot fatalnych okoliczności.

— Najgłębiej te gorzkie prawdy, a jednocześnie niemoc koronowanego władcy, odczułem w przewlekłej ostatniej wojnie z Moskwą, która jak wiadomo, zakończyła się dla Polski ladajakim rozejmem w 1522 roku.

— Wtedy również nieszczera i samolubna taktyka władz gdańskich w stosunku do Polski dała mi się boleśnie we znaki.

— Gdyby Polska, w czasie owej wojny, miała faktycznie zwierzchnictwo nad Bałtykiem i rozporządzała własnymi okrętami, które byłyby w stanie przeciąć dowóz z Zachodu idących morzem transportów broni i materiałów, przeznaczonych dla Moskwy, a niezbędnych Wasylowi do prowadzenia działań wojennych, to Smoleńsk i różne utracone przez nas kresowe ziemie powróciły byłyby zaraz w pierwszym roku wojny do Polski, a zamiast obecnego rozejmu mielibyśmy pomyślny i pełen chwały pokój. Niestety w skarbie koronnym nie było nigdy dosyć złota, aby rozpocząć budowę własnych okrętów, koniecznych, jako narzędzie polityki morskiej.

— Nolens volens, w toku działań wojennych przeciwko Moskwie, musiałem się uciec do współdziałania okrętów gdańskich. Zażądałem od Rady Miejskiej, aby okręty gdańskie podjęły kontrolę transportów, płynących do portów inflanckich i aby zatrzymywały statki z materiałem wojennym. Pomimo solennych przyrzeczeń, okręty gdańskie nie zaaresztowały ani jednego ładunku broni i amunicji dla Moskwy przeznaczo-

nego, chociaż całe flotylle tych okrętów z materiałem wojennym płynęły z Niemiec i Danii do portów inflanckich. Handlarzy zawsze można przekupić. Posłuch ma u nich ostatecznie ta strona, która większe korzyści ofiaruje. Wówczas, w rozterce co począć, probowałem również systemu kaperskiego. Znaleźli się ochotnicy i wśród Gdańszczan i wśród Polaków! Dostali oni ode mnie żelazne listy i nazwę — m i l i t e s n o s t r i m a r i t i m i *). Wyprawy robili na własnych stateczkach i uwijali się żwawo we wschodniej części Bałtyku. Krwi napsuli Wasylowi sporo, okazali się jednak za słabi, aby wywrzeć większy wpływ na bieg wojny. Dorywczość samej organizacji tych drużyn kaperskich tłumaczy nikłe wyniki dywersji przez kaprów podjętej.

— Próba z kaprami wykazała wówczas w całej pełni przewrotność patrycjuszów gdańskich. Rada gdańska bądź nie umiała, bądź nie chciała okazać mi pomocy i akcja korsarska jej okrętów okazała się zupełnie niedołężna. Natomiast ta sama Rada czyniła potem wszystkie wysiłki, aby moim kaprom pracę obrzydzić i udaremnić! Co za skargi nadchodziły wówczas z Gdańska na kaprów królewskich! Niemcy gdańscy zabraniali im postoju w porcie pod ladajakim pozorem. Wytaczano ciągle pretensje, że kaprowie królewscy nadużywają bandery gdańskiej! Nie uwzględniano dla błahych formalnych powodów żelaznych listów, przez mnie wydanych! Ciągano kaprów bezprawnie przed sądy gdańskie za urojone przewinienia! Nie dopuszcza-

*) Nasi żołnierze morscy.

no ich do miasta, a nawet strzelano do nich, jak do wrogów! Jednym słowem zatargów było bez liku. Jedne sztuczne, lub urojone, inne faktyczne, ale na dnie każdego czaiło się zawsze dążenie Rady Miejskiej do zachowania w swoich rękach prymatu w żegludze bałtyckiej. — Zresztą ciągle jest to samo. — Niemieccy ojcowie miasta Gdańska i dzisiaj również wykrętnie tłomaczą wieczysty pokój toruński i uważają siebie za jedynych gospodarzy bałtyckiego wybrzeża. Brak własnych okrętów po dziś dzień stanowi moją wielką troskę.

— Pocieszam się nadzieją, że może projektowana reforma skarbowo-wojskowa, oparta na powszechnej taksacji dóbr, pozwoli stworzyć skarb centralny i umożliwi wykonanie chociaż cząstki programu morskiego, jaki na moją prośbę został przez prymasa Łaskiego (dotychczas jeszcze zupełnie poufnie) opracowany.

— Zdaje się, — wtrąciła Królowa, — że projekt skarbu centralnego jest bardzo zachwiany. Mówił mi Kmita, że nie umiano pozyskać szlachty dla tej sprawy i większość posłów szlacheckich nosi się z zamiarem obalenia projektu! Czemu jednak Miłościwy Pan nie nakaże w Gdańsku poborów i ofiar na budowę okrętów dla Króla Polskiego? Wolne Miasto, które mianuje się przecież miastem Króla Polskiego, obsypywane ciągle przywilejami i dobrodziejstwami królewskimi, powołane jest w pierwszej linii do pokrycia tych wydatków! Niechaj gdańszczanie zrobią początek i stworzą chociaż nieliczną armadę z paru okrętów dla swojego króla! Na budowę nastę-

pnych okrętów znajdą się zczasem łatwiej pieniądze!

— Nie taki Gdańsk skory do ofiar, jak się głośno przechwala i jak by być powinno — odparł z goryczą Zygmunt. — Zresztą w ostatnich latach niema tam z kim mówić o sprawach finansowych. Bischoff, chociaż jest burmistrzem, ma tak słabe wpływy w sferach, które dzisiaj trzęsą polityką gdańską, że nawet zaczepiać go nie warto. — Dopóki w Gdańsku bunt religijny nie będzie zlikwidowany i nie zapanuje spokój i porządek, niema co marzyć nawet o jakiejkolwiek normalnej współpracy z Radą Miejską.

— Przypadkiem, słyszałam z boku, — odezwała się z pewnym wahaniem Bona, — że sprawa zainteresowania i udziału Gdańska w wydatkach na obronę Państwa Polskiego nigdy dotychczas nie była należycie umotywowana i postawiona. Nigdy nie była jakoby ze słuszną energią i stanowczością gdańszczanom przedłożona.

Jestem słabą niewiastą, ale poszłabym o zakład, że gdybym się wybrała sama do Gdańska z nielicznym tylko orszakiem: Sekretarz mój Aliphio, Faustino Tranquillo, parę dam dworskich i kilkoro służby — przywiozłabym Królowi tyle dukatów, że starczyłoby na kilka okrętów.

— Co to za fantastyczne chimery rodzą się w nadobnej główce mojej małżonki? — siląc się na żartobliwy ton, zawołał Zygmunt. — Mogę sobie wyobrazić zdumienie: Rady Koronnej, dygnitarzy Miasta Gdańska, ościennych państw i całego świata, jak doszłaby do ich wiadomości taka wyprawa królowej polskiej po złote runo! Nie,

nie, ten szalony projekt nigdy nie uzyskałby mojej aprobaty!

— Miłościwy Panie, — odparła Bona, nie zrażona protestem i żartami Króla, — trzeba spojrzeć na stosunki w innych krajach i tam poszukać przykładów i wzorów. Należy poznać skuteczne metody innych władców, stosowane przy ściąganiu od obywateli słusznych na rzecz Państwa i tronu danin!

Czy Miłościwy Pan zdaje sobie sprawę, jakie sumy cesarz Karol V czerpie z Niderlandów? Do żądań swoich niema on ani tytułu politycznego,ani prawnego, mocniejszego, niż prawa Króla Polskiego w Gdańsku?! Żeby nie obecna zawierucha, bunty i mordy uliczne, jutro wybrałabym się do Gdańska. Nie mówiłabym ani z Burmistrzem, ani z Radą Miejską, a zwróciłabym się bezpośrednio do najbogatszych gdańszczan! Ci ludzie, jako kupcy, zrozumieli by mnie po kilku słowach rozmowy i w lot byli by skłonni do ofiar, jakich bym tylko zażądała! Muszę pokonferować w tej sprawie z prymasem Łaskim, jest to jedyny z twoich doradców, Miłościwy Panie, który rozumie życie i nie tylko pisze statuty i akty, ale i do czynu jest zdolny! Obydwaj kanclerze koronni to papierowi działacze! Oni znają tylko jedno morze w Polsce, morze inkaustu, którym zalewają kancelarię królewską i w którym topią przyszłość Polski!

— Niepotrzebnie się Królowa unosi! Tak znów źle nie jest! Dajmy pokój tym historiom, zwłaszcza, że białogłowom trudno je wyrozumieć! Spieszyć muszę teraz na naradę z prymasem Ła-

skim, który opracowuje pewne uchwały, jakie powziąć zamierzam w stosunkach gdańskich. Sprawy te będą długo jeszcze wertowane i rozważane i dopiero wyjaśnią się może na Sejmie Piotrkowskim, dokąd Rada Miasta Gdańska i winowajcy rozruchów będą wezwani. Zaszedłem do komnat Królowej tylko na chwilę, aby dać wyraz, jak miłą mi była dzisiejsza pamięć i intencja Bony pozdrowienia niewidzianego od paru dni małżonka.

— Miłościwy Panie, — rzekła z lekkim zakłopotaniem Bona, — ja pragnęłabym jeszcze o wielu ważnych sprawach pomówić! Dzisiaj wyjeżdża kurier do Wiednia po moje dzianety. Proszę więc o polecenie kancelarii, aby go opatrzono godnie i przygotowano należycie do tej podróży. Kurier musi mieć zbrojną eskortę, bo wieźć będzie z powrotem, doręczoną mu w Wiedniu skrzynię z dukatami, stanowiącymi półroczny dochód z posiadłości włoskich królowej.

— Sen mi z powiek spędza jeszcze jedna sprawa! Troska jest na Twoim czole, Miłościwy Panie, gdy mówisz o Gdańsku i o konieczności dla Polski dostępu do morza, ale w moim sercu jest jeszcze głębsza troska, nieomal rozpacz beznadziejna, kiedy myślę o przyszłości rodu Jagiellonów w Polsce!

— Król niechętnie ze mną w sprawach, dotyczących dynastii rozmawia; wszystkie moje pytania zbywane są zawsze odpowiedzią, że białogłowa tych spraw pojąć i dyskutować nie może.

— Tymczasem coraz jaśniej widzę, że prawa naszego Augusta do tronu są tak wątłe i kru-

che, iż lada fantazja jednego wielmoży grozi ich obaleniem i zniweczeniem! Król działać nie chce, sama więc bronić muszę praw naszego syna! — Uczyniłam ślub świętemu Mikołajowi, patronowi Bari, że ofiaruję mu ten oto krzyż diamentowy, który na piersiach noszę, jeżeli dopomoże mi przekształcić elekcyjną koronę Polską w dziedziczną domu Jagiellonów. Doradzono mi, aby zapewnić Augustowi przedewszystkiem tron litewski, a Wilno ułatwi drogę do Krakowa.

— Odmówiłeś mi, Miłościwy Panie, wszelkiego poparcia w zabiegach, jakie w tej sprawie przy udziale biskupów wileńskich i kanclerza Gasztolda w Wilnie podjęłam. — Pomimo to łaska św. Mikołaja, a może również ofiary i wysiłki z mej strony spowodowały w Radzie litewskiej przygotowanie proklamacji, która ma niebawem uznać prawa naszego jedynaka, jako Wielkiego Księcia Litewskiego; to miało ułatwić rychłą koronację Augusta w Krakowie jeszcze za życia Ojca; wydawało się, że sprawa jest na najlepszej drodze, ale w tych stosunkach niespodzianki nigdy nie są wykluczone!

— Nieoczekiwanie, wczoraj, przyszły z Wilna wiadomości, że klika hetmana Ostrogskiego, który początkowo najbardziej bruździł, ale wreszcie przycichł i udobruchany pogodził się z proklamacją Augusta, znowu się tej proklamacji przeciwstawia!

— Wielmoże litewscy żądają podobno za uznanie praw królewicza, zapewnienia im przez Króla odrębności państwowej Wielkiego Księstwa Litewskiego, a nawet wysuwają dawną myśl Ja-

giełłową i pragną wyniesienia dziedzicznej Litwy na stanowisko Królestwa! Co sądzisz o tym Najjaśniejszy Panie?

— Wielki Boże! Po co królowa w te sprawy się wdaje? Budzi to tylko zgubne fermenty i ambicje w umysłach panów litewskich i wywołuje nowe niesnaski między Litwą i Koroną! Jakież to oburzenie będzie w Radzie Koronnej, jak się dowiedzą o tych żądaniach i planach? Co powie Tomicki i Szydłowiecki, za plecami których prowadzi się te intrygi? Przecież wszystkie te knowania są w oczywistej sprzeczności z obowiązującymi od wieku prawami zwyczajowymi i tradycjami naszego Państwa? Rada, która na wybór Augusta będzie miała po mojej śmierci wpływ decydujący, składa się z ludzi doświadczonych i światłych, którzy są przywiązani do naszej dynastii i krzywdy syna naszego nie dopuszczą. Po co więc wątpić i trapić się przedwcześnie?

Zasada elekcyjności obowiązuje i trudno się nam tej zasadzie przeciwstawiać! Zresztą pokładam w Bogu nadzieję, że Królewicz Polski będzie posiadał odpowiednie cnoty i walory, aby rządy królewskie godnie sprawować, a w tych warunkach elekcja będzie tylko czczą formalnością!

Trzeba mieć więcej zaufania do otaczających tron polski zacnych i zasłużonych mężów; niechaj Królowa posłucha mnie i poniecha tych zabiegów, nielicujących z jej dostojeństwem.

— Pochlebstwom i pustym obietnicom wierzysz Miłościwy Panie! Mam w ręku niezbite dowody przewrotności polskich magnatów i nie wierzę w ich życzliwość ani dla Jagiellonów, ani dla

mnie i syna mego w szczególności! Miałam i ja początkowo złudzenia, ale okres ten minął bezpowrotnie! Twoi mężowie zaufania Miłościwy Panie zabiegają jedynie tylko o własne zaszczyty i korzyści, a szkatuły swoje napełniają kosztem królewskiego skarbca! Wszyscy oni są sprzedajni; złotem Habsburgów nie gardzą również; wiem dokładnie, jakie niecne intrygi przeciwko mnie knują na wiedeńskim dworze, korzystając z twojej, Miłościwy Panie, dobroduszności!

— Król sądzi, że ja państwowych spraw nie rozumiem i że zasie mi od nich jako białogłowie? Otóż zrobię wam wszystkim niespodziankę i dokażę, że Bona jak lwica bronić będzie praw swego jedynaka i nie spocznie dopóki nie włoży królewskiej korony na jego młodociane skronie, jeszcze za życia ojca! Wiem dobrze, że ta sprawa jest zbyt ważna i skomplikowana, aby o niej w pośpiechu rozmawiać, ale musimy jaknajrychlej do niej powrócić. Jak tylko gdańszczanie wyjadą z Krakowa i będzie więcej wolnego czasu znów króla molestować będę.

— Poza tym pilną byłaby również jakaś decyzja w kwestii Mazowsza. Wieści, które stamtąd nadchodzą, bardzo są niepokojące. Po śmierci swego brata Stanisława, książę Janusz tylko gorszącym hulankom i pijaństwu się oddaje, a o rządy nie dba zupełnie. Ziemiom tym grozi upadek i zupełna ruina. Naoczny świadek, Starowolski, opowiada, że książę Janusz, biesiadując ostatnio z poufałymi towarzyszami na zamku, rozgrzany trunkami, rozkazał, koleją z innymi, lać sobie przez lej w gardło po ogromnym kuflu wina, a w kilka

dni później wszyscy biesiadnicy, prócz Janusza, pomarli! Sam Janusz ciężko zaniemógł! Czy można pod bokiem króla tolerować takie rozprzężenie i taki gorszący przykład? Należałoby posłać już dzisiaj na Mazowsze królewskiego namiestnika, aby wprowadził tam ład i porządek i poczynił kroki, celem wcielenia tych ziem do Korony!? Wszak Jego Królewska Mość nie zapomniała chyba obietnicy danej małżonce, że księstwo to ma służyć jako oprawa królowej, na wypadek wdowieństwa?

— Na tę sprawę czasu nie mam w tej chwili, — odrzekł król, — zresztą dopóki żyje Janusz, nic nam stanowczego przedsięwziąć nie wypada.

— Mój poprzednik, Król Aleksander, uroczyście przyrzekł, że Mazowsze aż do wygaśnięcia linii męskiej panującego tam domu, jest tylko w lennej zależności od Korony; to co słyszę, jest niewymownie smutne, ale sprawa wymaga zbadania i wielkiej rozwagi w powzięciu decyzji; zresztą niechaj Kmita zajmie się wyjaśnieniem stanu rzeczy na Mazowszu i złoży mi piśmienny raport; każę go wnieść na Radę przed Sejmem Piotrkowskim.

— Miłościwy Panie, — odparła Królowa tonem już trochę cierpkim, — ta metoda odkładania wszystkiego na później — ad calendas Graecas — nie powinna być w tym wypadku stosowana.

— Miłościwy Pan zapomina o swoim wieku podeszłym. Nieszczęście może przyjść z dnia na dzień, a kto wówczas zatroszczy się o przyszłość królowej polskiej i jej małoletniego syna? Skarb

wiecznie pusty. — Na najkonieczniejszych rzeczach dworowi królowej już dzisiaj zbywa. Moje sumy posagowe w większej części zaprzepaszczone gdzieś bez śladu i kontroli. Dochody z Bari topnieją na wydatki kancelarii królewskiej i dworu. Każdy z tych zasłużonych możnowładców, cnocie których król tak bezgranicznie ufa, posiada więcej złota, niż rodzina królewska.

— Tak jest teraz, kiedy Król żyje i rozkazuje, a co będzie, jak go zabraknie?

— Na ten stan rzeczy ja dłużej patrzeć nie mogę! Muszę jaknajprędzej zdobyć prawa wykupu ziem królewskich, zastawionych w rękach dygnitarzy koronnych lub zaprzepaszczonych w różnych rodzinach magnackich pod pretekstem dożywocia, które już dawno wygasło. Muszę rozpocząć budowę niezależności materialnej królewskiej rodziny. Na ten cel przeznaczam wszystkie dochody z Bari i nie pozwolę sumami tymi inaczej dysponować! Gospodarstwo na wykupionych ziemiach sama będę prowadziła i przekonają się polacy, jakie będą dochody i jaka cywilizacja na królewszczyznach tych zakwitnie.

Mam jeszcze prośbę do Jego Królewskiej Mości, ciągnęła dalej Bona, o przyśpieszenie, gdzie należy, decyzji, co do obsadzenia biskupstwa kaliskiego. Obiecałam moje wstawiennictwo poważnemu kandydatowi i chcę przyrzeczenia mego dotrzymać.

Głos króla zadrgał zniecierpliwieniem.

— Niepotrzebnie królowa zaprząta czas swój i umysł tymi rzeczami. Dochodzą mnie z boku złośliwe uwagi i sarkania z tego powodu. Wolałbym,

żeby małżonka moja poniechała tych protekcyj, które nie licują z majestatem królewskim. Przypominam sobie przy okazji, że Panowie Rada niedawno wspominali mi również o narzekaniach sfer kupieckich z Krakowa, że dwór forytuje niezasłużenie niektórych kupców, pomaga im w sprawach celnych w Wiedniu, a inni cierpią na tem, bo, sprowadzając towar z za granicy, muszą zwykłe cło opłacać i odpowiednio ceny podwyższać, aby wyjść na swoje. Wolałbym, żeby powodów do tych skarg nie było.

Bona żachnęła się i podniesionym głosem odcięła:

— Miłościwy Panie! Zasie płatnym dworakom i skrybom od uwag pod adresem królowej! Bona Sforza swój ród po kądzieli wiedzie od dynastji Aragońskiej; przed potęgą, mądrością i zasługami tego domu — cały świat uchylał czoła! Córka Aragonów — wie, co jej czynić należy i czego nie należy, a pouczeń od poddanych nie potrzebuje!

Od postaci Zygmunta powiało smutkiem i przygnębieniem. Rysy pełne zwykle łagodności i dobroci, skamieniały. Chłodno pożegnał królowę i pośpiesznie oddalił się.

Kiedy zamknęły się podwoje błękitnej komnaty, przed królem wyrosła, jak zpod ziemi, drobna postać nadwornego trefnisia.

Stańczyk wspiął się na palcach do ramienia królewskiego i szepnął półgłosem:

— He, he, Królu! „D o b r o ć" w imieniu niezawsze chodzi w parze z dobrocią w słowach i czy-

nach! Zachciało ci się węża w alkowie, a teraz dziwno ci, że syczy po włosku i chmurzysz się!

Schowaj braciszku chmury na przyszłość! „J u t r o" będzie gorsze od „d z i s i a j"! Wąż jest prężny i uparty!

Król Zygmunt spojrzał dobrotliwie na swego ulubieńca i pogroził mu żartobliwie palcem.

IV.

W PIOTRKOWIE.

Na zamku piotrkowskim ruch był niezwykły.

Kolebki, kałamaszki, wozy naładowane wszelkim sprzętem i żywnością wyjeżdżały i wjeżdżały gorączkowo. Ożywienie i podniecenie było na twarzach dworzan i pachołków, którzy tłoczyli się u głównego podjazdu, oczekując zleceń i rozkazów.

Mroźna sucha pogoda najpowolniejszych zmuszała do pośpiechu i energii. Pozawijani w lisiury i kożuchy ludzie siarczyście przeklinali mróz i, nawet stojąc na miejscu podrygiwali z nogi na nogę, aby się rozgrzać.

Za zezwoleniem Króla Jegomości na wszystkich podwórcach zamkowych milicja roznieciła ogniska, aby przy nich ogrzać się mogli przechodnie.

Zima była ostra i dokuczliwa. Śniegu prawie wcale nie było. Od początku stycznia trzymały silne mrozy. Wiatr wschodni dmuchał bez przerwy. Na drogach potworzyła się wysoka gruda, miejscami nie do przebycia. Wróble i inne drobne ptactwo marzło w powietrzu. Wrony i kawki

stadami podlatywały do progów osiedli ludzkich. Rolnicy byli markotni, bo oziminom na polach groziła klęska.

Od paru tygodni w Piotrkowie odbywał się walny sejm.

Chorągiew królewska powiewała na majestatycznej baszcie piotrkowskiego zamku. Baszta ta przed kilku laty przez króla Zygmunta wzniesiona i zwodzone mosty na kanałach, całą miejscowość okalających, dawały zamkowi piotrkowskiemu aspekt pokaźnej warowni.

W kancelarii królewskiej, położonej w dolnej części zamku, za paradnym przedsionkiem, miała się odbyć rankiem, pod przewodnictwem Króla Zygmunta, poufna narada w sprawach gdańskich.

W przestronnej, pełnej powietrza i światła, komnacie było ciepło i zacisznie. Na wielkim kominie paliły się smolne kłody. Blade promienie styczniowego słońca, skradając się nieśmiało przez gotyckie okna, zaglądały aż do wnętrza komina, jak gdyby chciały ogrzać się — lub wzmocnić swoją energię i blask w ognisku, przez ludzi roznieconym. Od czasu do czasu snopy iskier z trzaskiem wylatywały na kamienną posadzkę. Wtedy płomień brał w posiadanie jeszcze niestrawione przez ogień polana. W kominie wybuchała nowa jasna plama życia i wesołości, a na izbę płynęły balsamiczne wonie rozgrzanej żywicy.

Panowie z Rady schodzili się dopiero, załatwiając przy okazji różne inne sprawy w poczekalniach królewskich.

Za wielkim stołem, na którym piętrzyły się

stosy papierów, siedział Jan Zambocki, dworzanin i urzędnik kancelarii królewskiej, prawa ręka podkanclerzego Tomickiego w redagowaniu i referowaniu aktów.

Miał on sobie powierzone przedstawienie na dzisiejszej sesji panom z Rady, w obecności Króla Jegomości, całkowitego materiału w sprawach gdańskich. Przez niego również miało być zreferowane sprawozdanie, opracowane w tych sprawach przez prymasa Łaskiego.

Praca to była nielada i faldów trzeba było przez dni kilka przysiedzieć.

Naprzeciwko Zambockiego siedział dworzanin królewski Korybut Koszyrski, który tylko co powrócił z Gomolina.

Zambocki i Koszyrski podczas sejmu piotrkowskiego mieszkali razem we dworze podkanclerzego Tomickiego, ówczesnego biskupa krakowskiego, i mieli u niego wspólny stół, przy którym nierzadko i Andrzej Krzycki, biskup przemyski, siostrzeniec biskupa Tomickiego, siadywał.

Koszyrski opowiadał wrażenia z wczorajszego dnia, który stanowił przerwę w pracach Trybunału Sejmowego.

Król Zygmunt, zmęczony trwającymi już od dni kilkunastu obradami, pragnąc odpocząć, zaprosił niektórych posłów i panów z Rady, obecnych w Piotrkowie, na polowanie do Gomolina, gdzie z dworem bawiła królowa Bona.

Polowanie i przyjęcie tak było uszykowane, mówił Koszyrski, że pomimo zimna i brzydkiej wczorajszej pogody, wszyscy goście z zadowoleniem i wesołością w różnych krotochwilach udział przyjmowali.

Zwierzyny ubito wielką obfitość. Lisów i zajęcy nawet nie liczono. Samych dzików sztuk czterdzieści. Prócz tego padł wielki stary rogacz i dwa wilki.

Ziąb był siarczysty. Po każdym zaciągu służba w lesie rozpalała ogniska i wszyscy zsiadali z koni, aby rozgrzać skostniałe nogi i nabrać animuszu do dalszej zabawy.

Posiłek południowy podany był w lesie, w namiotach ze świerkowych gałęzi. Jadło takie, — że palce lizać, a wino węgierskie i starka z piwnic nieboszczyka króla Aleksandra. Dla niewiast była wódka gdańska, Goldwasser zwana, przez burmistrza Bischoffa przywieziona. Bardzo było uciesznie patrzeć, że na dnie każdej butelki drobne płatki złota jak rybki pływały.

Arabscy trębacze, na cienkich srebrnych trąbach, wygrywali pobudkę, wzywającą gości do jadła. — Potem przygrywali oni do facecji, jaką królowa umyśliła, aby gościom sprawić niespodziankę.

Na pięknej polanie wśród lasu, poprzebierani w starożydowskie szaty, dworzanie w maskach przedstawiali historię Józefa biblijnego. Znienacka, cudacznie ustrojone i udające madyjańskich kupców nadjechały z głębi lasu na osłach dziewice włoskie królowej i za 20 srebrników kupiły od braci wyciągniętego ze studni Józefa.

Jeden z karzełków królowej za Józefa był przebrany, a szlochał i piszczał tak zabawnie, jak go na osiołka posadzili, że ludzie ze śmiechu się pokładali.

Taka się zrobiła wrzawa i radość ogólna, tyle

było śmiechu i krzyków, że aż psy gończe ujadać zaczęły. Tak się bestie rozszczekały, że psiarkowie nijak uspokoić ich nie mogli.

Pod koniec zajechało dziesięć wozów zaprzężonych każdy w parę dorodnych białych wołów, które królowa z Węgier czy z Wołoszy do swoich włości w Polsce sprowadziła. Podwody te niby należały do owych madyjańskich kupców. Włoszki zaczęły trefnować, że to ubitą zwierzynę od królowej chcą kupić i razem z Józefem do Egiptu ją zabiorą. Dowcipów i facecyj było przy tym bez liku, zwłaszcza jak o zabitym rogaczu poszła gawęda.

— Szczerze powiem Waćpanowi, że chociaż nie miłuję zbytnio naszej Włoszki, ale przyznać trzeba, że posiada ona rzadki dar i smak do urządzania wszelkich zabaw i uciesznych przyjęć i mało kto w gospodarności mierzyć się z nią może.

— Zupełnie się z waćpanem zgadzam, daleko naszym białogłowom do niej, — wtrącił Zambocki.

— Trudno opowiedzieć, jak te podwody były pięknie przystrojone, — ciągnął dalej Koszyrski. — Wozy były całkowicie jodłowymi gałązkami i choiną wymoszczone. Wszystkie woły miały końce rogów wyzłocone. Ze zwykłych gęsich piór, farbowanych na różne kolory i z borowiny leśnej były uwite wieńce i tak snadnie nimi i zwierzęta i boki wozów ubrane, że wydawało się, iż cały ten korowód z jakiegoś zaczarowanego kraju przybył.

— Wszystko ukoronawała wieczerza w Go-

molińskim dworze. Było trochę przyciasno, ale gościnne komnaty były tak godnie ustrojone i tyle wszędzie facecyj i niespodzianek, że i w żadnym teatrum nie mogło by być zabawniej.

— Od różnej muzyki i śpiewów we wszystkich izbach aż wrzało. Kiedy się już wszyscy zebrali, zamieniwszy myśliwskie dzienne stroje na paradne wieczorowe szaty, Bonerowie krakowscy, których cała rodzina do Gomolina zjechała, przedstawiali sceny z komedii Terencjusza. Potem tańczono na różny sposób, naprzód z włoska, następnie po niemiecku, a wreszcie po rusku.

— Około dziewiątej wieczorem zasiedli wszyscy do stołów. Jadła i napojów była taka obfitość, że niektóre misy nietknięte wynosiła służba z powrotem do kuchni. Wszystko było przyprawione na zagraniczny sposób. Tuczone karpie ze stawów gomolińskich i węgorze, które Bischoff z Gdańska w prezencie królowej przywiózł na żadną misę się nie mieściły. Służba na posrebrzanych deskach te ryby w całości koło stołów obnosiła i wszyscy wydziwić się nie mogli, jak kucharze potrafili je ugotować lub usmarzyć, nie krając na części.

— Najwięcej uciechy było, kiedy wnieśli pieczyste. Aż zapachniało w komnatach od smakowitych przypraw. Całe głowy dzików, faszerowane słodkimi kasztanami, z Włoch sprowadzonymi. Pawie pieczone, ubrane skrzydłami i rozpostartymi ogonami, wyglądały jak żywe. Gęsi pieczone nadziane pachnącymi jabłkami pigwy i grubo cynamonem posypane. Młode źrebięta — podlane winnym sosem z szafranem. Dobre dwie

godziny trwało spożywanie tych specjałów i istotnie trzeba było mieć palatum delicatum *), aby ich wytworny smak ocenić.

— Na ostatku przyniesiono placki słodkie z migdałów, rodzynków i pomarańcz, tak sztucznie przyrządzone, że w największym z nich schowany był karzełek królowej Nannino. Dopiero, jak rozkrajali bok placka, wyleciał on z krzykiem na stół i począł udawać głos papugi, że to cały był zielonem pierzem oblepiony i miał papugę wyobrażać.

— Do tych placków wszystkim białogłowom podano po raz pierwszy do Polski z Włoch sprowadzone widełki srebrne w kryształ oprawne, aby im się ręce od słodkiego jadła nie lepiły, — my zaś po dawnemu tak ryby i mięsiwo, jak i te słodkie dania — jedliśmy trzema palcami, pomagając sobie kordelasami.

— Każdy miał w pamięci przepisy towarzyskie, napisane przez włocha Sulpitiusa Verulanusa dla cortigianów:

Trzema palcami jeść masz brać,
wielkich sztuk nie masz ukąsać,
palców sobie nigdy nie liż,
ani szpetnych kości też gryź,
ale je chędogo obieraj,
nożem je sobie okrawaj,

— A już przeróżne miody i wina, to podziw we wszystkich budziły. Dwa gatunki wina szczególnie białogłowom się podobały. Królowa otrzymała je w prezencie od jakiegoś krewniaka

*) Wybredny smak.

z Rzymu. W małych szklaneczkach, jak naparstki, na srebrnych tacach roznosili pokojowcy te wina. Jedno pochodziło podobno z Sycylii i było tak czerwone i gęste, jak krew gołębia, a drugie z Cypru wyglądało jak rozpuszczone złoto i pachniało zdaleka różnymi aromatami.

— Mimowoli na myśl przychodziły strofy pięknego wiersza Krzyckiego na cześć tego szlachetnego trunku skomponowane:

*) Wino dobre i przedziwne
moc i zacność w tobie skryta,
cudny wonny płynie witaj
ku radości świata!
Witaj nadobne w kolorze
witaj ogniem, którym gorzesz,
witaj miłe w każdej porze
mowę węzłem splatasz!
Szczęsne łono, w które płyniesz,
język, co twój smak odkrywa,
usta ukąpane w winie
i warga szczęśliwa!

— Po wieczerzy dziatwa kmieci gomolińskich przedstawiała szopkę krakowską i śpiewała chórem kolendy. Potem były różne oracje i toasty. Piękny wiersz po łacinie, z pochwałami dla gościnności królowej Bony wygłosił biskup Krzycki.

— Wszyscy żałowali, że nie było śniegu i sanny, bo w projekcie był jeszcze kulig na saniach z pochodniami do lasu.

---

*) Wiersz ten napisany był przez Krzyckiego po łacinie. Oryginalny tekst jak również informacja, komu czytelnicy zawdzięczają piękne polskie tłomaczenie wiersza, znajduje się na drugiej stronicy książki.

— Wiele osób wspominało Waćpana i jego myśliwskie szczęście. Nawet sam Król Jegomość obżałowywał, że dzisiejsza poufna narada i konieczność uporządkowania referatu Gdańskiego nie pozwoliły waszmości wziąć udziału w ogólnej zabawie.

— Wreszcie przekonali się wszyscy — odrzekł z filuterną przechwałką Zambocki — kto w kancelarii królewskiej najpilniej pracuje!!!? Kto respektuje nadewszystko obowiązek i nawet dla najwspanialszych festynów nie opuszcza v e t u s p i s t r i n u m.*)?!!! Ciekawy jestem, czy te zasługi będą kiedykolwiek należycie wynagrodzone?

— Tymczasem pieczenią z dzika, — ze śmiechem zawołał Koszyrski. — Królowa całego warchlaka ofiarowała podkanclerzemu Tomickiemu. Ma być dzisiaj uduszony na wieczerzę z suszonymi śliwkami.

— Ale prawda, prawda, — ciągnął Koszyrski — wszak Zambosiowi, jako wyznającemu pokryjomu religię Mahometa, świniny dotykać się nie godzi?! Trzeba zatem poszukać dzisiaj wieczerzy gdzieindziej; może pójdziemy razem do nadobnych młódek piotrkowskich sprobować szczęścia? Zgoda...?

— Albo jak nie, to Waćpan zapuka do łaski kanclerza Szydłowieckiego. Ten *hrabia cesarski*, jak go Krzycki nazywa, nie tylko w swoim zamku w Nowym Korczynie, ale wszędzie gdzie nawet chwilowo bawi, dwie kuchnie ponoć, dla sie-

*) Stary kierat.

bie i gości swoich buduje. Jadło się tam jakoby przyrządza według różnych podniebień i rytuałów. Zresztą, jeżeli by wymyślnych frykasów kanclerskich zabrakło, zawsze znajdą się w tamtejszej śpiżarni śledzie gdańskie, których dla udobruchania kanclerza, gdańszczanie nawieźli, podobno, paręset beczek.

— Co do śledzi gdańskich — odparł Zambocki — to znalazło by się ich dużo w Piotrkowie, nie tylko w śpiżarni kanclerskiej, ale i w innych pomniejszych!!.. Nie jestem jednak ja łasy na ten przysmak. Wolę poprzestać na warchlaku ze śliwkami! zwłaszcza, że nie taki Mahomet straszny, jak go w Polsce malują! — W koranie, jak dobrze poszukać, można znaleźć więcej łaski i pobłażania dla grzechu, jak w kościele katolickim!

— Figlarz był Waścin Mahomet — prawił dalej Koszyrski żartobliwie. — Dowcipem swoją proroczą karierę rozpoczął i podobne metody w koranie stosował! Jak to się rzecz miała z tym cudownym kamieniem, co do umieszczenia którego w fundamentach świątyni spór wyniknął wśród różnych szczepów koreiszytów? Zdaje się, że zadużo było pretendentów do zaszczytu dotknięcia i poruszenia tej świętości?

— Dali Bóg nie skleję już tej historii — odrzekł Zambocki.

— Mahomet, pragnąc rzekomo, aby zadość się stało religijnym ambicjom tych muzułmańskich fanatyków, — prawił dalej Koszyrski — kazał, zdaje się, kamień położyć na wielkim burnusie, za brzegi którego chwycić mogli łacno liczni przedstawiciele szczepów koreiszyckich — i w ten sposób

wszyscy powaśnieni udział wzięli w jego dźwignięciu i umieszczeniu pod świątynią, a prorok pozyskał wdzięczność swoich zwolenników, bo wszystkim wygodził.

— O widzę, że Waćpan dobrze pamięta historię Mahometa — odparł Zambocki. Ciekawa to była niezmiernie postać. Słyszy się nieraz zarzuty, że w zaraniu swej działalności Mahomet był pachołkiem żydów i od nich początkowo otrzymywał natchnienie i poparcie dla swej nauki! Żydzi dążyli jakoby w ten sposób do osłabienia rosnących wciąż wpływów chrześcijaństwa które zwalczali. Po mimo jednak wszystko — *sine ira et odio* — przyznać trzeba, że koran posiada wiele cech oryginalności i warto się z nim zapoznać. Osobiście nieraz żałuję, że będąc tak długo w Turcji, nie przeszedłem na mahometanizm i nie zapewniłem sobie praw do tych rozkoszy, jakie Islam po śmierci wiernym obiecuje.

Ale, ale... byłbym zapomniał! wypchano mi wczoraj kieszenie różnymi wierszydłami i ulotkami, zawołał Koszyrski i wyciągnął z kieszeni kaftana zwitek zgniecionych papierków. Znów się rozpoczęła tajemnicza „n a g a n k a" przeciwko biskupowi Krzyckiemu. Napada, kto żyw: młodzi Łascy zwieźli jakiegoś zagranicznego poetę, który na stronie deklamował ciekawym, a rozumiejącym po francusku różne trefne wiersze o Krzyckim; młodzi Bonerowie mieli również ze sobą cały arsenał wierszy i dowcipów na ten temat, nawet kanonik Wapowski także mi coś tu wetknął, mam akurat pod ręką tę ulotkę; zatytułowana jest „Dzwon z Florianki" — i brzmi tak:

DZWON Z FLORIANKI. *) **).

Z polskiego kruszcu odlany
Gładko wypolerowany,
Przez mistrzów Bolonii
Na humanistyczny ton
Nastawiony — bije „dzwon"
Po całej Polonii!

Wszechmocnych i wyższych bawi
Schlebia wielkim, równych dławi,
Rywali nie znosi,
Gdyż mogą przytłumić „dzwon"!
Więc w fałszywy bije ton
I pochlebstwa głosi!

Osobliwy jest ten dzwon:
Walczy dźwięk i walczy ton
O dukatów brzęki!
I za złotem goni, goni
I namiętnie dzwoni, dzwoni
Dla własnej udręki!

O sakrze poznańskiej marzy
Zysk splendorów myślą waży
Z katedrą związany.

---

*) Rymy ułożyła pani H. S. F. K.

**) Nadworny gramatyk cesarza Tyberiusza Apjon, który chełpił się, iż daje nieśmiertelność tym, do których cokolwiek napisze, nazwany był żartobliwie przez Tyberiusza dzwonem świata (cymballum mundi).

Wersja ta prawdopodobnie natchnęła autora ulotki o biskupie Krzyckim myślą do nadania mu epitetu: „Dzwon z Florianki", gdyż Krzycki był proboszczem parafii Ś-go Floriana.

Jednak ci, co dysponują
Splendorami — nakazują
Obrót niespodziany!

***) „Kufla" dźwięk im przyjemniejszy,
Zaszczytów zdał się godniejszy,
Wszedł w katedry wrota...
A z Florianki „Dzwon" kołacze
I daremnie woła, płacze...
Nie pomnożył złota!

I kołatał, do bram pukał,
Do katedry wejścia szukał
Aż — dokazał tyle,
Że wielce rozgoryczony
Dalej głosi na wsze strony
Z parafii.... paszkwile!

To stara ramota, już od roku kursuje; napisana gładko, ale dowcipu w niej mało, — odrzekł, krzywiąc się, Zambocki. — „N a g a n c e" przeciwko Krzyckiemu, jak Waszmość to nazwał, nie dziwię się zupełnie. — Krzycki już za wiele sobie pozwalał; przypominasz sobie Waćpan, zapewne ulotki, wyśmiewające synowców Prymasa Łaskiego; miał za swoje i ten, co wyszedł na reformatora Fryzji i Anglii, i ten, co marzył o koronie węgier-

———————

***) Kuflem przezwany był przez współczesnych za to, że lubił nadmiernie zapijać, Biskup Latalski, który jak wiadomo, ubiegał się jednocześnie z Krzyckim o biskupstwo poznańskie. Za łaską Bony, jak mówili współcześni — nie bezinteresowną, Latalski zdystansował Krzyckiego.

skiej. — Zresztą w ostatnich czasach wszystkie poetyckie wycieczki Krzyckiego były ponad wszelką miarę jadowite i bolesne, nic więc dziwnego, że wywołały zemstę. — Da on sobie jednak radę z napastnikami i nikomu nie przepuści. To mordercze pióro niema równego sobie w Polsce. Szkoda tylko, że jak napisze coś bardzo swywolnego, to na innych zwala i trzeba jeszcze za niego pokutować. Zdaje się, że Waszmość najczęściej bywa kozłem ofiarnym. Ale widzę tu papierek o naszej Włoszce. Pokaż no Waszmość, może to będzie ciekawsze od „D z w o n u". — Utwór ten, w formie bajki, kursował w Gomolinie w oryginale łacińskim, — zaznaczył Koszyrski. Tutaj mam tłomaczenie, zrobione naprędce przez nauczyciela najmłodszej latorośli rodu Bonerów.

BAJKA O KOTWICZU I SMOKU *) **).

Zaczęło się od idyllicznej adoracji. Kotwicz w różnych okolicznościowych wierszach i odach opiewał mądrość, piękność, a nawet i dobroć Smoka. — Cenione i mile widziane z początku kadzidła, po paru latach spowszedniały i Smok przyzwyczaił się traktować adorację Kotwicza, jako zwykłe, należne mu hołdy.

W naturze Kotwicza leżało dawać jedną ręką ofiary i kadzidła po to, aby drugą ręką móc wza-

---

*) Kotwicz — herb Krzyckich. W ulotkach, które krążyły w ówczesnym towarzystwie dworskim Biskupa Krzyckiego nazywano często Kotwiczem.

**) Epitet Smoka dawano w sferach dworskich Królowej Bonie z uwagi, iż wąż był w herbie Sforzów.

mian zabierać jak najwięcej, to też czekał on wciąż na okazję i wyrazy wdzięczności Smoka.

Smokowi w Polsce wiodło się coraz lepiej; posiadłości zwiększały się z każdym rokiem; włodarzył wszędzie, jak chciał; władza i wpływy rosły, a między innymi prawem kaduka zagarnął pod swoją władzę również wszystkie owieczki i barany w Polsce i wyznaczał im pasterzy według swej woli.

Kiedy w pewnej chwili stada owieczek poznańskich, słynnych z obfitości i wartości wełny, pozostały bez pasterza, Kotwicz zapragnął pasterzem tym zostać.

Ufny w życzliwość Smoka i moc swoich kadzideł prosił, aby mu Smok odpowiedni pastorał wręczył i owieczki poznańskie pod opiekę oddał.

*Chociaż Smok zapewniał zawsze Kotwicza o swojej dobrej pamięci, miłych słów nie szczędził i twierdził, że kocha kadzidła, w istocie rzeczy nadewszystko przekładał okrągłe, równe o pełnym dźwięku sztuki złota; udał więc chciwiec, że nie rozumie pragnień Kotwicza i pastorał poznański powierzył temu, kto wzamian przyniósł tyle dukatów, ile pastorał zaważył *).*

Dotknięty do żywego Kotwicz poprzysiągł zemstę. Posypały się, jak z rogu obfitości, złośliwe wiersze i kuplety. Wtedy również ujrzał światło dzienne dwuwiersz:

---

*) Biskupstwo poznańskie za łaską Bony, nie bezinteresowną, jak fama głosi, dostało się biskupowi Latalskiemu, chociaż o biskupstwo to ubiegał się również Biskup przemyski Krzycki, jak wyż. na str. 81.

„Gdy pod Wawelem Smok siedział, ginął od niego sam Kraków,
„Na Wawelu gdy zasiadł, ginie od tego Ojczyzna".

Smokowi zrobiło się markotno. Nie kochali go nigdy zbytnio w Polsce, ale teraz nienawiść rozhulała się na dobre. Kadzidła Kotwicza dawały złudzenie popularności. Trzeba było udobruchać pokrzywdzonego, aby zechciał nadać dawny ton swojej lutni. Różne były stosowane sposoby; wreszcie Smok upolował jelenia i pieczenią z tego rogatego zwierza przejednał gniew Kotwicza.

Zamknięte upusty adoracji otworzyły się. Struny lutni Kotwicza zadrgały znowu przyjaźnie.

Znowu odgrzana stara historia! Latalski zabiega już o inną sakrę; stara się o nowe zaszczyty in nomine Dominae*), a tu mu wciąż jeszcze biskupstwo poznańskie wypominają, ze śmiechem zauważył Zambocki! Do tej historii doczepiony został jeden tylko aktualny moment, a mianowicie: pojednanie się Krzyckiego z Boną, co nie pozostanie, rozumie się, bez wpływu na różne decyzje i bieżące sprawy dworskie.

Bajka o Kotwiczu i Smoku pochodzi od młodych Łaskich, wyjaśnił Koszyrski. — Dali mi oni jeszcze jedną rzecz, która jest może najbardziej interesująca ze wszystkich. Napisana jest po francusku, a w przekładzie treść jej jest następująca:

---

*) W imię łaski Królowej Bony (w tym sensie używane było powiedzenie powyższe).

NAŚLADOWCA ARETINA.

Południowe wiatry przyniosły z Włoch do Polski fenomen talentu Aretina — „p a s z k w i l".

Piotr z Arezzo zachwyca jednych, oburza drugich, ale porywa wszystkich!

Aretino żyje na stopie sułtana arabskiego. — Zbytek i przepych jego dworu olśniewa świat cały. Zdawało by się, że orgia tego wiecznie trwającego karnawału, który go otacza, powinna mu przesłaniać rzeczywiste życie! O dziwo jednak! Ani zabawy, ani rozpusta, ani uczty, ani lejące się potokiem wino — nie przyćmiewają zmysłu obserwacyjnego, dowcipu i płomiennego talentu poety!

Ucho i oko jego czuwa ciągle i genialnie przenika wszędzie. W atmosferze tego rozpasanego karnawału rodzą się fenomenalne paszkwile polityczne, które mają jasność błyskawicy i potęgę gromu! Królowie i książęta całej Europy drżą przed piórem i krytyką Aretina. Aretino koresponduje z całym światem, a świat nazywa go „b i c z e m k s i ą ż ą t".

Fama niesie, że Aretino jest mistrzem w wyłudzaniu szlachetnego kruszcu od tych, którzy chcą uniknąć jego krytyki. Czyni to tak zręcznie i wytwornie, że pozyskuje wraz ze złotem sympatię bojaźliwych i poparcie śmiałych. Złoto płynie do pałacu Aretina na Canale Grande ze wszystkich krajów. Skrzynie z dukatami tarasują w przedsionku dostęp do paradnych schodów. Franciszek I król francuski obdarza złotym łańcuchem rycerskim syna kurtyzany Tity z Arezzo, nie posiadającego nominalnie ojca.

Tycjan maluje Aretina jako Piłata w religijnym obrazie: „Chrystus przed sądem".

Świat ze zdumieniem patrzy na tę apoteozę doczesnego szczęścia.

Ostatnimi czasy znalazł się w Polsce poeta, który pozazdrościł powodzenia i sławy Piotrowi z Arezzo i usiłuje pójść w jego ślady.

Począł gorliwie paszkwilować bliźnich i mniema, że podobną bronią wojując, zdobędzie bogactwa, uznanie i imię „polskiego Aretina".

Zpod pióra pseudo-Aretina wychodzą pliki różnych satyr i epigramatów. Sypią się strofy ulotnych wierszy i pamfletów. Jedne z podpisem paszkwilanta, inne rzekomo niewiadomego autora. Ostre a chciwe zęby kąsające na prawo i na lewo bliźnich wyglądają z tych utworów. Ciętości i zjadliwości jest w nich nadmiar nieznośny. Mordercza ironia w wyraźnych napaściach nie zadawalnia autora. Między wierszami każe się on domyślać jeszcze gorszych potworności. Forma tych utworów jest przeważnie gładka. Noszą one ślady politury włoskiej, ale... ale jednak daleko im duchem do wzorów, które autor naśladować pragnie.

Pióro Piotra z Arezzo ma posmak wielkiej legendy półdjabła weneckiego. — Z treści jego utworów tryska słoneczny humor i temperament południa. — Słowa palą się płomienną fantazją i bije z nich wulkaniczna siła nawet w momentach bezwstydnego cynizmu. Bicz, którym smaga, jest na olbrzymią wszechświatową miarę. — W atakach nie wyczuwa się nigdy egoizmu i małostkowej prywaty. Umie on chłostać ludzi, ale kocha głęboko ludzkość.

Naśladowca tego tytana sprawia wrażenie karła.

Od utworów polskiego pseudo - Aretina wieje chłodem i egoizmem. Z każdego wiersza wyziera intryga lub przekupna intencja własnych korzyści, — względnie chęć unicestwienia niebezpiecznych rywali. — Satyrom brak poważnych krytycznych akcentów w obronie pogwałconej równowagi życiowej. — Paszkwile mogą dokuczyć napastowanym, ale nie mogą przekonać i wzruszyć nikogo, w ostatecznym zaś wyniku szkodzą jedynie tylko samemu autorowi.

Powtórzył się jeszcze raz morał starej bajki Ezopa: „O żabie i wołu".

Bardzo ciekawy pamflet, rzekł Zambocki, ale zanadto już w nim sponiewierany został Krzycki.

Rozumie się, autor napisał to, co mu podszepnęli rozżaleni, wskutek ciągłych napaści młodzi Łascy.

Ci humaniści w zacietrzewieniu gryzą się, jak zażarte psy i często przydałby się strumień zimnej wody, aby zapalone głowy ostudzić. Przeciwnicy zatracają zupełnie poczucie rzeczywistości, a w takich razach prawda bywa najczęściej pośrodku.

Oczywiście, oczywiście! — wtórował Koszyrski. Pamflet poszedł zadaleko. Nie można powiedzieć, aby wszystkie utwory Krzyckiego były zimne i nacechowane prywatą. Wzloty jego czasem są bardzo górne i natchnione. Stwierdzają to wymownie treny na śmierć królowej Barbary, oda na cześć zwycięstwa Zygmunta nad Moskwą i wiele innych. — Przesadnie również jest wytknięta ta chciwość i egoizm! — W życiu Krzycki

dał niejednokrotnie dowody bezinteresowności i poświęcenia i potrafił być prawdziwym przyjacielem. Król Jegomość, znany ze swej ostrożności w ocenie otaczających go ludzi, zawsze uznaje w Krzyckim nietylko talent poetycki i wielkie zdolności dyplomatyczne, lecz właśnie jego dobre serce i ludzkość. — Przecież Krzycki był kanclerzem królowej Barbary Zapolianki i na stanowisku tym wykazał nietylko lojalność i pilność, ale w ciężkich chwilach stał się najlepszym i najtroskliwszym opiekunem i przyjacielem Królowej. — Kiedy Barbara śmiertelnie zaniemogła, król pozostawał zdala od Krakowa, najpierw na zjeździe w Preszburgu, później w Wiedniu. Krzycki wówczas prawie że nie odstępował łoża chorej i Królowa na jego rękach Bogu ducha oddała. —

Miłościwy Pan zawsze z wielkim wzruszeniem te chwile wspomina!

— Rzecz naturalna, ciągnął Koszyrski, że Krzycki, jako dziecko Północy, nie może ani temperamentem, ani stylem dorównać Piotrowi z Arezzo, synowi ziemi włoskiej. Trzeba mieć w pamięci różnicę między środowiskami, z których wyszli obaj poeci; inny jest poziom kultury włoskiej i inny naszej! Włochy to jednak kolebka cywilizacji całej Europy, to ojczyzna najtęższych i najwspanialszych przejawów ducha ludzkiego.

Jeżeli nawet światła wielkich myśli i uczuć przygasały tam na czas pewien, pozostawały zawsze ich niezniszczalne ślady, z których jak Feniks z popiołów odradzają się nowe skarby i zjawiają się nowe genialne pomysły, wskazujące ludzkości drogi postępu. — Rozkwit nauk i sztuk

pięknych we wszystkich krajach włoskich w ostatnim stuleciu, po letargu średniowiecza, wymownie to stwierdza.

Tymczasem u nas w Polsce twarde i trudne warunki bytu nie sprzyjały rozwojowi życia duchowego. Dopiero w początku ubiegłego wieku dzięki polityce Jagiellonów, dzięki wpływom coraz liczniej się osiedlających w Polsce klasztorów cudzoziemskich i na skutek coraz bardziej ożywionych stosunków z Zachodem zaczęła się budzić myśl i chęć do oświaty. — Zaczęła kiełkować świadomość, że oprócz wojny i uprawy roli są jeszcze inne cele i zadania w życiu narodów. — Tu i owdzie zjawiali się ludzie, którzy z Zachodu przywieźli zamiłowania naukowe. Zaczęto zakładać szkoły. Ożywiono skostniały pod wpływami średniowiecza Uniwersytet Krakowski, sprowadzono dużo ciekawych książek. — Wielką w tym względzie zasługę ma Królowa Bona, dzięki której w ostatnich czasach kulturalne wpływy włoskie przenikają coraz mocniej do Polski. — Naogół jednak jeszcze i dzisiaj niewielka tylko garstka ludzi w Polsce bierze udział w rozwoju życia duchowego. — Ludzi tych można porównać z kwiatami, które w roku zeszłym sprowadziła przez Hiszpanię z Ameryki Królowa Bona do ogrodów krakowskich. — Słonecznikami nazwano te kwiaty w Polsce. Łakną one tak bardzo światła, że wciąż swoje wspaniałe, złociste głowy zwracają ku słońcu. — Chociaż tych roślin jest jeszcze bardzo niewiele w ogrodach królewskich, rzucają się one w oczy każdemu przechodniowi, gdyż odcinają się jaskrawo od innych przyziemnych roślin, które tak chciwie do światła się nie garną.

W ojczyźnie Aretina takich *ludzi - słoneczników* pełno jest w każdym, większym mieście. Powietrze, którym się tam oddycha, nasycone jest słońcem, mądrością i pięknem. Skarby nauki i sztuki narzucają się wprost każdemu.

Liczne pomniki antycznej architektury, prastare rzeźby, omszałe kamienie i marmury, tak te, które widać na powierzchni, jak i te, których bytu pod ziemią domyślają się bardziej wnikliwe umysły, mówią o dziełach przodków, którzy przed wiekami odeszli, i stanowią źródła nowych natchnień dla spółczesnych. Rodzą się wciąż nowe bujne myśli. — Jest ciągły turniej słów i czynów. Życie mieni się barwami tęczy. — Nic więc dziwnego, że i poeci tamtejsi mają inny styl, niż poeci polscy, a przekrój ich talentów jest bogatszy i bardziej błyskotliwy.

Bardzo to pięknie Waćpan przedstawiłeś, powiedział Zambocki. Z każdego słowa widać poetę!

Mam tutaj jeszcze różne ulotki, — prawił dalej Koszyrski. — Jedną z nich specjalnie zachwalał mi młody Boner. — Trochę przydługa, ale podobno treść ma być bardzo na czasie; wiąże się z pojednaniem między Królową i Krzyckim i zawiera dowcipną charakterystykę osoby Krzyckiego.

Poezja jest nawet w tytule, który trochę nieudolnym piórem kanonika Tarły trąci:

*) CHCESZ POZYSKAĆ ŁASKI „WĘŻA"
POZNAJ BLIŻEJ TEGO MĘŻA.

Postać drobna, smagła cera,
Zgrabny, zwinność w nim pajęcza!
W Bolonii wiedzę pobierał,
Dużą dworność jej zawdzięcza!

Kult i instynkt odrodzenia
Rozwinęły w nim za młodu
Humanistów nastawienia
Włoskich! Brak jednak dowodu
Czy wytrwał w tym należycie,
By je wcielić kiedyś w życie.

Jego namiętnością szczerą
Była pogoń za karierą.
Wybrał zawód duchownego,
Bo to droga najpewniejsza
Do dostatku zaszczytnego!
Powołanie? O to mniejsza!

Szuka nowinek Luterskich
Czci Erazma z Rotterdamu,
By tradycyj duszpasterskich
Bronić przed wpływem rozłamu!
Nie jest w stanie drogi wskazać
Błądzącym — własnym przykładem,
Zatym piórem ton chce nadać
I wytwornych rymów składem!

Nie bacząc swych szat kapłańskich,
Miast żywotów świętych pańskich,

*) Rymy układała pani H. S. F. K.

Bóstwa Olimpu wysławia!
Tym Królewski Dwór zabawia!
Pochlebstwa sieje niezdrowe
Niby pieśniarz z łaski Bożej!
Wiersze okolicznościowe
Na cześć możnych chętnie tworzy!

W kancelarii dyplomatów
Jest filarem w wielkiej mierze,
Hołdujący głównie wojnom
Podjazdowym na papierze.
Tak przegryza się przez życie
Popierany przez wpływowych
Krewnych — możnych, by na szczycie
Splendorów wciąż szukać nowych.

. . . . . .

Drzwi od przedsionka uchyliły się. — Koszyrski przerwał czytanie ulotki i zręcznie schował ją do kieszeni kaftana. — Głowę wsunął do kancelarii Andrzej Krzycki biskup przemyski. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł na powitanie. Szukam Wapowskiego, aby mu zakomunikować ważne zlecenie od Podkanclerzego Tomickiego. Wujowi Tomickiemu niedobrze na oczy zrobiła wczorajsza wycieczka do Gomolina. Mroźny wiatr wywołał znów zapalenie powiek, do którego ma skłonność. Medyk nie pozwolił mu dziś z domu wychodzić. Zalecił siedzenie w cieple, w ciemnym pokoju. Oczy trzeba przemywać i wzmocnić na jutrzejszą oficjalną rozprawę w Trybunale, gdzie mają być rozpatrywane sprawy gdańskie. Coprawda wuj wszystkie materiały, dotyczące tej kwestii, zna tak dobrze, że dzisiejsze posiedzenie

niczego go nauczyć nie może, żałuje jednak, że nie może być obecnym, pragnął bowiem raz jeszcze wskazać na konieczność jak najsurowszego osądzenia sprawy.

Kanonik Wapowski był tu przed godziną, oznajmił Zambocki. Miał do załatwienia jakiś interes w mieście i powinien wrócić za chwilę. Może ksiądz biskup raczy poczekać i ogrzeje się tymczasem przed kominem.

Wielce mi jest miłym zawsze towarzystwo Waćpanów, ale muszę śpieszyć do Króla Jegomości, aby Go uprzedzić o niedyspozycji wuja Tomickiego.

Zambocki zabrał się z powrotem do segregowania aktów, a biskup przemyski zbliżył się ku płonącemu kominowi i, spoglądając zukosa na stosy papierów gdańskich, rzucił złośliwie:

Panowie z Rady nie spieszą się jakoś na dzisiejsze rekolekcje gdańskie. Dotychczas widzę tylko za stołem najpilniejszych z pilnych. Zambocki chce sobie jaknajrychlej zasłużyć starostwo Ciechanowskie, a Waćpana, Mości Korybucie, czy zapędzono również do tej antiheretyckiej roboty?

„Nie, nie, ja z Gdańskiem nie mam nic wspólnego. Przyszedłem tylko, aby opowiedzieć Zambockiemu o delicjach gomolińskich, — zawołał wesoło Korybut Koszyrski. Biegnę wnet po zlecenia do Króla Jegomości, który mnie jutro do Krakowa wysyła.

Dobrze wiedzieć o tym, odrzekł Krzycki, to i ja Waćpana poproszę o zabranie paru listów do Krakowa.

Obydwaj skierowali się ku wyjściu, Zambocki

zaś zawołał jeszcze żartobliwie za odchodzącymi: Cieszę się, że ksiądz biskup przebaczył nareszcie Włoszce intrygę poznańską. Słyszę, że znów się rozpoczęła idylla między „Smokiem" i „Kotwiczem". Podobno wczorajsza oracja była bardzo udana.

Krzycki odwrócił się i odpowiedział swoim ulubionym dwuwierszem polskim:

Fortuna bogini z ludzi, jako z bydła
Z jednych garść, z drugich szczyptę, przecie chce kadzidła.

Potem zatrzymał się jeszcze przy samych drzwiach, pomyślał chwilę i rzekł z udaną powagą: Cały dzień wczoraj robiłem wujowi Tomickiemu wyrzuty, że referat gdański powierzył Waćpanowi. Toć wszystkim wiadomo, że „n o w i n k i" religijne w Polsce nie mają gorliwszego nad Waćpana zwolennika! Czy przy takich skłonnościach referenta można liczyć na jego bezstronność? Wróble na dachach świergocą, że Waćpan pocichu sprzyja heretykom gdańskim i że byłeś lutrem, zanim Luter się narodził!

Ante Luther fueras, quam Luther ortus erat! *)

Nie ja jeden w Polsce mam w Gdańsku i Prusach przyjaciół! Czem wyżej szukać, tem więcej się takich znajdzie, odciął się Zambocki.

Ci z bardzo wysoka nie są groźni, ciągnął Krzycki. Jak zjedzą śledzie gdańskie i znoszą sukno niemieckie, o przyjaźni zapomną — i staną się znów gorliwymi obrońcami Kościoła Katolickiego.

---

*) Byłeś lutrem zanim narodził się sam Luter.

Gorsi są „ciekawscy", co to z zamiłowania filozoficznego radzi każdą „nowinkę" węszą. Chodzą oni przykładnie z Królem do kościoła, ale wątpią o nieśmiertelności duszy i o papieżu bez uszanowania mówią!!!

Przykład z góry idzie, rzekł z uśmiechem Zambocki, widocznie jest to s i g n u m t e m p o r i s *). Niemało ja znam świetnych biskupów w Polsce, dla których list pochwalny Erazma Rotterdamczyka znaczy więcej, niż głos z Rzymu ich dochodzący.

Biskup przemyski pogroził palcem Zambockiemu, wziął pod ramię Korybuta - Koszyrskiego i poszedł szukać kanonika Wapowskiego w poczekalniach królewskich.

We drzwiach wychodzący natknęli się na pokojowca królewskiego. Król Jegomość dał mi polecenie, mówił on frasobliwie, aby prosić Waszmościów o przywołanie duchem jakiegoś lekarza z miasta. Jak wiadomo. Miłościwy Pan wielce się lubuje w wiewiórce, którą przed paru laty z Litwy przywiózł. Zawsze ze sobą ją wozi. Wczoraj w Gomolinie, podczas kiedy Król Jegomość był na polowaniu, wiewiórka uciekła do ogrodu! Nie mogli jej nijak złapać. Widocznie za długo była na mrozie, a już go nie jest zwyczajna. Dzisiaj jest bardzo kiepska, — piszczy żałośnie, nic jeść nie chce i kęs, a zdechnie! Medyk Jego Królewskiej Mości został na dzień dzisiejszy w Gomolinie, bo tam się włoszki z zimna pochorowały, i teraz Król niema się kogo poradzić.

———————

*) Znak czasu.

Krzycki wysłuchawszy, o co królewskiemu pokojowcowi idzie, powrócił do kancelarii i poprosił Zambockiego, aby skreślił słówko w jego imieniu i natychmiast posłał do lekarza podkanclerzego Tomickiego.

Wuj nie jest tak cierpiący, żeby lekarz musiał przy nim czuwać bez przerwy. Może medyk ten będzie miał szczęśliwą rękę, rzekł Krzycki, i uda mu się uratować faworytkę królewską.

A jak leki nie pomogą, zawołał Zambocki, to ksiądz biskup będzie musiał wierszowane pożegnanie i epitaphium dla wiewiórki szykować.

Poufna narada.

Za stołem w pośrodku zasiadł Król Zygmunt. Po prawej ręce Króla zajął miejsce Prymas Łaski, po lewej kanclerz Szydłowiecki. Dalej siedzieli Biskupi: Jan Latalski, Maciej Drzewicki i Andrzej Krzycki. Marszałek Kmita, kasztelan Łukasz Górka, wojewoda poznański Stanisław Kościelecki, wojewoda lubelski Andrzej Tęczyński, kanonik Wapowski, sekretarz królewski, archidiakon Jan Chojeński i urzędnik kancelaryjny Jan Zambocki, brali również udział w naradzie.

Król Zygmunt zagaił posiedzenie w te słowa: Jak Wysokiej Radzie wiadomo jutro w Trybunale Piotrkowskim mają być rozpatrywane sprawy gdańskie. Burmistrz Bischoff, jego pomocnik Zimmerman i całe grono członków nowej Rady miasta Gdańska bawią już od dni kilku w Piotrkowie, ale o ile wiem, nic nowego Trybunałowi nie zakomunikują. Zwołałem dzisiejsze poufne posiedzenie, aby

Panowie Rada, po zaznajomieniu się z obfitym materiałem, zebranym w ciągu ostatnich lat w sprawach gdańskich i po wysłuchaniu sprawozdania, które na moją prośbę Prymas Łaski przygotował, mogli wymienić wzajemnie opinię i zorientować się w faktycznym stanie rzeczy.

Przede wszystkim należałoby zająć stanowisko co do tego, czy sprawy gdańskie można osądzić tutaj w Piotrkowie, czy też rozprawę przenieść na forum gdańskie. Rozprawa w Gdańsku ułatwiłaby może wyjaśnienie winy oraz dosięgnięcie winowajców, ale nasuwa ona obawy jeszcze głębszego powikłania wzajemnych stosunków między Polską i Wolnym Miastem.

Natura przewinień gdańskich jest niezmiernie drażliwa. Chodzi nietylko o jak najsprawiedliwszy wymiar kary winnym, ale również o pogodzenie polityki Państwa Polskiego z polityką Rzymu.

Czym jest Gdańsk dla Polski, każdy z Panów zdaje sobie sprawę i nie potrzebuje chyba tego dzisiejszemu zgromadzeniu wyjaśniać.

Z pewnych źródeł wiem, że Gdańsk chce skorzystać z obecnej zawieruchy, aby podjąć próby oderwania się ponownie od Polski, należy przeto działać z wielką oględnością i przezornością.

Jakkolwiek Prusy recte dawny Zakon Krzyżacki, są już dzisiaj naszym lennikiem i sprzymierzeńcem, — a więc gdańszczanom pomocy nie udzielą, — pragnąłbym uniknąć w stosunku do Gdańska działań wojennych, które tak ze względu na stan skarbu, jak i na fatalną organizację naszych sił zbrojnych, uważałbym zawsze tylko za

malum necessarium *). Tak, czy inaczej, Kościołowi Katolickiemu w Gdańsku należy się od nas obrona i stanowisku takiemu wyraz dać musimy.

Wiemy, że panowie Rada różne mają zapatrywania na idące z Zachodu prądy religijne, proszę przeto, — aby dyskusja dzisiejsza w tym punkcie nie wykraczała poza materiał w aktach gdańskich się znajdujący i aby poniechane były wszelkie wycieczki osobiste.

Motywy zakazu tematów religijnych na zebraniach i ucztach oficjalnych, zakazu, wydanego przeze mnie w roku ubiegłym, na wniosek biskupa Krzyckiego i Marszałka Kmity, przypominam Waszmościom i proszę uważać je za obowiązujące dziś w całej rozciągłości.

Z wielkim żalem dowiedziałem się przed chwilą, że biskup Tomicki zaniemógł i nie może przyjąć udziału w dzisiejszej naradzie. Wielki to dla mnie frasunek, — liczyłem bowiem na jego światłe rady i wielkie doświadczenie prawne i sądowe.

Słyszę, że biskup Krzycki upoważniony jest przez Podkanclerzego Tomickiego do poczynienia pewnych oświadczeń w jego imieniu, — radzi będziemy niezmiernie wysłuchać ich we właściwym momencie.

Mości Zambocki, prosimy o przystąpienie do referatu.

Zambocki powstał z miejsca i donośnym głosem zaczął czytać ułożoną przez siebie historię wypadków gdańskich.

Za punkt wyjścia wzięty był zatarg dawnego burmistrza Ferbera z poprzednią Radą Miejską.

---

*) Zło konieczne.

Okoliczności, towarzyszące tej sprawie były szczegółowo przedstawione przez referenta.

Wszystkie raporty władz gdańskich o następujących kolejno zmianach w administracji i kościele oraz odpowiedzi królewskie na rzeczone raporty, były odczytane z dokumentów urzędowych.

Szczegółowo również zreferowane zostały obecnym edykty królewskie, wysłane do gdańszczan oraz wyniki wszystkich dochodzeń i badań, dokonanych na miejscu w Gdańsku przez delegowanych wielokrotnie komisarzy królewskich, jak również protokóły zeznań, parokrotnie do Krakowa wzywanych członków dawnej i obecnej Rady miasta Gdańska.

Wielkie oburzenie wywołał szczegółowy opis incydentu i przykrości, jakich biskup Włocławski Drzewicki od gdańszczan doznał.

Na zakończenie Zambocki odczytał sprawozdanie, opracowane dla Jego Królewskiej Mości przez Prymasa Łaskiego.

Król Zygmunt zwrócił się do kanclerza Szydłowieckiego, prosząc go o wyrażenie opinii.

Kanclerz Szydłowiecki podzielił w zupełności zapatrywania Prymasa Łaskiego na wypadki gdańskie. Co do formy i procedury sądzenia spraw gdańskich skłaniał się również od rad i zaleceń. Prymasa Łaskiego i ostrzegał z wielu względów, aby przy wymiarze kar winowajcom stosowana była jak najdalej idąca ostrożność i łagodność.

Zdaniem kanclerza, sprawy te powinny być rozpatrywane nie w Piotrkowie, a w Gdańsku.

Byłoby wskazane dać do zrozumienia gdańszczanom, iż od nich musi wyjść prośba, aby Je-

go Królewska Mość zaszczycił swoimi odwiedzinami Gdańsk i wszystkie spory tam na miejscu rozpatrzył i osądził.

Tej podróży królewskiej trzeba zapewnić należyte bezpieczeństwo i splendor.

Aby ułatwić lojalnym czynnikom gdańskim wykonanie tego projektu, bez przerażania opinii publicznej groźbą ekspedycji karnej, złożonej z najwyższych władz polskich, możnaby oznajmić jutro gdańszczanom, iż materiał w tych sprawach zebrany jest niedostateczny do ich osądzenia i należy go uzupełnić, że Jego Królewska Mość wiosną wybiera się z dworem na objazd miast pruskich i dotrze zapewne do samego Malborga. Tam można będzie odbyć sądy i zawezwać z Gdańska wszystkich tych, którym pozwy będą doręczone przez Komisarzy królewskich. — Może bytność dworu w tak bliskim sąsiedztwie Gdańska — pozwoli burmistrzowi Bischoffowi wystąpić we właściwym momencie z inicjatywą wykorzystania tej okazji i skłonienia Rady Miejskiej do zaproszenia Jego Królewskiej Mości do Gdańska celem ostatecznego wypośrodkowania wszystkich kontrowersji i uproszenia łaski królewskiej przez winnych na miejscu w Gdańsku.

Na to odpowiedział z zezwolenia królewskiego biskup Drzewicki.

Przestrzegał on Jego Królewską Mość przed wyjazdem do Gdańska.

Nastroje ludności tamtejszej malował w czarnych barwach. Zdrada stanu wisi w Gdańsku w powietrzu. Oburzał się na brak subordynacji i bezpieczeństwa w mieście.

Barwnie opowiedział obecnym swoją przygodę i zatarg z motłochem gdańskim i zacytował cały szereg przykładów anarchii. Nie godził się ze sprawozdaniem Prymasa Łaskiego, w którym podkreśla się, — iż za winowajców przewrotu uważać należy tylko garstkę prowodyrów ludowych. Twierdził, że za wyłączeniem dawnej Rady Miejskiej i nielicznych grup ze świata kupieckiego oraz rzemieślniczego, cała ludność niemiecka w Gdańsku jest zrewoltowana. Uboga ludność kaszubska dotychczas trzymała się na uboczu, ale zależna po większej części gospodarczo od niemców, pchana jest przez nich groźbą również do buntu. Radził w dniu jutrzejszym zbadać obecnych w Piotrkowie gdańszczan — ustalić okoliczności najjaskrawszych przewinień i osoby winowajców, posłać pozwy winowajcom nieobecnym pod groźbą banicji, a obecnych zatrzymać tymczasem chociażby w areszcie domowym.

Wyprawić niezwłocznie przynajmniej jeden hufiec pancernych do Gdańska, aby dopilnowali wykonania wyroków i rozkazów królewskich i stanowili przez czas dłuższy stały garnizon współdziałający z milicją kupiecką w przywróceniu ładu i porządku w mieście.

Tylko siłą, przemocą i surowością można nakłonić tych wyznawców antychrysta Islebskiego do powrotu na łono Katolickiego Kościoła i nakazać zamaskowanym zdrajcom poszanowanie dla edyktów królewskich.

Głos zabrał z kolei M a r s z a ł e k K m i t a, który nie podzielał bynajmniej stanowiska Prymasa Łaskiego i kanclerza Szydłowieckiego.

Uważał on, iż przeniesienie Sądów do Gdańska i podróż Króla Jegomości do tego miasta w obecnych warunkach nasuwa wiele trudności, obaw i niebezpieczeństw. Raczej należałoby uwzględnić rady biskupa Drzewickiego, jako wysnute z jego niedawnego osobistego doświadczenia.

Obecny groźny stan rzeczy nakazuje wysłanie jednego przynajmniej hufca pancernych i zakwaterowanie go na czas dłuższy w Gdańsku dla ochrony kościołów, duchowieństwa, cudzoziemców i lojalnego kupiectwa.

Trzeba wyczekać, jakie wyniki da ta represja. Tymczasem, zaraz w Piotrkowie powinno się rozpatrzyć niektóre najbardziej jaskrawe przewinienia, nieobecnych głównych winowajców wezwać do Polski, zatrzymać i wymierzyć im karę najsurowszą, a współwinnych skazać na banicję, której wykonania dopilnują wojska królewskie.

Jeżeli Jego Królewska Mość, z uwagi na szerzące się wieści i pogróżki, co do ponownego najścia tatarów na Węgry, nie chciałby regularnego wojska z Krakowa na dłużej zabierać, Kmita może swoje własne prywatne poczty, z należytym ekwipunkiem i zapasami broni, do Gdańska wysłać, aby na wypadek buntu i zdrady, broniły przynależności Gdańska do Polski i stały na straży władzy królewskiej. Stosunki gdańskie oddawna już wymagają polityki mocnej i zbrojnej ręki.

Potem biskup Przemyski K r z y c k i poprosił o głos i oświadczył, co następuje:

Od lat kilku patrzymy na panoszenie się herezji w całej Polsce, a w miastach pruskich i w Gdańsku w szczególności. Niebezpieczeństwo,

jakie z tego tytułu grozić zaczyna Kościołowi Katolickiemu przejmuje zgrozą i przerażeniem.

Niema co ukrywać, że w zaraniu działalności Lutra, oświecone koła społeczeństwa polskiego interesowały się życzliwie nową nauką. W kościele były i są wciąż jeszcze niedomagania. Sądzono, że głos Lutra znajdzie echo w Rzymie i przyspieszy zarządzenia i zmiany na lepsze.

Biję się w piersi Wysoka Rado i z całą szczerością i skruchą wyznaję, że i ja osobiście podzielałem pierwotnie niektóre zapatrywania Lutra.

P e c c a v i ! Zresztą większość polskiego duchowieństwa i znakomitych mężów świeckich w Polsce czyniła to samo, zdając sobie sprawę, że w Rzymie nie wszystkie sprawy załatwiane są według wskazań ewangelii!!

E r r a r e h u m a n u m e s t ! Prądy humanistyczne, które ogarnęły wszystkich myślących ludzi na Zachodzie i które do Polski zewsząd przenikają, sprzyjały rozwojowi liberalnych zasad i usprawiedliwiały tolerancję nowych pojęć i myśli. Dopiero, kiedy pod pretekstem reform religijnych zaczęły się wichrzenia socjalne, bezprawia i krzywdy, kiedy szczerzy i nieszczerzy wyznawcy Lutra zaczęli dopuszczać się jawnie nadużyć materialnych, świat katolicki przejrzał na oczy! Spostrzeżono wtedy, iż herezja rozpętała istne piekło na ziemi! Sam Luter, przerażony, zwracał się niejednokrotnie w pismach i mowie do swoich wyznawców, aby słuchali praw kraju, w którym mieszkają i wszystko czynili, co przystoi dla utrzymania pokoju i prawa. Odezwy te wyszły za późno i pozostały bez skutku. Dziś rzeczy zaszły tak daleko,

że wyznawcy Lutra we wszystkich krajach, to gniazda niebezpiecznych, często drapieżnych fanatyków, z którymi nam katolikom sądzono stoczyć walkę na śmierć i życie, jeżeli chcemy, aby nauka Chrystusowa i jej najświętsza zasada miłości i poszanowania bliźniego ocalała i nie była zdeptana ostatecznie przez szaleńców.

Zaniepokojenie stolicy Apostolskiej obecnym stanem rzeczy w Polsce wzrasta z dniem każdym. Pisma Ojca Świętego Klemensa VII, do kanclerza Szydłowieckiego i Prymasa Łaskiego skierowane, pełne są trosk i przestróg, z powodu grożącego Kościołowi w Polsce niebezpieczeństwa.

Niektóre ościenne Państwa zajęły już właściwe stanowisko i dały nam przykład, jak postępować z odszczepieńcami należy.

To, co się dzieje w Gdańsku, to łańcuch zbrodni przeciwko prawom boskim i ludzkim, które nie mogą ujść bezkarnie i którym pobłażać nie wolno, bez ujmy dla mocarstwowego stanowiska Polski.

Biskup krakowski, który zaniemógł po wczorajszej podróży do Gomolina i nie mógł przybyć na dzisiejsze zebranie, — prosił mnie, — abym oświadczył w jego imieniu, — iż sądzi on, że tylko najsurowsze ukaranie winnych gdańszczan może przywrócić ład w tym mieście i ugruntować należycie stanowisko Kościoła Katolickiego i naszą hegemonię w Gdańsku.

Opinię tę podzielam w zupełności. Jeżeli chcemy Gdańsk utrzymać i z Polską go zespolić, zbrodnie gdańskie muszą być jak najsurowiej osądzone. Aparat sprawiedliwości musi być zorganizowany i usprawniony tak, aby i sami winowajcy

i wszyscy wrogowie naszego Państwa ukorzyli się przed słusznością i jasnością wyroków Króla Polskiego.

Obawy biskupa Drzewickiego wydają mi się płonne. Zbytnią ostrożnością nie należy grzeszyć. To graniczyłoby z małodusznością i ubliżałoby Majestatowi naszej potężnej Ojczyzny. Jestem przekonany, że gdyby biskup Drzewicki nie wyjechał wówczas z Gdańska, pośpiesznie, nocą, po afroncie, jaki mu pospólstwo gdańskie wyrządziło, a zajął był natychmiast postawę więcej bojową i zdeterminowaną, niegodziwcy byliby uderzyli sami w pokorę.

Trzeba wszystkie wolne siły zbrojne zgromadzić i niezwłocznie wysłać do Gdańska, a jednocześnie skorzystać z życzliwej pomocy Marszałka Kmity i podobnych propozycyj innych magnatów, które niewątpliwie będą zgłoszone.

Pod osłoną sił zbrojnych Jego Królewska Mość będzie mógł spokojnie rozpatrzyć bieg wypadków na miejscu w Gdańsku — przeprowadzić należyte śledztwo i wymierzyć surową karę winnym. — Głuchych wieści o szykującej się w Gdańsku zdradzie stanu nie należy lekceważyć. Miasto to po zniemczeniu go przez krzyżaków jest już od dawna gniazdem i przykładem wiarołomstwa. Łagodność, której domagają się tutaj dla gdańszczan niektórzy panowie z Rady byłaby w tym wypadku źle wybranym środkiem odwetowym, byłaby „curiosum" międzynarodowym, zadziwiłaby cały świat katolicki i rozzuchwaliłaby tylko odszczepieńców gdańskich, którzy już dziś głoszą, że wszystkie winy będą im płazem puszczone, gdyż mają

w Polsce o wiele więcej protektorów i przyjaciół, niż przypuszczali, a z punktu widzenia polityki handlowej Polska jest zależna od Gdańska,, a nie Gdańsk od Polski.

Z kolei głos zabierali różni mówcy. Rozprawy były coraz głośniejsze. Różnice zdań stawały się coraz ostrzejsze, a przytyki osobiste padały coraz częściej.

Oprócz kanclerza Szydłowieckiego i Prymasa Łaskiego cała Rada żądała jaknajsurowszego ukarania wszystkich winowajców w czambuł.

Nie szczędzono również aluzyj i złośliwych uwag, że zalecane przez Kanclerza i Prymasa pobłażanie wynika z niedosyć przejrzystych motywów.

Podrażniony najwidoczniej poprzednimi wnioskami, domagającymi się bezwzględnej surowości sądów, Prymas Łaski poprosił o głos i odpowiedział przedmówcom:

Sprawy gdańskie przewertowałem pilnie i wszechstronnie, opracowując sprawozdanie dla Jego Królewskiej Mości. Z opisów, jakie w różnych raportach i zeznaniach doszły rąk moich wnoszę, iż w walce niższych warstw gdańskich przeciwko duchowieństwu i patrycjuszom, nie ma nigdzie dowodów lub śladów buntu czy oporu przeciwko zwierzchniej władzy Króla Polskiego. Podkreślić należy, że i wśród warstw niższych nastroje są różne i niepodobna win uogólniać i potępiać w czambuł całej ludności. Właściwie, winowajcami są przywódcy ludowi, którzy w paru wypadkach uzurpowali władzę i pociągali za sobą otumaniony tłum.

Widzi mi się, — że kupcy i cechy rzemieślni-

cze naogół miały mało łączności z ostatnim buntem i jeżeli chciałoby się mieć więcej światła i prawdy co do poszczególnych zajść i utrwalić porządek rzeczy na przyszłość, należałoby stanowisko kupiectwa i cechów potraktować oddzielnie, bezpośrednio z nimi nawiązać kontakt i poczynić wywiady, dając im do zrozumienia, że ocenia się ich dotychczasową lojalność.

Wszystko to upoważniło mnie do zalecenia wielkiej rozwagi, a nawet łagodności, przy sądzeniu spraw gdańskich. Zbytnia surowość może tylko rozjątrzyć te stosunki i dać zgoła niepożądane wyniki.

Jeżeli pragniemy Gdańsk utrzymać i z Polską związać, nie wystarczy stosowanie surowych kar od wypadku do wypadku lub użycie siły zbrojnej w momentach, kiedy współżyciu naszemu z Gdańskiem zagraża niebezpieczeństwo.

Polska, jeżeli chce być potężnym mocarstwem, musi wytworzyć sobie w sprawie tak ważnej, jak gdańska, głęboko przemyślany program polityczny, uzgodniony z całokształtem naszej polityki państwowej.

Trzeba uświadomić sobie, że w obecnym stanie rzeczy Polska jest tylko potęgą lądową i w razie konfliktu zbrojnego nie mamy możności ani obronienia Gdańska, ani utrzymania go dla Polski. — Dopiero wtedy będziemy pewni Gdańska, — kiedy będziemy w stanie zaatakować go lub obronić od strony morza. — Dla tego trzeba mieć własne okręty i ludzi wyćwiczonych i obeznanych z morzem.

Stworzenie floty polskiej jest najpilniejszym

obowiązkiem rządu i żeby nawet wypadło ponieść wielkie ofiary, ofiary nad siły i możność narodu, trzeba utworzyć nowy podatek i zdobyć się na ten wysiłek!!...

Zaniedbaliśmy tego wczoraj, zaniedbujemy dzisiaj, oby j u t r o przyniosło zmiany na lepsze w tych stosunkach. Trzeba niezwłocznie do dzieła przystąpić i jeszcze w tym roku pomyśleć o budowie paru chociaż okrętów.

Tymczasem Bałtyk jest *mare clausum* Hanzy oraz pobrzeżnych państw niemieckich i skandynawskich. — Nie widać na nim ani jednej bandery polskiej!

W tym tkwi wielkie nieszczęście i niebezpieczeństwo dla przyszłości polityki naszej nietylko w stosunku do Gdańska, ale i w stosunku do całego świata.

W przyszłości ten naród będzie we władaniu światem brał udział, — który będzie miał większą ilość okrętów.

Poucza nas już dziś w tym względzie historia Hiszpanii i Anglii — i rozwój potęgi obu tych państw.

Wobec ostatnich wypadków w łonie zakonu krzyżackiego można obecnie z łatwością przy udziale stolicy Apostolskiej traktat toruński zmodyfikować i legalnie w Gdańsku utworzyć port dla statków polskich.

Poza tym, na pierwszy plan wysuwa się konieczność kolonizacji Pomorza.

Niejednokrotnie nawoływałem, że trzeba więcej uwagi zwrócić na stan szlachecki i na nim się oprzeć. Trzeba zająć się oświatą i poprawieniem

bytu tej licznej warstwy społecznej, która dziś z braku organizacji i oświaty jest ugorem politycznym. Mamy na Pomorzu i w ziemiach pruskich rozległe królewszczyzny, niemcom w dzierżawę oddane. Trzeba te ziemie niemcom odebrać i w nich osiedlić jak najwięcej młodzieży szlacheckiej i kmieci z serca Polski pochodzących — a miasta pruskie, zwłaszcza Gdańsk, zaludniać rzemieślnikami i kupcami polskimi. Należałoby również klasztorom katolickim część ziemi wydzielić, aby stały na straży dobra, bezpieczeństwa i równowagi kościoła katolickiego nad morzem. Tylko w ten sposób można będzie stworzyć przeciwwagę kolonizacji niemieckiej w tych krajach i zapobiec szerzącemu się coraz bardziej zniemczeniu i herezji.

Oto są niezawodne środki utrzymania Gdańska i dostępu do morza. — Rozpoczęcie tego programu powinno nastąpić jak najrychlej, a zapoczątkować go może bytność Jego Królewskiej Mości w Gdańsku i rozpatrzenie na miejscu zmian kościelnych i socjalnych, — jakie w ciągu ostatnich lat w tym mieście zaszły.

Jednocześnie mogły by być rozważone możliwości utworzenia w Gdańsku portu dla okrętów polskich.

Przemówienie Prymasa Łaskiego wywołało liczne i ożywione repliki.

Wycieczki osobiste wzmogły się i nastrój stawał się coraz bardziej burzliwy i wojowniczy.

Biskup Przemyski nie mógł się powstrzymać, aby nie wytknąć Prymasowi Łaskiemu, iż w sprawozdaniu jego więcej jest obrony, jak potępienia stanowiska gdańszczan, a w opisie wydarzeń wię-

cej jest poglądów burmistrza Bischoffa — niż jego własnych spostrzeżeń, opartych na faktycznym materiale.

Projekty Prymasa, co do kolonizacji Gdańska i Prus są, zdaniem biskupa przemyskiego, nierealne i nie mają nic wspólnego z przedmiotem dzisiejszych obrad.

Król słuchał tych waśni i swarów w milczeniu, ze zmarszczonymi brwiami. W pewnej chwili ruchem ręki przerwał głos Krzyckiego, a sam odezwał się w te słowa:

Sprawa jest dostatecznie wyjaśniona, a dalsze oracje mogłyby tylko doprowadzić do niepożądanych i gorszących poswarków pomiędzy członkami Rady.

Z materiałów przedstawionych nam przez Mości Zambockiego i z przemówień, wygłoszonych dzisiaj przez moich doradców, wynika, że w sprawach gdańskich rozróżniać należy dwie kategorie:

1) przewinienia przeciwko władzy Króla Polskiego względnie przeciwko Państwu polskiemu,

2) przewinienia przeciwko religii.

Rzeczone przewinienia, zwłaszcza kategorii pierwszej wyjaśnić może należycie tylko przewód sądowy na miejscu w Gdańsku.

Z tych względów pożądane jest ostateczne rozpoznanie tych spraw w Gdańsku, a nie tu w Piotrkowie.

Odpowiedzi w tym sensie jutro gdańszczanom udzielić należy, z uwzględnieniem rad Prymasa Łaskiego i kanclerza Szydłowieckiego.

Co do stanowiska — jakie względem winnych zająć należy, czy traktować przewinienia bardzo

surowo, czy też z pewną łaskawością, o czym Wacpanowie dziś tak długo deliberowali, trudno obecnie coś pewnego orzec — byłoby to przesądzanie wyników niewiadomego jeszcze dzisiaj przewodu sądowego.

— W każdym razie najwyższa i niezależna słuszność (aequitas) oraz racja stanu wymagają, aby kary ściśle były zróżniczkowane.

O ile przewinieniom kategorii pierwszej, po stwierdzeniu ich, folgować nie mamy prawa, o tyle przewinienia przeciwko religii winny być potraktowane z niezwykłą ostrożnością.

Cywilizacja nasza jest związana całkowicie z religią rzymsko-katolicką, która między innymi utrwaliła w naszym życiu społecznym ideę, że jednostka ludzka posiada wartość absolutną (valorem absolutum) ponad wszystkimi wartościami istniejącą.

Idea ta stanowi o wolnej woli człowieka i jego odpowiedzialności, jak również i o prawie swobody sumienia w kwestiach wiary.

Kto w zgodzie z sumieniem swoim, ale inaczej, jak kościół katolicki, rozumie dogmaty wiary, kto od kościoła rzymskiego odchodzi nawet do fałszywego proroka, ale czyni to z godnością i bez jawnego gorszenia bliźnich, możemy probować go oświecić, nawrócić na właściwą drogę, ale nie mamy go prawa karać! Chyba, że odszczepieniec bluźnić zaczyna Kościołowi katolickiemu, że gorszy innych rozmyślnie, że popełnia w kościele czyny występne i krzywdzi lub obraża duchowieństwo, wtedy w zależności od winy na wymiar kary zasługuje.

Każdy gwałt jest mi wstrętny i do przemocy nigdy nie dopuszczę!

Monarchowie z dynastii Piastów i Jagiellonów, którzy przede mną berło dzierżyli, przekazali swoim następcom tradycje umiaru, ludzkości i sprawiedliwości. Tą drogą i ja zawżdy kroczyć będę.

Między władzą królewską i ludami, które zamieszkują ziemie polskie musi być harmonia i wzajemne zrozumienie!

Rządy i wszelkie w nich zmiany przystosowane być muszą nie tylko do potrzeb, — ale i do uczuć najszerszych mas ludności!

Aby dać poznać obecnym, — że obrady są już zamknięte, Jego Królewska Mość począł dziękować zebranym za pomoc i rady wygłoszone w sprawach gdańskich.

W trakcie tego drzwi od przedsionka nieśmiało uchylił pokojowiec królewski. Na ręku trzymał on wiewiórkę, troskliwie zawiniętą w zajęcze futerko.

Łebek faworytki królewskiej zwisał bezwładnie, a frasunek na twarzy chłopca nie wróżył nic dobrego.

Król Zygmunt zasępił się, ręką wskazał pokojowcowi drzwi przyległej komnaty, a jednocześnie nachylił się do Prymasa Łaskiego i rzekł półgłosem:

Proszę, aby ksiądz Prymas poprowadził jutrzejsze obrady gdańskie w myśl moich intencji przed chwilą oświadczonych. W lutym jedziemy do Malborga, tam rozpoznane będą sprawy gdańskie — lub też stamtąd, jeżeli zaproszenie będzie

zgrabnie przez gdańszczan zgłoszone, wyruszymy na sądy do Gdańska. Przypominam również księdzu Prymasowi, że — dzisiaj o 4-ej po południu w sali tronowej odbędzie się przyjęcie Poselstwa węgierskiego. Liczę na obecność Prymasa i osób, — które zostały o tej ceremonii zawiadomione.

Zdaje się, że wiewióreczka moja wydaje ostatnie tchnienie, idę więc ją ratować.

Monarcha powstał ze swego miejsca i, pożegnawszy wszystkich obecnych łaskawym skinieniem głowy, udał się do obocznej komnaty, gdzie oczekiwał pokojowiec.

V.

W MALBORGU

W jednej z wewnętrznych komnat Wysokiego Zamku, gdzie ongiś mieściła się biblioteka Mistrza Prowincjonalnego, drzemał w fotelu Podkanclerzy Tomicki.

Wszystkie okna zasłonięte były szczelnie zieloną kitajką, jaskrawe światło bowiem kwietniowego popołudnia było szkodliwe dla chorych oczów Biskupa.

Przed kilku dniami ostatnie poczty królewskiego orszaku opuściły Malborg i udały się za Królem Zygmuntem do Hohenstein, skąd w odpowiedniej chwili cały orszak królewski miał wyruszyć do Gdańska.

Nagłe pogorszenie w chronicznej chorobie oczów zatrzymało Podkanclerzego w Malborgu.

Pomimo dokuczliwego cierpienia nie chciał on przerwać pracy. W związku z tym kilka osób z kancelarii królewskiej pozostało również na zamku Malborskim.

Między Krakowem, Malborgiem i Hohenstein odbywała się wciąż ożywiona wymiana korespondencji.

Podkanclerzy, nie bacząc na chorobę, żywo interesował się bieżącymi sprawami.

Podróż królewska do Gdańska i stosunki gdańskie pochłaniały uwagę Biskupa Tomickiego przede wszystkim.

Lekarz robił nadzieję, iż przy energicznej kuracji i wielkiej ostrożności stan chorego za dni parę o tyle się poprawi, że dostojny pacjent będzie mógł podążyć za innymi do Gdańska, aby wziąć udział w mających się tam odbyć sądach.

Od chwili wyjazdu orszaku królewskiego rozległy zamek Malborski i jego liczne podwórce pogrążone były w niczym niezamąconej ciszy, co zbawiennie wpływało na rekonwalescencję chorego.

Nagle, tuż pod oknami biblioteki, na dziedzińcu zamkowym odezwały się liczne głosy ludzkie, a jednocześnie rozległo się rżenie i tętent koni.

Wrzawa ta raptownie obudziła śpiącego.

Nie mogąc wyrozumieć przyczyny tego najazdu, Podkanclerzy zaniepokojony chwycił za przywiązany do poręczy fotela dzwonek i gwałtownie zadzwonił.

We drzwiach zjawił się zalękniony pokojowiec i, zagadnięty o przyczynę tych hałasów, zameldował, że na zamek zjechały przed godziną konne drużyny pana Marszałka Kmity. Kolasa samego pana Marszałka, jak również podwody z kuchniami i służbą ciągną podobno także do Malborga. Pierwsze wozy orszaku majaczą już na drodze. Przybyli ludzie powiadają, że mają kilka dni tutaj wszyscy zabawić.

— Jeżeli lekarz mój jest na zamku lub w po-

bliżu, trzeba go do mnie poprosić — rzekł ze zwyklym już spokojem Podkanclerzy.

Po chwili zjawił się nadworny lekarz i z wielkim fransunkiem, od progu już, półgłosem mówił:

— Nie mogę sobie poradzić z tą zgrają! Przewidywałem, że krzyki i sprzeczki pijanych obudzą księdza Biskupa i zakłócą tak bardzo pożądany po dzisiejszej bezsennej nocy wypoczynek. Samego Marszałka i starszyzny nie ma jeszcze. Ci co przybyli, mianują się pocztami wywiadowczymi. Wszystkiego około pięćdziesięciu chłopa na koniach. Dogadać się z nimi trudno. Ja swoje, oni swoje. Zresztą każdy z nich jest pod dobrą datą. Wiadomo przecież, że Marszałek Kmita trunków ludziom nie skąpi.

— Dziękuję ci, mój waszmościuniu, za troskliwość — rzekł Biskup Tomicki. — Byłem trochę przerażony, jak mnie tak znienacka w sposób brutalny obudzono. Kiedy własnymi oczami nie można sprawdzić otoczenia, jak ja w tej chwili, wszystko wydaje się straszne i groźne; ale skoro już wiemy, jak rzeczy stoją, nie ma czym się przejmować. Trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość i odczekać te chwil kilka do przybycia pana Marszałka. Jak główny orszak nadjedzie i pan Marszałek wybierze sobie już w zamku kwaterę, a miejsca przecież nie brakuje, zechce waćpan zameldować się u niego, powitać go w moim imieniu, i wyjaśnić, że stan oczów moich jest tak ciężki, że musiałem przerwać podróż i pozostać tutaj, aby się podleczyć i dać oczom wypoczynek. W moim również imieniu proś waćpan pana Marszałka, aby raczył wydać rozkazy ulokowania swoich ludzi i koni

w ten sposób, żeby dziedziniec zamkowy, na który okna mojej kwatery wychodzą, wolny był od zgiełku i wszelkich hałasów, gdyż stan mój wymaga wielkiego spokoju.

Niechaj waćpan doda jeszcze, że niewypowiedzianie boleję, że nie mogę pana Marszałka zaprosić dzisiaj do siebie na wieczerzę, ale jej nie jadam zupełnie od dłuższego czasu i z zalecenia lekarza poprzestaję na kubku gorącego mleka.

W każdym razie, jeżeli podwody ze służbą i kuchniami rychło nie nadjadą i nie można będzie na czas wieczerzy zgotować, mój kucharz i kuchnia jest zawsze do dyspozycji pana Marszałka.

A jak tam jest z powiekami proszę księdza Biskupa? Może skorzystać z okazji i skoro już tu jestem, zmienimy okłady? Mam wszystko, co potrzeba, przygotowane na stoliczku pod ścianą. Jest tutaj cała apteka.

— Bogu dzięki — ciągnął lekarz, zdejmując płatki płócienne z oczów, nabrzmienie ustępuje i wszystko jest na dobrej drodze, byle tylko zbytnio oczów nie forsować pracą za wcześnie rozpoczętą.

— Waszmość masz dla mnie zawsze miłe słówko pociechy, — odparł Biskup Tomicki — ale nie życzyłbym nikomu takiej nocy, jak moja — dzisiejsza. Cierpienia jestem zwyczajny, chwilami jednak brakowało mi cierpliwości. Pokrzepiła mnie bardzo na duchu ulubiona modlitwa do Ś-go Antoniego, którą w myśli odmówiłem. Obecnie, jakkolwiek swędzenie trochę mniej dokucza, do poprawy jednak jeszcze daleko, chory ma zawsze sam najlepsze wyczucie w tym względzie.

W każdym razie po tej dwugodzinnej drzemce jestem trochę raźniejszy i chcę skorzystać z odnowionych sił, aby chociaż chwil parę sprawom kancelaryjnym poświęcić. Po skończonym opatrunku poproszę, aby mi waszmość obu sekretarzy przywołał.

Nadworny lekarz podszedł do okna najbliżej fotela położonego, uchylił trochę zielonej zasłony i przestrzegając, aby tej szpary światła nie powiększano, przy odczytywaniu referatów i aby konferencja nie trwała zbyt długo — opuścił komnatę.

Niebawem pokojowiec zameldował wezwanych sekretarzy kancelaryjnych, którzy weszli do biblioteki, dźwigając naręcza aktów i papierów.

Obydwaj przybyli referenci cieszyli się wielkim zaufaniem Biskupa Tomickiego. Jeden, pomocnik Zambockiego, miał sobie powierzone sprawy królewskiej podróży do Gdańska, drugi, starszy wiekiem, zawiadywał referatem spraw ogólnych, które przesyłano z Krakowa.

Po wymianie uprzejmości, których Podkanclerzy nie szczędził swoim współpracownikom, nawet najniższego stopnia i po wskazaniu im ruchem ręki miejsca przy stole pod oknem, gdzie lekarz uchylił zasłony i wpuścił skrawek światła, rozpoczęła się ożywiona rozmowa, dotycząca podróży królewskiej i pobytu Króla Jegomości w Hohenstein.

Pism i różnych raportów w tej materii było bez liku. Ważne i mniej ważne. Niektóre zostały głośno odczytane w całości, niektóre — zreferowane tylko w skrócie.

Między innymi nadeszły również pisma od Biskupa Krzyckiego i od Zambockiego. Biskup Krzycki troskliwie dopytywał się o zdrowie wuja i prosił, aby nie traktować kuracji zbyt pośpiesznie, gdyż nic jeszcze nie wiadomo, kiedy Król Jegomość Hohenstein opuści. Termin ten zależy od wyników śledztwa i opinii Komisarzy Królewskich w Gdańsku bawiących. Byłoby najpraktyczniej, aby Podkanclerzy wtedy dopiero wyruszył z Malborga, kiedy Król Zygmunt już na dobre zainstaluje się w Gdańsku i wyjaśnią się wszelkie wątpliwości co do niespodzianek i niebezpieczeństw, jakie w tej przykrej wyprawie zagrozić mogą. Droga z Malborga do Hohenstein jest bardzo uciążliwa. Trakt główny w stanie fatalnym i ciągle trzeba go okrążać bocznymi drożynami. Od kilku tygodni panuje susza, co powoduje na drogach tumany kurzu i bardzo podróż utrudnia. Jeżeli pogoda się nie zmieni i wiatry morskie dmuchać będą wciąż z taką siłą, trzeba podróżną kolasę zabezpieczyć z wielką pieczołowitością, aby do niej ani kurz, ani wiatr nie miał dostępu. W Hohenstein nie jest tak przestronno i wygodnie jak w Malborgu, ale lokują się wszyscy jak mogą. W końcu pisma wiele troskliwości, uwag i zaleceń, dotyczących bezpieczeństwa i zdrowia czcigodnego krewniaka i dużo zapewnień o uczuciach przywiązania ze strony siostrzana.

Pismo od Zambockiego było bardzo długie. Wszystkie przygody z podróży opisane szczegółowo i z wielkim humorem. Kurier Magistratu Gdańskiego doręczył w drodze między Malborgiem i Hohenstein tyle nowych papierzysków, że Król

Jegomość, w obawie, aby te pachnące śledziem i herezją foliały nie zaginęły, kazał opróżnić jedną z kolas dworskich i przeznaczył ją na archiwum spraw gdańskich. Pod specjalną eskortą dotarły te papierowe kłamstwa szczęśliwie do Hohenstein. Obecnie głowa Zambockiemu puchnie od segregowania, tłomaczenia i kopiowania aktów. Z ostatnio doręczonych ważniejszych dokumentów sporządzone już zostały odpisy i przesłane do Malborga dla orientacji Mości Podkanclerzego. Kancelaria bardzo tęskni za swoim czcigodnym szefem i ma nadzieję, że stan oczów niebawem poprawi się i pozwoli Podkanclerzemu odbywać dalszą podróż. Autor pisma i wszyscy koledzy, którzy mieli zaszczyt korzystać z gościnności i wytwornego stołu księdza Biskupa, wspominają z oskomą kulinarne arcydzieła kuchmistrza Onufrego i klną na czym świat stoi kaszubską kuchnię w Hohenstein. Knedle z żytniej mąki i flondry od rana do wieczora nie schodzą ze stołu. Dopiero od jutra ma nastąpić poprawa w jadłospisie. Z rozkazu Króla Jegomości ma się odbyć w okolicy Hohenstein wielki połów różowych łososi, które stanowią miejscowy smakołyk. Na wiosnę jest zatrzęsienie tych ryb w rzeczkach i strumykach leśnych, które płyną do morza. Król Jegomość obiecał udzielić całej kancelarii parogodzinnego popołudniowego urlopu, aby wszyscy mogli wziąć udział w uroczystości rybackiej i zaopatrzyć się dowoli w ten przysmak, jak niegdyś żydzi na pustyni w biblijne przepiórki.

— Miły i dowcipny człowiek z tego Zamboc-

kiego — wtrącił Podkanclerzy. — Ale może przejrzenie pozostałych gdańskich papierów odłożymy do jutra. Chciałbym jeszcze usłyszeć najważniejsze nowiny z referatu spraw ogólnych. Czy są pisma polityczne z Krakowa?

— Jest długie poufne pismo od Biskupa Wileńskiego Księcia Janusza *) — zameldował referent. — Zawiera ono informacje o niepokojących i wciąż coraz bardziej ożywionych stosunkach Moskwy z Cesarzem Karolem V i z Dworem Papieskim. Podobno wciąż są na porządku dziennym utopijne nadzieje uznania przez Moskwę Rzymskiego prymatu. W zamian za to Cesarz i Papież mają udzielić Wasylowi korony królewskiej, jako formalnego znaku aprobaty z ich strony zagarnięcia przez Moskwę rozległych ziem ruskich, które ongiś odwiecznie należały do Korony i Litwy. Biskup Wileński uważa, iż Polska nie powinna nadal przepuszczać przez swoje ziemie posłów cesarskich do Moskwy. W związku z powyższym wysuwane są różne życzenia polityczne Panów z Rady Litewskiej.

Są również ciekawe pisma z kancelarii Królewskiej Budzińskiego Dworu, donoszące o nowej fali nacisku habsburskiej koterii wojennej na politykę węgierską i o projektach nowej krucjaty przeciwko turkom.

— Już z tych paru ważnych pism widzę —

---

*) Nieślubny syn Zygmunta Starego i jego przyjaciółki z czasów głogowskich, Katarzyny Telniczanki, którą następnie poślubił Podskarbi Koronny Andrzej Kościelecki.

przerwał zatroskanym głosem Podkanclerzy, że pomimo mojego znużenia będziemy musieli dzisiaj wieczorem raz jeszcze urządzić dłuższą naradę i wszystkie sprawy ogólnej polityki rozejrzeć i szczegółowo przewertować. Najważniejsze — muszą być w tych dniach opracowane. Te rzeczy nie mogą zalegać. Przypuszczam, że niebawem zamelduje się u mnie Pan Marszałek Kmita, którego poczty wywiadowcze już do Malborga zjechały. Wobec tego nie możemy teraz dłuższych spraw rozpoczynać. Pragnąłbym jeszcze tylko dać waćpanowi kilka słów instrukcji, jak ułożyć odpowiedź na pismo Przeora OO. Franciszkanów z Fontenay le Comte, o którym rozmawialiśmy, zdaje się, w zeszłym tygodniu. Jak Waćpan z tej korespondencji wyrozumiał, Przeor z różnych powodów interesuje się stanowiskiem polskiego świata naukowego w sprawie greczyzny. Otóż w naszej odpowiedzi zakomunikować należy, że sprawa ta w Polsce weszła od lat kilku na pozytywne tory. Na Wszechnicy Krakowskiej odbywają się już systematyczne wykłady i mamy kilku magistrów, którzy ze znajomością przedmiotu i wielką pilnością przyczyniają się do rozpowszechnienia studiów nad tym językiem. Obecny stan rzeczy jest wynikiem długiej walki. W Polsce jak i w innych krajach było bardzo wielu opornych tym studiom. Bogu dzięki umysły uspokoiły się i powoli ludzie zrozumieli, że co innego jest wiedza, a co innego herezja i świętokradztwo! Stało się dla ogółu oczywiste, że znajomość języka greckiego daje nie tylko możność poznania i ogarnięcia mądrości i piękna całego świata grec-

kiego, ale otwiera również bezpośredni przystęp do nowego testamentu pisma świętego w oryginale, czyli zbliża do fundamentów naszej wiary katolickiej. Duże zasługi w tej sprawie położyli przybysze z Włoch: Joannes Silvius Amatus, rodem z Sycylii i Constanzo Claretti de Cancellieri, rodem z Pistoli. Nie zdołali oni jednak zorganizować racjonalnych i ciągłych studiów, gdyż nie potrafili zdobyć potrzebnych książek i podręczników. Dopiero podjęte w 1520 roku przez Jerzego Libanusa z Lignicy wykłady gramatyki greckiej w Uniwersytecie Krakowskim, zapoczątkowały i umożliwiły faktycznie w Polsce studia nad językiem greckim. Teraz wciąż podręczników i tłomaczeń różnych autorów greckich przybywa, zainteresowanie wzrasta i sprawa jest na najlepszej drodze.

— Ksiądz Biskup ani słówkiem nie wspomina, że właściwie tylko jego opiece i energii greczyzna w Polsce zawdzięcza swój byt i rozwój — zauważył nieśmiało referent.

— Pomników zasługi nie buduje się ze słów, pochodzących od samych zasłużonych — odparł z uśmiechem Podkanclerzy i jednocześnie dodał: proszę pamiętać, że łacina w naszej odpowiedzi musi być znakomita; piękne zwroty Ciceronowskie przede wszystkim; dobrze było by nawet wtrącić od niechcenia, gdzieniegdzie, parę greckich frazesów i cytat.

W dalszym ciągu tego pisma niechaj waćpan doda, że bardzo współczuję przykrościom, jakie Ojcowie Franciszkanie przeżyli w związku z pożałowania godnymi wybrykami Ojca Franci-

szka Rabelego. Niegodziwości Ojca Franciszka oburzają tym bardziej, że jest on człowiekiem, jak na dzisiejsze czasy, wyjątkowo uczonym, posiada wielkie zdolności humanistyczne i talent pisarski. Wyciągi z pism Ojca Rabelego, które Przeor był mi łaskaw nadesłać, jako c u r i o s u m dowodzą, że pióro to pomimo ciętego dowcipu i fantastycznego rozmachu, błądzi po manowcach. Pisma te trącą taką sprośną zmysłowością, takim brutalnym cynizmem i takim rozpasaniem moralnym, że człowiek poważny z obrzydzeniem je odrzuca. Święta inkwizycja nie powinna ani chwili zwlekać z rozkazem ich spalenia. Rozumie się, że taki stan umysłów i podobne utwory literackie zawdzięczamy całkowicie wpływom spaczonej reformacji Lutra i jego fałszywych apostołów. Rewolucja wszystkich pojęć w całej Europie jest zastraszająca. Chwieją się zręby całego Kościoła katolickiego i Rzym ma przed sobą ciężkie zadania, aby stosunki te do równowagi doprowadzić. Niestety w Polsce nie brak również n o w i n k a r z y a podmuchy z Niemiec rozszerzają jeszcze ciągle ten pożar.

O twórczości Ojca Franciszka Rabelego pisali już do mnie kiedyś uczeni mężowie z Holandii. Podziwiali oni oryginalność pomysłów tego pisarza, ale mieli wiele zastrzeżeń co do formy, stylu, a zwłaszcza myśli przewodnich jego pism. Ojciec Franciszek podobno...

W tym miejscu instrukcję przerwał sędziwy służący Biskupa Tomickiego, który wszedł do biblioteki i, nachyliwszy się nad fotelem swojego pana, półgłosem oznajmił, że pan Marszałek Kmi-

ta przysłał hajduka z zapytaniem, czy będzie mógł za chwilę odwiedzić Mości Podkanclerzego.

— Powiedzieć hajdukowi, że oczekuję — odrzekł Podkanclerzy. — Mój strój musi być bardzo zaniedbany i prawdopodobnie cały jestem poplamiony, wskutek ciągłych zmian wilgotnych okładów!? Niechaj waćpan zaraz tu powraca, a po drodze poprosi lekarza, aby zaszedł do mnie. Opatrunki na oczach są już zupełnie suche, trzeba więc je znów zmienić. Należy zrobić trochę porządku w komnacie i skontrolować mój wygląd. Naradę musimy przerwać, rzekł Podkanclerzy, zwracając się jednocześnie z pożegnalnym gestem ręki ku oknu, gdzie stali z pozbieranymi już aktami obydwaj sekretarze. Jeżeli będę się czuł na siłach, dzisiaj wieczorem około dziesiątej jeszcze raz zaproszę pana referenta do spraw polityki ogólnej.

We drzwiach sekretarze rozminęli się z powracającym służącym, który żwawo zabrał się do porządkowania mebli i drobiazgów. Doradził on, aby ksiądz Biskup przeniósł się z fotela na szeroką ławę dębową, wymoszczoną jak łoże wilczymi skórami, gdyż w pozycji leżącej wypocznie, a przy tym okłady trzymać się będą lepiej na oczach i spadać nie będę, jak obecnie na fotelu. Przybyły lekarz nałożył świeże opatrunki. Szaty wnet przyprowadzono do względnego porządku. Ręce i skronie z polecenia Biskupa zostały obficie natarte wódką lawendową, której wielki flakon stał wśród apteczki na stoliku.

— Zdaje mi się, — zauważył Biskup Tomicki — że pan Marszałek wydał już odpowiednie rozkazy i dziedziniec pod moimi oknami został

opróżniony. Uciszyło się zupełnie. Trzeba uchylić chociaż jednego okna, bo powietrze jest tutaj trochę ciężkie. Fotel, na którym siedziałem, proszę zbliżyć do ławy. Przy fotelu trzeba postawić mały zydel. Pana Marszałka usadzi Waćpan na tym fotelu i zapyta, czy może zechce napić się miodu lub wina. Napoje te podać w moich podróżnych roztruchanach i ustawić na zydlu koło fotela.

Wkrótce, w otwartych na oścież przez pokojowca drzwiach, ukazał się Marszałek Kmita i, wodząc spojrzeniem po wielkiej komnacie, szukał Podkanclerzego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — z właściwą sobie swadą zawołał, podchodząc do improwizowanego łoża, na którym Podkanclerzy spoczywał. — Czy aby nie narzucam zbyt natrętnie moich odwiedzin?

— Proszę, niech Mości Podkanclerzy będzie zupełnie szczery! Nie chciałbym, aby z mojego powodu miało nastąpić pogorszenie w zdrowiu lub nawet najmniejsze zmęczenie?!

— Na wieki wieków — odrzekł Biskup Tomicki i wyciągając ostrożnie obie dłonie w kierunku, skąd głos dochodził, przepraszał, że powstać nie może na powitanie tak dostojnego gościa, lekarz jednak zabronił zmieniać pozycję, ze względu na te szkaradne opatrunki na oczach, które przy każdym poruszeniu zsuwają się zaraz na ziemię i robi się wielki ambaras.

To ja przepraszam, Mości Podkanclerzy, za ten najazd i niesforność moich drabów, którzy usadowili się pod samymi oknami biblioteki i zachowywali się, podobno, jak w przydrożnej karczmie.

Najgłośniejsi siedzą już w lochu o chlebie i wodzie. Pozostali otrzymali surową naganę i zbeształi zostali, ile tylko wlazło. Za karę żadnych trunków do jutra nie powąchają!

Tylko zupełny brak kontroli i dozoru w bramach wjazdowych i w obrębie zamczyska sprawił, że forpoczty mojego zbrojnego hufca zapędziły się w poszukiwaniu kwatery, aż na dziedziniec Wysokiego Zamku. Stajnie w przedzamczu stały pustkami, a są tak wielkie, że pomieścić mogły dwa razy więcej koni, niż liczą ich wszystkie moje oddziały zbrojne. Obecnie ludzie moi zakwaterowani zostali już, gdzie należy.

— Bóg zapłać, Mości Marszałku, za tyle uwagi i respektu dla mojej skromnej osoby. Wzruszony jestem zarządzeniami, podjętymi z takim pośpiechem, gwoli mojego spokoju i wypoczynku. Żal mi tylko tych biednych chłopaków, że za lekkomyślność swą zbyt ciężko może pokutują.

— Zdaje mi się, że z rozkazu Pana Marszałka postawili tam przy fotelu dzbanek z winem. Zdałoby się odwilżyć zakurzone z podróży gardło.

— Węgrzyn pochodzi z mojej piwnicy krakowskiej. Stał w loszku na lodzie dobrych chwil kilka. Proszę wypić lampkę za pomyślność naszej wyprawy gdańskiej. Ja, niestety, nie mogę dotykać trunków jeszcze przez kilka tygodni.

— Bardzo chętnie wychylę nie tylko jedną lampkę, ale cały ten dzban opróżnię, aby tym snadniej móc ze wszystkich stron obejrzeć naczynie tak wyjątkowo pięknej snycerskiej roboty, pochodzenia, o ile się nie mylę, portugalskiego. Znakomitych ma ten kraj snycerzy w srebrze. Dantyszek,

będąc posłem królewskim w Hiszpanii, odwiedził również Portugalię i przywiózł mi parę przepięknych drobiazgów srebrnych z Lizbony. Wśród nich maleńka figurka zamodlonego świętego Hieronima jest prawdziwym arcydziełem. Wyznam szczerze księdzu Biskupowi, że piję ze specjalną chciwością, bo wszystkie moje wina tak się pogrzały przez drogę i zmąciły w burłakach i beczkach, że już od paru dni do ust ich nie biorę! Skąd jednak takie ostre pogorszenie w stanie zdrowia Mości Podkanclerzego, — ciągnął Marszałek Kmita — o ile sobie przypominam okoliczności wyjazdu Króla Jegomości z Krakowa, ksiądz Biskup był wtedy zupełnie zdrów i rzeźki!

— To prawda, — odparł Biskup Tomicki — czułem się wtedy nieźle po styczniowej dość długiej kuracji. Widocznie jednak kurz i wiatry pomorskie zaszkodziły mi, zresztą przyznać również trzeba, że ostatnimi czasy zbyt wiele może nocami przy świecach pracowałem, a to zawsze u mnie źle się kończy! Bogu dzięki, od paru dni zaczęła się poprawa i mam nadzieję, że na wezwanie królewskie będę mógł bez zwłoki wyruszyć do Gdańska!

— Co się dzieje do licha w Gdańsku? — zagadnął Kmita. Jestem jak tabaka w rogu. Wczoraj nad wieczorem, kiedy byłem już o jakie dwie godziny drogi od Hohenstein, skąd stosownie do pierwotnego planu, miały poczty moje, po krótkim popasie, udać się do Gdańska — łapie mnie w drodze kurier królewski i bez pisma i żadnych wyjaśnień melduje, że Król Jegomość prosi, abym z ludźmi do Malborga zboczył i został tam aż do nowego rozkazu kancelarii królewskiej.

— Nic nie rozumiem, co znaczy ta nowa taktyka? Czy zmieniły się w czymkolwiek projekty?

— Projekty się nie zmieniły, a taktyka zawsze ta sama — odrzekł Podkanclerzy. — Wszystkie plany nasze od początku były warunkowe. Z faryzeuszami i zdrajcami wskazana jest jak największa ostrożność, a nieraz i kunktatorstwo! Burmistrz Bischoff pragnie zawsze gorąco przyjazdu Króla do Gdańska i zręcznie manewruje w Radzie miejskiej, aby ten plan do skutku doprowadzić; Król do projektu tego się skłania, ale wykonanie uzależnia od okoliczności!

Pozornie nastroje w Gdańsku są takie, jak je przedstawiała deputacja radnych miejskich, która przed paru tygodniami była tutaj w Malborgu, aby Króla do Gdańska zaprosić, ale faktycznie jest to wulkan, dna którego zbadać w ostatnich czasach prawie że niepodobna! Ostatnio krążyły w Gdańsku głuche wieści, że znalazła się tam banda zapaleńców, którzy pokryjomu gotują zamach na życie Króla i orszaku królewskiego. Ile w tym jest prawdy, a ile plotki, orzec trudno. W każdym razie wersje takie są bardzo znamienne!

Dla tego też Król Jegomość czyni wszystko, aby nie dopuścić do podrażnienia i otwartej walki między władzą Królewską i ludnością miasta Gdańska, zbuntowaną oczywiście przez przewrotnych wichrzycieli. Podkreślić należy, że pomimo intryg krzyżackich rybacy gdańscy i cała ludność robotnicza pochodzenia kaszubskiego dotychczas na każdym kroku dawała zawsze dowody wielkiego przywiązania i życzliwości dla Polski. Uczuć tych strzec trzeba z wielką pieczołowitością!

Przyjmujemy ciągle do wiadomości to, co wysłańcy Rady miejskiej oficjalnie meldują i o co proszą, ale decyzję i wyrok wciąż odraczamy i dążymy do zlikwidowania sprawy kosztem najmniejszych ofiar.

Deputaci Rady Miejskiej, którzy przyjechali do Malborga, aby zaprosić Króla do Gdańska byli bardzo łaskawie przyjęci, ale wyraźnej odpowiedzi na swoją prośbę nie otrzymali; zakomunikowano im, że tymczasem do Gdańska wysłaną zostanie Komisja złożona z doradców Królewskich; Komisja ta na miejscu przeprowadzi śledztwo co do przebiegu wypadków gdańskich i przygotuje materiał dla Sądu; od rezultatów tego śledztwa będą zależały dalsze plany i decyzje Królewskie, jak również odpowiedź na zaproszenie.

Do Komisji gdańskiej Król powołał pierwotnie: Macieja Drzewickiego biskupa kujawskiego, Jana Latalskiego biskupa poznańskiego i Jana Chojeńskiego archidiakona krakowskiego. Następnie, pod wpływem głosów różnych doradców, skład Komisji został zmieniony. Postanowiono zamiast duchownych dostojników wysłać wyłącznie takie osoby, których przychylność dla Gdańska jest ogólnie znana i których przybycie do Gdańska mogło by natchnąć ludność ufnością i nadzieją, że stanowisko Komisarzy będzie pobłażliwe. — Do tej nowej Komisji powołani zostali i do Gdańska już przed paru tygodniami wyjechali: Krzysztof Szydłowiecki kanclerz koronny, Andrzej Tęczyński, wojewoda sandomierski, Łukasz Gróka, kasztelan poznański, Jerzy Bażeński wojewoda malborski i Achacy Czema podkomorzy pomorski. Wobec

alarmów, jakie z Gdańska dochodziły, Komisja musiała otrzymać eskortę zbrojną. Król chciał zastosować się ściśle do przywilejów gdańskich, wynikających z traktatu tak zwanego pokoju wieczystego zawartego w 1466 roku w Toruniu. Przywileje te przewidują, że towarzyszący orszakowi Królewskiemu hufiec zbrojny może liczyć najwyżej 200 jeźdźców. Początkowo więc taką eskortę mieli otrzymać Komisarze Królewscy. Wobec jednak niepokojących wieści z Gdańska dochodzących, eskorta ta wydała się zbyt małą i powiększono ją do 600 jezdnych. Wybrano sam kwiat naszych kawalerzystów i podobno hufiec ten wywarł imponujące wrażenie na gdańszczan, a nawet trochę ich przeraził. Komisarze Królewscy o wszystkich czynnościach i badaniach winni są każdego dnia nadsyłać Królowi szczegółowe sprawozdania. Od wyniku badań Komisji będą uzależnione nasze działania i nasza dlasza taktyka. Tymczasem Król z orszakiem zatrzymał się w Hohenstein. Dotychczas nie wiadomo jeszcze, czy i kiedy wjazd Króla Jegomości do Gdańska nastąpi. Wyjaśni się to w dniach najbliższych, a może nawet już się wyjaśniło, w zależności od raportów Komisarzy Królewskich. Król Jegomość nie chce łamać brutalnie przywilejów gdańskich i nie chce sprowadzać do Gdańska zbyt wielkiej ilości wojska, aby nie budzić trwogi. Takie stanowisko Króla Jegomości nastręcza duże wątpliwości i silnie było i jest zwalczane przez jego otoczenie. — Trudno wszak na niebezpieczeństwo i ryzyko wystawiać osobę Królewską podczas pobytu w Gdańsku. Trudno również pozostawić Dwór cały i naszych ludzi bez należytej obrony,

w razie zamachu lub nagłego buntu. — Dopiero po bezpiecznym ulokowaniu dworu Królewskiego w Gdańsku, mają być kolejno przez Króla wzywane te osoby, których obecność w Gdańsku i udział w rozprawie sądowej jest z góry przewidziany. Oczywiście specjalna ostrożność będzie stosowana przy wkraczaniu do miasta oddziałów zbrojnych i wszystko ma tak być upozorowane, żeby ani liczba, ani zbrojna postawa przybywających rycerzy nie wywoływała paniki wśród ludności gdańskiej.

Warowny gród Hohenstein jest mały i ciasny, i dlatego Król Jegomość wolał, aby Pan Marszałek za swoimi pocztami odczekał tych dni kilka w Malborgu i nie znosił niewygód i ciasnoty w Hohenstein.

Mnie się widzi, żachnął się Kmita, że my już w tej ostrożności posuwamy się kęs za daleko!...

Mnie osobiście polityka taka bynajmniej w smak nie idzie. Wygląda to tak, jakby potężna i wielka Polska obawiała się zatonąć w małej sadzawce gdańskiej. Dodać trzeba, że Polska własną wolą i własnymi rękami sadzawkę tę wykopała i wciąż ją jeszcze pogłębia.

Co się tu oglądać na zmurszałe pergaminy wieczystego pokoju, który przez samych gdańszczan stale był gwałcony, a podczas ostatniego buntu formalnie zdeptany przez nich został!

Dobrotliwość nasza śmiech budzi w całej Europie!

Kancelaria Królewska śle setki edyktów i zapisuje całe tomy bibuły, a kupczyki gdańskie trefnują sobie z tej pisaniny, mydlą nam ślepia wciąż

nowymi wykrętami i krzyczą u r b i e t o r b i, że Polska jest względem nich bezsilna.

Tylko polityka mocnej ręki może nasze prawa w Gdańsku zabezpieczyć.

Trzeba było skorzystać z ostatniego buntu, obsadzić w mieście silny garnizon, oddać polskim władzom zarząd nad portem i żeglugą, hersztów buntu i zdrajców politycznych zgładzić, porządek i ład w mieście nakazać i wprowadzić w Gdańsku takie same ustawy i prawa, jakie mają inne miasta pomorskie.

Ten kujawiak na jednej desce w kółko tańczony do niczego nie doprowadzi.

Rada Gdańska obstaje uparcie przy tym, że Gdańsk jest wolnym miastem i całkowicie do Polski przynależeć nie chce!

Jak dygnitarze gdańscy zabiegają w Polsce bądź o utrzymanie starych przywilejów, bądź o uzyskanie nowych, głoszą wtedy obłudnie, że Gdańsk jest miastem Króla Polskiego, a jak od sytości i przywilejów kupiectwo gdańskie już pęka, to potajemnie przed Polską szukają innych bardziej ponętnych dla siebie związków politycznych, pomrukują o niezależności wolnego miasta, zerkają na różnych książąt niemieckich i bez skrupułu knują zdradę przeciwko Polsce. Taka gra idzie ciągle w kółko.

Jeżeli władze gdańskie nie chcą, aby wolne miasto było traktowane, jako przynależne Polsce pomorskie miasto, a pragną zrobić z Gdańska związkowego partnera politycznego Polski, to owa nasza dobrotliwość bez miary jest tymbardziej pożałowania godna!

W polityce jedyną słuszną maksymą jest d o u t d e s ! *) Polska daje ciągle, daje wszystko, a Gdańsk daje wzamian tyle co nic!

Od wieków gdańszczanie z polskiej ziemi żyją. Prawem kaduka kupcy gdańscy zagarnęli cały nasz handel. Opanowali Wisłoujście i żeglugę morską. Bogactwa swoje ciągle pomnażają; wszystkiego im jednak mało. Chciwość ich nie zna granic, zachłanność ich wstręt budzi. Miasto to powinno się teraz nazywać C h ł a ń s k, a nie Gdańsk! Kupcy gdańscy wciąż dobijają się nowych wyłącznych praw i bardziej zyskownych nadań! a co Polsce dają wzamian? Od podatków i opłat na cele państwowe polskie wykręcają się jak piskorze. Daremnie szukałbyś u nich chęci współdziałania z rozwojem polskiego życia gospodarczego i zrozumienia tej doniosłej materii. Jak im fantazja przyjdzie, ślą Królowi podarunki — ile chcą i jakie chcą — ale forma tych datków, na mój rozum, pachnie upokarzającą jałmużną.

Kupcy gdańscy w stosunku do Polski, to tylko samolubni i drapieżni pośrednicy, traktujący nadomiar swoją profesję w niegodny sposób. Przez zbytnią chytrość nie dopuszczają wytwórcy do bezpośredniego zetknięcia się z odbiorcą. Alarm podnoszą jak jeden łaszt zboża polskiego lub sztuka sukna bądź angielskiego, bądź holenderskiego, przeznaczona dla Polski, ominie wolne miasto. Chcą aby każdy prawie artykuł z zagranicznych krajów do Polski sprowadzony szedł przez Gdańsk lub

*) Luźne tłomaczenie tej łacińskiej maksymy ma sens taki: daję, aby otrzymać w zamian.

miał stempel gdański i aby inną drogą nie wolno mu było do Polski się dostać. — Oczywiście, ten stempel łączy się z poborami celnymi na rzecz kupców gdańskich, którzy w żadnym wypadku nie mogą i nie chcą w gospodarce swojej najmniejszego nawet uszczerbku ponieść. — Polaka, jako wspólnika za nic nie wezmą, aby, uchowaj Boże, nie poznał ich tajemnic handlowych. Rada miasta Gdańska, chociaż formalnie uznaje zwierzchnictwo Króla Polskiego, wyklucza Jego faktyczną kontrolę i inicjatywę w sprawach morskich. Dygnitarze gdańscy siebie uważają za jedynych gospodarzy w porcie i na morzu. Każda próba wprowadzenia do portu statku pod flagą polską jest kwestionowana i wywołuje zatargi bez końca, a flagą gdańską posługiwać się wolno jedynie tylko statkom gdańskim!

Czas już najwyższy, aby Polska ukróciła tę samowolę! A czy ksiądz Biskup pamięta, jakie było stanowisko Rady miasta Gdańska podczas ostatniej naszej wojny z Moskwą? Przypomnę w paru słowach te sprawy bo jestem w nie doskonale wtajemniczony!

Wasyl, jak wiadomo, do działań wojennych nie był przygotowany i nie posiadał własnych statków morskich, aby móc z innych krajów sprowadzić sprzęt wojenny i amunicję. Dostawy tej podjęli się niemcy i duńczycy. Transporty wojenne dla Wasyla przeznaczone szły Bałtykiem do portów inflanckich na statkach duńskich i niemieckich.

Stąd wynikła konieczność jaknajszybszego przecięcia związków między Moskwą, Niemcami i Danią. Na zlecenie Króla Zygmunta Rada miasta

Gdańska wysłała swoje okręty na szlaki, którymi trasporty dla Wasyla płynęły, ale okręty gdańskie nie chciały, czy rzekomo nie zdołały ująć ani jednego ładunku. Wtedy Król Zygmunt, nie mogąc sobie inaczej poradzić, uciekł się do systemu kaperskiego i dopiero wówczas życzliwość Rady miasta Gdańska dla Polski zarysowała się w całej pełni!!! Każde poruszenie kaprów Królewskich na morzu i każdy ich krok w porcie gdańskim lub w mieście były prześladowane i utrudniane. — Pretensje, skargi, pogróżki, kwestionowanie żelaznych listów, przez Króla kaprom wydawanych, pomawianie kaprów o urojone przestępstwa i aresztowania niewinnych — nie miały końca i tak wszystkim dokuczyły, że dywersji kaperskiej trzeba było poniechać i zgodzić się na zawarcie z Moskwą rozejmu, który krzywdy nasze i zabory moskiewskie nadal utrwalał! Najjaśniejszy Pan, który do głębi serca tymi sprawami się przejmował, z turbacji wielkiej wtedy ciężko zaniemógł.

Kiedy w styczniu patrzyłem w Trybunale Piotrkowskim na przedstawicieli tej samej Rady Gdańskiej, jak czołgali się na kolanach przed Królem Zygmuntem, błagając w największej pokorze o łaskę i poddając się jego woli i sądowi z racji ostatnich buntów, przypomniałem sobie tę zuchwałą i wrogą postawę patrycjuszów gdańskich względem kaprów Królewskich w tragicznych dla Polski momentach i pomyślałem sobie, że wikingowie północni, od których niemcy gdańscy tak skwapliwie, a nie wiem, czy słusznie, ród swój wywodzą, nie wyposażyli swoich potomków gdańskich w godność, sumienie i pamięć!!

Nie dziwię się rozgoryczeniu pana Marszałka, ale co do zaleceń i rad jego mam dużo zastrzeżeń — wtrącił Podkanclerzy.

Dobra polityka musi być ostrożna! W historii stosunków polsko-gdańskich jest wiele momentów, które tłomaczą obecny stan rzeczy. Oczywiście, ostatnie lata zwłaszcza bunt zeszłoroczny zawierają w sobie dużo sygnałów ostrzegawczych. Ale czy Król Jegomość, który zawsze ze specjalną uwagą do spraw bałtyckich się odnosił, a w ostatnich czasach tyle pracy, zabiegów i wysiłków stosunkom bałtyckim i gdańskim poświęcił, mógł ważyć się na inną politykę niż ta, którą obecnie prowadzimy? W skarbie koronnym zawsze brak pieniędzy! Większość magnatów polskich ma bardzo małe dla sprawy gdańskiej zainteresowanie i na ich pomoc i udział liczyć nie było można. Rada Litewska uważa Gdańsk za sprawę zupełnie dla siebie obojętną. Szlachta nasza trzyma się na uboczu. Jakimi więc środkami i siłami zbrojnymi miał być wykonany ów wojenny program, uważany przez Pana Marszałka za jedyną solucję? Czy można siły mierzyć na zamiary? Czy najmędrsze myśli i największe wysiłki kierowników nawy państwowej mogą starczyć w wypadkach, gdzie nieodzowne są zwarte poczynania całego narodu?

Niejednokrotnie zwracano Królowi i Radzie Koronnej uwagę — odciął Kmita — jaka wielka krzywda dzieje się szlachcie w Polsce. Gdyby ten stan oświecić i wzwyż dźwignąć, a przede wszystkim dać mu prawo należyte, można by przy jego pomocy wielkich rzeczy dokonać. Władza Królewska, oparta mocno o ten żywioł tak bardzo

w Polsce liczebny i tak wartościowy w sensie wojennym, mogła by sobie inaczej poczynać i wewnątrz i nazewnątrz kraju.

Niestety na głosy te Król Jegomość nie zwrócił dotychczas dostatecznej uwagi. Podszepty innych doradców zwyciężyły. Nie potrafiono zjednać szlachty dla spraw publicznych i niedługo każą czekać na siebie czasy i zdarzenia, kiedy kwestia szlachecka wiele kłopotów rządowi i wiele frasunku Królowi przysporzy.

Wracając do Gdańska, raz jeszcze bez zająknienia powtarzam, że tylko mocny, męski czyn orężny może tam nasze prawa uratować, pisaniną kancelaryjną nic nie zdziałamy. Jeżeli nie wyrwiemy przemocą z rąk niemców gdańskich samowolnego pachtu, w który chwycili polskie wybrzeże Bałtyku, to przyszłe pokolenia narodu polskiego drogo zapłacą za tę powolność rządu.

Obecna nasza polityka cuchnie grabarską robotą!! Nurt życia narodów, po odkryciu nowych światów za morzami, uległ kapitalnej zmianie. Najmędrsi ludzie w Polsce nie mogą, czy nie chcą zrozumieć, że idą nowe czasy, że państwa posiadające wybrzeża morskie muszą same dostęp do morza eksploatować, jeżeli chcą trwać i rozwijać się! Opanowanie morza i jego wykorzystanie decyduje dzisiaj nietylko o handlu i dobrobycie gospodarczym, ale o całej polityce i potędze danego kraju.

Przerażenie ogarnia, jak się pomyśli, że Polska, która jest śpiechlerzem tylu krajów Zachodniej Europy i której układ rzeczny zwraca się ku morzu, bo wszak nietylko Wisła, ale i Warta, jako dopływ Odry, a również Niemen i Dźwina — wody

swoje do Bałtyku wlewają — niema w tej chwili ani jednego własnego okrętu na Bałtyku i nie posiada ani jednego portu do swojego wyłącznego rozporządzenia.

Na domiar złego, sami przed rokiem nieopatrznie wyrzekliśmy się Prus Wschodnich, oddając je w lenne władanie Albrechtowi. Żeby nie ten lekkomyślny krok, to bodaj Królewiec i inne porty pruskiej nadmorskiej niziny mogły by nam oddać pewne usługi w dziedzinie handlu morskiego, a w każdym razie przez umiejętnie stworzoną rywalizację można było by skłonić dygnitarzy gdańskich do ustępstw w stosunkach morskich i do zmiany ich samolubnej polityki względem Polski!

Ale stało się inaczej! W portach Prus Wschodnich intrygować będą niemcy z Albrechtem, a Polsce pozostał, jako jedyny wylot na morze Bałtyckie z a c h ł a n n y i zniemczony przez Krzyżaków Gdańsk!

Pan Marszałek nie bierze pod uwagę, odezwał się Podkanclerzy, jakie ryzyko i niebezpieczeństwo, mogła pociągnąć za sobą ostrzejsza interwencja Polski w Gdańsku przed nadaniem Prus Wschodnich Albrechtowi, w czasie kiedy byliśmy w ciągłej z nim kotrowersji. Jedno nieostrożne posunięcie, jeden gest zbyt despotyczny mógł spowodować sojusz władz gdańskich z Albrechtem, zjednoczenie sił obu tych wasali przeciwko Polsce i nowe przewlekłe działania wojenne z niewiadomymi wynikami. Tym się tłomaczy nasza ustępliwość i kunktatorstwo w stosunku do Gdańska oraz skwapliwa aprobata z naszej strony propozycji Albrechta.

Wybaczy ksiądz Biskup, ale przytoczone oba-

wy i groźby nie miały poważnych podstaw. Ówczesna konstelacja polityczna bynajmniej ich nie usprawiedliwiała. Politycznie Albrecht wtedy był już tak skompromitowany i wyczerpany, że sojusz z nim nie mógł tentować niemców gdańskich, którzy lepiej od innych sąsiadów zdawali sobie sprawę z kompletnego bankructwa Albrechta.

Były to „s t r a c h y n a l a c h y" jak się mówi podobno w ostatnich czasach, przy lada okazji, w Moskwie:

Wznowiona przez Albrechta w 1520 roku wojna z Polską skończyła się skandaliczną porażką nadesłanych krzyżakom z Niemiec po raz ostatni posiłków. Większość Prus Wschodnich była już w naszym ręku. Brakowało niewielkiego tylko ze strony Króla Zygmunta wysiłku, aby odebrać Albrechtowi Królewiec, zająć pozostały skrawek Prus Wschodnich i skończyć raz na zawsze z tym zdrajcą.

Nie ratowały Albrechta, a tylko go doszczętnie dyskredytowały zawarte przeciwko Polsce i wujowi sojusze ze schizmatyczną Moskwą i z Carzykiem Krymskim.

Znienawidzony przez ludność w Prusach Wschodnich, bez wojska i pieniędzy, daremnie zabiegający o posiłki i pomoc u władców europejskich, dawniej mu przychylnych, szachrujący potajemnie z Lutrem, ale podtrzymujący jeszcze pozory „r y c e r z a c h r z e ś c i j a ń s k i e g o" wiernego stolicy Apostolskiej, nie mógł być Albrecht pożądanym protektorem i obrońcą dla zbuntowanego Gdańska.

Do wierzenia „s t r a c h o m" jesteśmy zbyt

skorzy! Dlatego też sąsiedzi obchodzą się z nami, jak z tą nowomodną jarzyną, co się k a r c z o c h e m zowie.

Wrogowie skubią po listku polskie ziemie. Moskwa oderwała już Smoleńsk. Psków i całe połacie ziem kresowych. Głuche pomruki dochodzą z Pokucia, że Hospodar Wołoski wyciąga po nie ręce. Tatarzy udają przyjaciół, ale raz po raz puszczają czerwone koguty na wioski i miasteczka podolskie, grabiąc i rabując co się da. Wreszcie my sami uskubaliśmy Polsce kawał wybrzeża Bałtyckiego. aby obdarować nim zbrodniarza, który na topór zasługiwał! Dopiero teraz po otrzymaniu tego wiana od Polski posiadł on faktycznie kwalifikacje na protektora niemców gdańskich. — Założyciel dynastii Jagiellonów i jego wielki syn Kazimierz całe życie zabiegali o rozszerzenie granic Polski, a my nietylko nie zdolni jesteśmy dołożyć cegły do rozpoczętego przez nich gmachu, ale nie potrafimy nawet w całości utrzymać przekazanej nam spuścizny. Kurczymy się i w bezwładzie oczekujemy na bieg wypadków.

Gdzie Pan Marszałek obrał locum dla siebie? zagadnął Biskup Tomicki, pragnąc zmienić przedmiot rozmowy. Czy w moim sąsiedztwie? Czy też może koło kancelarii wojewódzkiej obok mieszkania wojewody Malborskiego Bażeńskiego?

Miejesca tu nie brak, mruknął z irytacją w głosie Kmita. Wojewody niema, bo jako jeden z Komisarzy Królewskich co parę dni wyjeżdża do Gdańska i tam ma podobno dużo do czynienia. Powitał mnie jego zastępca i zaproponował, aby zająć szereg komnat w Średnim zamku, w któych mie-

szkał Król Jegomość. Komnaty wielkie i piękne, ale prawie puste. Oprócz paru stołów i ław dębowych nic tam niema!

Król Jegomość, wtrącił Biskup Tomicki, wszystkie sprzęty osobiste przywiózł z Krakowa i zabrał ze sobą, wyjeżdżając do Hohenstein, bo w tamtejszym zamku nic prócz gołych ścian niema.

Z uwagi na brak najkonieczniejszych sprzętów, ciągnął dalej Kmita, podziękowałem za tę propozycję. — Po obejrzeniu wszystkich budynków mieszkalnych, zatrzymałem się w południowym skrzydle Wysokiego Zamku, w komnatach, które zamieszkiwał ongiś Wielki Komtur. — Izby nie duże, ale miłe dla oka. Przynajmniej są tam jakieś łoża do spania. — Urządzona jest również jako tako izba jadalna. O piętro niżej leży kuchnia, kredensy i pomieszczenie dla służby osobistej.

Komnaty te zajmował Kanclerz Szydłowiecki i bardzo je sobie chwalił, zauważył Biskup Tomicki. Naogół trudno by chyba znaleźć nietylko w Polsce lecz i w całej Europie rozleglejszą rezydencję jak Malborg. Twórcy zamków Malborskich nie zdradzili ani w wyborze miejsca ani w rozplanowaniu i architekturze budynków upodobań ascetycznych! Dzieło stworzone przez nich nie ma charakteru ani klasztoru, ani schronienia dla rycerzy zakonnych, a przedstawia się raczej, jako warowna siedziba możnych, rozkochanych w zbytku, władców. — Trzeba żeby pan Marszałek zwiedził jutro szczegółowo urządzenia centralnego ogrzewania, jakie były w Średnim Zamku, gdzie rezydował Wielki Mistrz. — Konstrukcja tego ogrzewania pomyślana jest niesłychanie dowcipnie i zbytkow-

nie. — Urządzenia kanalizacyjne również są warte widzenia. — Piwnice na wina tak obszerne, że nawet w krajach, gdzie masowo wina fabrykują, nie widziałem nic podobnego... A już rozwiązanie konstrukcji sklepień w refektarzach, zwanych tu r e m t e r a m i, i w komnatach Wielkiego Mistrza, które Panu Marszałkowi jako tymczasową kwaterę proponowano, jest z punktu widzenia architektonicznego jakoby genialne.

Obszedłem zamki i budowle wokoło i pobieżnie rzuciłem okiem na ważniejsze szczegóły, odparł Kmita. Przyznaję, iż jestem zdumiony wspaniałością tego rozbójniczego gniazda. Najbardziej uderzyło mnie piękno fasad obu paradnych zamków od strony rzeki. Połączenie motywów gotyckich z arabskimi w budowie okien jest przedziwnie harmonijne. Pomysł jest podobno zapożyczony z krzyżackiego Zamku, wzniesionego w czasie wojen krzyżowych na Sycylii i z resztek pałaców saraceńskich, które zachowały się w okolicach Palermo. Bawiąc na Dworze Wiedeńskim słyszałem już kiedyś od tamtejszych magnatów zachwyty nad oknami malborskich zamków ale nigdy nie przypuszczałem, że bezpośrednie wrażenie, w naturze, jest tak potężne!

Rozumie się, obejrzałem dokładnie historyczną kulę kamienną nad kominem w sali audiencjonalnej Wielkiego Mistrza, o której tyle legend krąży. — Pomyślałem sobie, że inne wyniki było by miało nasze zwycięstwo pod Grunwaldem, gdyby ta fatalna kula była trafiła w granitowy filar, podtrzymujący sufit, czyli w cel do którego mierzył polski puszkarz, podczas oblężenia Malborga przez wojska Jagiełłowe.

Wszystkie te zachwyty i refleksje zagłuszyło uczucie oburzenia, które zakipiało we mnie, jak ujrzałem, obchodząc wschodnie skrzydło Wysokiego Zamku, olbrzymią, pokrytą jaskrawą mozaiką, płaskorzeźbę Marii z Dzieciątkiem, na zewnętrznej ścianie górnej kaplicy?!?

Święty symbol naszej wiary użyty przez krzyżactwo, jako przynęta dla maluczkich lub nieświadomych prawdy!...

Obłudny szyld cnoty zakapturzonych rozbójników, którzy, nadużywając znaku krzyża, pod pozorami nawracania na wiarę Chrystusową, bezczelnie uprawiali najhaniebniejsze zbrodnie.

Podczas gdy patrzyłem na postać Matki Chrystusowej, zatroskaną w swoim wyrazie i dziwnie niesharmonizowaną z otoczeniem butnego zamczyska, mimowoli nasuwało mi się pytanie, co należy podziwiać więcej, czy bezczelność krzyżacką, że ośmielili się w tych murach umieścić symbol najwyższej czystości, dobroci i poświęcenia, jakie świat oglądał, czy też wielką cierpliwość i wyrozumiałość Pana Boga, który tak długo z karą się ociągał i nie zesłał już przed wiekami jakiegoś kataklizmu na Malborg, aby zmiażdżyć hersztów zbójeckiej bandy, która tak długo bezkarnie hulała?! Już to przyznać trzeba, że Rzym wielką krzywdę Kościołowi Katolickiemu wyrządził, popierając inicjatywę stworzenia tego zakonu i osłaniając wciąż jego kłamstwa i łajdactwa autorytetem Stolicy Apostolskiej! Była to wyborna woda na młyn Lutra!

Sprawdziło się jednak wreszcie staropolskie przysłowie, rzekł pojednawczo Podkanclerzy: Pan

Bóg chociaż nie rychliwy, ale sprawiedliwy! Zdaje się, że wśród ożywionej gawędy Pan Marszałek zapomniał o mojej podróżnej piwniczce? A może węgrzyn nie smakuje i reńskie z kawałkiem lodu byłoby przed wieczerzą więcej wskazane?

Bóg zapłać! Mości Podkanclerzy. Mokre szmatki na oczach nie pozwalają gościnnemu gospodarzowi ocenić mojej pilności. — Węgrzyn nad podziw gładki. Ubyło go już bardzo dużo. Delektuję się jego myszką i wytwornym bukietem. Jednocześnie rozglądam się po komnacie i wydziwić się nie mogę, jak ksiądz Biskup potrafił urządzić sobie tutaj wszystko wygodnie i wytwornie. Różnych sprzęcików i osobistych drobiazgów co nie miara. Wszędzie miękkie wzorzyste kobierce wschodnie. Książek piętrzą się całe tomy. Psałterze gotyckie i przepięknie w pergamin oprawne godzinki także się tu znalazły. Widzę nawet ulubione relikwiarze z sypialni krakowskiej. Apteczka i przybory toaletowe w takiej obfitości, że starczyłoby z pewnością dla kilku białogłów. Wreszcie z roztruchanów, jakimi mój fotel jest obstawiony, wnoszę, że kredens i piwniczka muszą być również niezgorzej zaopatrzone. Wytworność i ochędóstwo rzuca się w oczy wszędzie. — Słusznie powiadają krakowianie, znajomość życia i ludzi posiadający, że prudencja i elegancja składają się jako treść i forma na osobę naszego Podkanclerzego. Elegancji zwłaszcza jest tak wiele, że kronikarze nasi powinni by przekazać imię księdza Biskupa potomności, jako uosobienie przymiotów rzymskiego Petroniusza.

Wolne żarty! Dworuje sobie Pan Marszałek ze skromnego sługi Bożego! Na starość człowiek po-

trzebuje pewnych wygód, zwłaszcza jak zdrowie niedomaga i przychodzą coraz częściej takie mizerie, jak moja obecna z oczami.

Warunki jednak tak się szczęśliwie dla mnie ułożyły, że w ostatnich czasach o tych wygodach więcej myśli mój przezacny lekarz i poczciwa służba, niż ja sam osobiście. Proszę mi powiedzieć Panie Marszałku, czy drogi i trakty w okolicach Hohenstein są rzeczywiście tak uciążliwe, jak mi różni przyjaciele listownie donoszą?

Już gorszych wyobrazić sobie nie można — odparł Kmita. Dziury i wyboje, jakby umyślnie przez gdańszczan wykopane dla orszaku Króla Polskiego! Jak się te drogi porówna z drogami w okolicach Wiednia lub Turynu, to dopiero człowiek widzi, jak nam jeszcze daleko do porządków zachodnich!!

A te psubraty krzyżaki o takich rzeczach nie pomyślały! Im we łbie świtały jedynie tylko rozboje i rabunek!

Tak nam się dłużyła chwilami podróż, że mile pomorskie wydawały się wielokrotnie dłuższe od mil normalnych! Mój obecny poeta domowy, którego wiozę gwoli rozrywki do Gdańska, dowodził z humorem, że, w myśl powiastki Rabelego o milach, te nasze wrażenia bynajmniej nie były złudzeniem!

Powiastki Rabelego? To wprost nie do wiary — zawołał ze zdumieniem Podkanclerzy — jak brzydactwa tego awanturnika Rabelego błyskawicznie po całym świecie się rozchodzą! Jakiej narodowości jest poeta pana Marszałka? Z jakiego przybywa kraju? I skąd zna Rabelego? Ca-

łe południe Francji huczy z oburzenia na tego człowieka, który, gdzie się zjawi, sieje skandale i kompromituje zakony, do których należał!

Nie znam tej powiastki o milach, ale wyobrażam sobie, że musi być równie brudna i ordynarna jak dowcipy Gargantui, babrzącego się w plugawych funkcjach fizjologicznych, jak absurdalne statuty imaginacyjnego, fantastycznego Opactwa w Telemy, jak figle Panurga, urządzane w kościele podczas uroczystości Bożego Ciała i jak wiele innych pism Rabelego, z których wyciągi neadesłano mi niedawno z Francji, jako c u r i o s u m spółczesnego piśmiennictwa!

Poeta mój jest z pochodzenia szwajcarem, ale długo mieszkał we Francji i ma tam licznych przyjaciół — odrzekł Kmita ze śmiechem. — Między innymi przyjaźni się z zakonnikiem, ex-Franciszkaninem z Fontenay le Comte, Piotrem Amy. Rabelais i Amy — to dwie dusze bratnie. Razem prowadzili studia nad łaciną i greką, razem należeli do potajemnego kółka humanistów, razem wysuszali gwoli wesołości co bardziej omszałe gąsiory z piwnic Fraciszkańskich i wreszcie razem chyłkiem z klasztoru uciekli, naskutek szeregu przeróżnych zatargów z władzami klasztornymi!

Według słów mego poety, potwierdzonych zresztą różnymi pismami Rabelego, wyciągi z których od czasu do czasu nadsyłał nam Piotr Amy do Wiśnicza — Rabelais jest niesłychanie ciekawym typem arlekina-mędrca. Pod błahą pozornie treścią i pod formą nieraz obmierzłą kryje się głęboka mądrość i filozofia życiowa, dotychczas w piśmiennictwie niespotykana.

Jeżeli Mości Podkanclerzy nie zna powiastki o milach, to pozwolę sobie opowiedzieć ją w paru słowach, jako ilustrację tego, co wyżej o twórczości Rabelego wspomniałem:

Fikcyjny król kanaryjski przedsięwziął pomiary różnych krajów europejskich — na mile, staje, sążnie itd. — W tym celu wezwał on do Paryża stu urodziwych młodzieńców i sto najpiękniejszych niewiast z całej Francji. Karmił ich i poił przez tydzień, poczem opatrzywszy ich suto na drogę, kazał im udać się parami, w rozmaite strony świata. — Na wszystkich miejscach, gdzie, podczas wędrówki, młodzieńcy zabawiali się ze swoimi towarzyszkami, miały być położone przez nich kamienie i te miały oznaczać mile. Po opuszczeniu Paryża początkowo zabawy odbywały się pod każdym prawie drzewem, i oto czemu mile we Francji, w pobliżu Paryża, są tak małe. Czym dalej od Paryża i czym młodzież była bardziej zmęczona, tym rzadziej odbywały się zabawy. Oto zkąd poszło, że mile w Bretanii, w Landach, w Niemczech i w innych bardziej jeszcze oddalonych krajach — są tak duże!

Napozór bezładna, trochę frywolna fantazja! ale w istocie, czyż to nie jest przedowcipna satyra na niedojrzałe zarządzenia administracyjne? Czy mało w tej powiastce soli dydaktycznej? Czy najpoważniejsze czynności państwowe nie podlegają w pewnych wypadkach wpływom i władzy różnych niepowołanych i nieodpowiedzialnych matołków, a w związku z tym czy nie bywają wynikiem indywidualnych zachcianek i kaprysów słabej natury ludzkiej?

U Rabelego wszystko jest allegorią, a przytem allegoria ta pieni się od humoru, fantazji, radości życia i umiłowania wszystkich jego funkcji bez żadnych osłonek i konwenansów!

Cały Zachód patrzy na Rabelego, jako na szermierza za wolność, swobodę i absolutną niezawisłość jednostki ludzkiej. Należy on do tych zuchwałych bojowników, dzisiaj jeszcze nielicznych, którzy bez skrupułów atakują i rozbijają scholastyczną skorupę skostniałego świata średniowiecznego.

Poeta mój twierdzi, że utwory Rabelego dla historyków i przyszłych pokoleń będą encyklopedią wiedzy naszej epoki; będą stanowiły przebogatą kopalnię dogmatów, ideałów, obyczajów, kłamstw, obłudy i zabobonów naszych czasów. Dopóki istnieć będzie cywilizacja europejska, trwać będzie pamięć imienia Rabelego.

Pomimo tej namiętnej apologii nie przekonał mnie pan Marszałek — z akcentem przygnębienia w głosie oświadczył Podkanclerzy. Rabelais pozostanie dla mnie zawsze tylko sprośnym i bezczelnym awanturnikiem, który marnotrawi swój talent pisarski. „M a r n o t r a w i" dlatego, że w pismach Rabelego, które poznałem, dominuje jako myśl przewodnia, egoizm i sobkostwo. a nigdzie niema nawet cienia miłości bliźniego.

Prawda, że ten egoizm jest niezwykle oświecony, że sobkostwo chociaż trywialne tryska dowcipem — tym nie mniej jednak piśmiennictwo, takimi tendencjami przesiąknięte, nie może ani przyczynić się do rozwoju cnót chrześcijańskich, ani za-

szczepić i ugruntować ładu i pokoju w życiu doczesnym.

Groźną cechą twórczości Rabelego jest, iż występuje on najczęściej, jako apostoł brutalnej rozkoszy i użycia. W związku z tym, może nawet bez intencji i świadomości, narzuca on jednak swoim czytelnikom, zwłaszcza tym maluczkim, którzy nie dorośli do rozumienia każdej alegorii, bachiczne ideały pogańskie, podważając w nich wiarę chrześcijańską i życie duchowe. Tymczasem myśl nadprzyrodzona jest niezbędna dla ducha ludzkiego, bez niej niema zrozumienia życia i świata, niema sumienia, niema rozróżnienia dobrego i złego, niema bohaterstwa i poświęcenia.

Największy nawet talent, jeżeli depcze, wyszydza i bezcześci wszystkie formy i kanony życia spółczesnego, a wzamian głosi tylko rozpustę i brutalne używanie jest trucizną dla ludzkości.

Zresztą może ja już zbyt jestem stary, a umysł mój jest tak zmęczony, że nie może tych nowych prądów i tych cynicznych metod pojęć!?

Jeżeli ksiądz Biskup pozwoli zaprezentuję tutaj jutro mojego poetę. Będziemy sobie skracali sielankę malborską dysputami o Rabelais.

Bardzo miło mi będzie poznać owego uczonego szwajcara, wyjaśnić tylko muszę, że moja „sielanka" malborska jest raczej dalszym ciągiem codziennej orki politycznej, jaką w Krakowie uprawiam. Mam tutaj ze sobą część kancelarii i odrabiam codziennie stosy korespondencji.

Obfitość aktów i pism, jakie wysyła nasza kancelaria dyplomatyczna i ich forma i styl budzi podziw w innych krajach — z przekąsem zauwa-

żył Kmita. — Czy są jakie ciekawe nowiny z wielkiej polityki w ostatnich dniach?

Nowiny są, ale raczej żałosne. Na dworze węgierskim habsburska koteria wojenna znowu wszczęła piekielne intrygi. Wszystkie usiłowania z naszej strony, aby skłonić króla Ludwika do włączenia Węgier do trzyletniego rozejmu, jaki w końcu zeszłego roku Polska zawarła z sułtanem Solimanem, dotychczas są daremne. Młodociany król Ludwik ma chorobliwie rozwiniętą ambicję; w polityce orientuje się niezmiernie słabo; całkowicie pozostaje pod wpływem niefortunnych doradców, a ci buntują go przeciwko stryjowi Zygmuntowi i pchają do rozpoczęcia jaknajrychlej kroków zaczepnych przeciwko sułtanowi, mamiąc go szczytnymi hasłami i zapewniając, że ogólna krucjata przeciwko Osmanom już jest w sekrecie zdecydowana przez wszystkie ościenne kraje chrześcijańskie.

Cała ta sprawa, sądząc z ostatniej korespondencji, przedstawia się w najczarniejszych barwach. Siły wojenne, którymi Ludwik rozporządza są znikomo małe, a pomimo to przyrzekł on już jakoby posłowi cesarskiemu, że za parę miesięcy, nie oglądając się na niczyją pomoc, sam podejmie kroki wojenne i z Budy zbrojnie wyruszy.

Po tragedii Władysława Warneńczyka trudno mieć wiarę w szczytne hasła przez Wiedeń głoszone. Król Jegomość niejednokrotnie przekładał to Ludwikowi i z całą stanowczością wyraził przekonanie, że powszechny pochód krzyżowy przeciwko Osmanom jest nieziszczalną mrzonką, w którą trzeźwy polityk wierzyć nie może i nie powinien.

W ostatnim piśmie, które wysłaliśmy do Budy, już stąd z Malborga, Król Zygmunt na wszystko zaklinał bratanka, aby oprzytomniał i nie dał się w tę niebezpieczną grę wciągnąć. W ostatniej rozmowie ze mną Miłościwy Pan nadmienił, że w razie dalszego uporu Ludwika, trzeba będzie posłać do Budy Biskupa Drzewickiego z pismem i poleceniem wyłuszczenia żywym słowem tych drażliwych argumentów, których w piśmie przytoczyć nie wypada. Zdaje się, że poselstwo to jest już obecnie nieuniknione, a nawet pilne!

Tak, tak! Inne kraje powinny by się uczyć w Wiedniu wybiegów i szalbierstwa i przy okazji pięknym za nadobne odpłacać — z oburzeniem zawołał Kmita. Ta nowa gra wiedeńskiego dworu jest bardzo przejrzysta; chcą się pozbyć w szybki i niezawodny sposób Ludwika; dalszy ciąg tej samej krasomówczej, zawistnej polityki dworów europejskich, która zaprowadziła dwudziestoletniego Króla Władysława pod Warnę. Solą w oku dyplomatów wiedeńskich są Jagiellonowie na tronach Pragi i Budy i za wszelką cenę chą oni w tych krajach prymat Habsburgów utrzymać!

Jeżeli Król Ludwik, nie bacząc na perswazje stryjowskie, ulegnie namowom habsburskiej koterii wojennej, to największym winowajcą będzie braciszek naszego pruskiego Albrechta, margrabia Jerzy Hohenzollern. Przewrotny ten mentor budzińskiego dworu jest nieodstępnym towarzyszem i złym duchem króla Ludwika i królowej Marii. Wiadomo przecież, że Wiedeń nie żałuje złota na intrygi i że Jerzy jest już od lat na żołdzie austriackim. Udało się to wilcze plemię Hohenzollernów,

a jak na urągowisko i ku większej jeszcze żałości matką tych najgorszych była królewna polska z zacnego i świętobliwego domu Jagiellonów.

Obawiam się, że odwiedziny moje zbyt długo trwają i bardzo już zmęczyłem księdza Biskupa. Dalszy ciąg pogawędki chyba odłożymy do jutra.

Nic mi Pan Marszałek nie powiedział, gdzie Dwór nasz bawi obecnie? Co porabia nasza Domina Serenissima? zagadnął Podkanclerzy.

Cały Dwór jest od paru tygodni w Niepołomicach na sałacie, której w inspektach nasiano tyle, że nawet cielęta nią karmią. Zdrowie Królewicza i Królewien w kwitnącym stanie. Królowa jak zwykle od rana do nocy zajęta i zapracowana. Wciąż w podróży między Niepołomicami i Krakowem!

Co za energia, co za światłość umysłu, jaka wiedza i jakie zamiłowanie pracy jest w tej białogłowie!?

Takiej Królowej Polska jeszcze nie miała!

Te kilka lat między nami spędzonych dały Królowej takie zrozumienie polskiej polityki wewnętrznej i zagranicznej, taką trafność sądu we wszystkich najzawilszych nawet kwestiach, że wytrawny mąż stanu mógł by jej doświadczenia pozazdrościć.

Żeby nie pewne słabostki natury czysto kobiecej, Królowa Bona mogła by sterować nawą całego państwa.

Nasze polki niestety nie dorosły jeszcze do tego poziomu kultury i nie mają takiej siły ducha.

W danym wypadku prawo dziedziczności poniekąd wyjaśnia żądzę czynu i władzy u naszej Królowej.

Aby zrozumieć charakter Bony trzeba sobie uprzytomnić, że jest ona potomkiem dwóch najżywotniejszych i najgenialniejszych spółczesnych rodów dynastycznych na Zachodzie Europy: Sforzów i Aragonów. Pozatem matka Bony, nieszczęśliwa księżna Izabella Aragońska, — żona bezwolnego, chorowitego Jana Galeazzo, który tylko figurował na tronie mediolańskim, ale faktycznie nigdy nie panował, miała w naturze swojej niepohamowany, nigdy nie zaspokojony głód władzy i czynu, właściwy wszystkim Aragonom. — Ten głód wzmógł się w niej jeszcze wskutek biernej roli, jaka księżnej Izabelli i jej mężowi w życiu przypadła, w wyniku złego stanu zdrowia jej małżonka i zagarnięcia władzy książęcej w Mediolanie przez jego stryja Ludwika Sforzę. Uczucia wprost despotycznej energii i pożądania władzy wzbierały i narastały latami w Izabelli i w formie podświadomych wpływów i prądów przenikały do duszy córki, dla której zresztą matka jawnie pragnęła zawsze wielkości, tronu i możliwości władzy więcej, niż cichego osobistego szczęścia. Oczywiście, okoliczności te i wpływy bardzo silnie zaważyły na charakterze i umyśle Bony!

W ostatnich tygodniach cała energia Królowej pochłonięta jest sprawą przyszłej organizacji księstwa Mazowieckiego.

Miłościwa Pani doskonale zdaje sobie sprawę, jaką wagę i skutki będzie miało wcielenie tego księstwa do Korony. Królowa Bona ma nadzieję, że Rada Koronna gorąco poprze jej usiłowania, a zwłaszcza współdziałać będzie zapisaniu na grodach mazowieckich oprawy dla niej, w razie owdowienia.

Ja będę się sprzeciwiał temu projektowi — wtrącił nieoczekiwanie Podkanclerzy. Przy okazji, jak nasze gawędy malborskie na te tory kiedykolwiek jeszcze zawędrują, wyłuszczę Panu Marszałkowi racje i motywy mojego sprzeciwu w tej kwestii, jak również plany, jakie pragnąłbym Radzie Koronnej przedłożyć co do przyszłości Mazowsza.

Zdaje się, że ksiądz Biskup w ten sposób bardzo pomnoży rachunki żalów i pretensji, jakie Królowa w przystępie złego humoru przeciwko kanclerzom Koronnym wytacza. Księstwo Mazowieckie znajdzie się w tej samej rubryce, co ostatnia sprawa Gdańska i Prusy Wschodnie. — Trzeba wiedzieć, że Królowa Bona wrze z oburzenia, jak się rozpoczyna gawęda o tych przewlekłych przygotowaniach i ostrożnościach, stosowanych przy likwidacji buntu gdańskiego; wtedy brak jej już słów polskich, krzyczy po włosku i powtarza bez końca słowo i n f a m i a! a już formalnie traci panowanie nad sobą, jak poruszyć sprawę ustąpienia Prus Wschodnich Albrechtowi.

Miłościwa Pani twierdzi, że przyszłe pokolenia całe wieki będą złorzeczyły tym kanclerzom, którzy radą swoją i namową skłonili Króla Zygmunta do tego aktu szczodrobliwości.

Biskup Tomicki gwałtownie poruszył się na łożu. Okłady zsunęły się z powiek i spadły kędyś między wilcze skóry. — Szukając ich nerwowo białymi wypieszczonymi palcami w puszystych futrach, Podkanclerzy jednocześnie odezwał się drżącym głosem:

N i c l e k k o m y ś l n i e w s p r a w i e P r u s W s c h o d n i c h n i e p o s t a n o w i o-

no. Król i Senat nie mieli nic do żądania, lecz przyjęli to, co Albrecht dobrowolnie dawał*).

W tych słowach tkwi właśnie całe bolesne nieporozumienie — ostro odciął Kmita!

Nie miał bowiem nic do ofiarowania zbankrutowany docna Albrecht! Ani on osobiście, ani familia Hohenzollernów nigdy żadnych praw do Prus Wschodnich nie posiadała. Wiadomo, że ziemie te od wieków należały dziedzicznie do Korony Polskiej, która w swoim czasie oddała tylko ich użytkowanie Zakonowi Krzyżackiemu w Polsce, co spowodowało ówczesny charakter kościelny tego kraju.

Albrecht, będąc Wielkim Mistrzem Zakonu Krzyżackiego, jedynie dzięki tej godności, rządził w Prusach Wschodnich, ale kiedy zrzekł się on godności Wielkiego Mistrza, a Zakon Krzyżacki został w Polsce zlikwidowany, z mocy samego tego faktu, prawo użytkowania Prus Wschodnich automatycznie powróciło do Korony Polskiej, która była i jest niepodzielną dziedziczką tego kraju. Jeżeli więc Polska 10 kwietnia 1525 roku nadała Prusy Albrechtowi, jako lenność od korony, to dokonała poprostu aktu niczem nieusprawiedliwionej szczodrobliwości i dobrodziejstwa i suto wynagrodziła „kochanego Siostrzeńca Królewskiego" za szereg zbrodni i zdrad, które on

*) Biskup Tomicki był referentem w Senacie sprawy sekularyzacji Prus Wschodnich i nadania ich w lenno Albrechtowi. Obydwaj Kanclerze tak Szydłowiecki jak i Tomicki byli zwolennikami tego aktu.

w stosunku do Polski popełnił. W przeddzień otrzymania tej lenności Albrecht nie posiadał nic zgoła!...

Cały jego majątek stanowił biały płaszcz z czarnym krzyżem, nieprawnie już wówczas noszony, i podarte pludry, z kieszeni których wyzierały setki pozwów z sądów i trybunałów całego świata, wzywających go do zapłacenia zaciągniętych na prawo i lewo długów. Trzeba bowiem zaznaczyć, że ten Wielki Mistrz Krzyżacki był również mistrzem nad mistrze w wyłudzaniu złota z trzosów swoich bliźnich i miał więcej długów niż włosów w brodzie.

Zasiedziałem się tutaj stanowczo za długo. Zmrok już zapada. Wychylam niedopitą lampkę i życzę Mości Podkanclerzemu dobrej i spokojnej nocy.

Po wymianie uprzejmości pożegnalnych, Biskup Tomicki zadzwonił i polecił przywołanym pokojowcom odprowadzić ze światłem Pana Marszałka do jego komnat.

VI.

W GDAŃSKU.

Ponura cisza zaległa ulice Gdańska. Trwoga ogarnęła i winowajców i niewinnych. Swawola i zbrodnia, które od tak dawna grasowały bezkarnie w tym grodzie, poczuły nagle twardy hamulec i przyczaiły się w oczekiwaniu jutra. Niewinna ludność drżała również o swój los. Fałszywe oskarżenia, jako chytra zemsta złośliwych sąsiadów, były na porządku dziennym.

Uwięzienie kilkudziesięciu sprawców i przywódców buntu, surowy wyrok Królewski, skazujący na karę śmierci sześciu winowajców, którym już dowiedziono zbrodni, stracenie skazańców w dniu 13 czerwca (1526) na Długim Rynku w obecności oszołomionych grozą tej kaźni tłumów, szereg edyktów Królewskich, nakazujących ład i porządek w mieście, pod groźbą surowych kar, słuchy o nowych aresztowaniach i głuche pomruki o skazaniu na karę śmierci wszystkich uwięzionych — przeraziły najzuchwalsze nawet umysły.

Na ulicach i placach miejskich ruch się zmniejszył. Chwilami zamierał zupełnie. Kupców i przedniejszych mieszkańców nie było prawie widać. Ukryli się częścią ze strachu, a częścią ze wstydu.

Nawet motłoch, który przepełniał ulice w pierwszych dniach pobytu orszaku Królewskiego w Gdańsku, odpłynął kędyś do wsi okolicznych. Cicho i potulnie nieliczni przechodnie chyłkiem przemykali się pod ścianami domów.

Przy wieżach Konwi Mlecznych stało dwóch ludzi: Zimmerman, brat skompromitowanego i uwięzionego już od kilku tygodni Georga Zimmermana, byłego sekretarza Rady i byłego burmistrza i Hans Schachtman, od niedawna ławnik, krewny i przyjaciel obecnego dygnitarza gdańskiego, pierwszego burmistrza Filipa Bischoffa.

Hans! bądź człowiekiem! odwołuję się do twego sumienia i serca! mówił podniecony Zimmerman do Schachtmana. Pomyśl o rozpaczy i ruinie rodziców Georga, ulituj się nad jego żoną. Leży ona już od tygodni nieprzytomna ze zmartwienia i bólu i nawet nie jest w stanie dać opieki drobnym dzieciom, które wałęsają się brudne i głodne po sieniach domu, wyglądając napróżno powrotu ojca. Wszak chodzi o uratowanie niemca, twego ziomka, w którym płynie taka sama krew jak w tobie! Byliście przecież przyjaciółmi! Ojcowie nasi znali się od dzieci. Mieli wspólne interesy. Dziadowie razem z Bremy do Gdańska się sprowadzili. Ratuj Georga! Hans! Zaklinam cię na wszystko, co masz najdroższego na świecie! Żona Georga ma zamożną rodzinę w Bremie. Ci ludzie dla uratowania Georga poświęcą chętnie kilka, może nawet kilkanaście tysięcy grzywien! Filip Bischoff mógł by teraz przeprowadzić wszystko, co zechce. Król Polski wierzy mu i ufa. Mówią że Kanclerz Koronny kroku nie robi bez jego rady i wiedzy. Po-

dobno książę Albrecht Pruski już niejednemu z uwięzionych pomógł. Byle tylko trafić do niego i zręcznie go zainteresować, sprawa była by w parę godzin załatwiona. Albrecht ma zdaje się dużo długów, szuka pieniędzy w Gdańsku. W Królewcu taka bieda, że ludzie nie mają tam nawet z czego danin książęcych płacić.

Jak rozmyślam o tych wszystkich nieszczęściach, które na Gdańsk spadły, to w żaden sposób zrozumieć nie mogę, jakim prawem Król Polski tak się tutaj, jak u siebie w Krakowie, rozporządza? Gdzie są te przywileje gdańskie, o których się zawsze tyle mówiło i które niby to zapewniają swobody i niezależność wolnemu miastu? Wszak Komisarze Królewscy, wjeżdżając do Gdańska przed paru miesiącami, przyrzekli wszystkim obywatelom bezpieczeństwo życia i mienia? Dlaczego na te przyrzeczenia nikt się teraz nie powołuje?

Za głośno mówisz — ze złością, szeptem prawie, odpowiedział Schachtman. Nie tylko ty, ale i ja, i Filip Bischoff za te głupie słowa możemy odpowiadać życiem. Takich, co uszy nadstawiają, nigdy nie brak w Gdańsku. Wszystkie okna pootwierane w mieszkaniach na górnych piętrach, a ty drzesz się jak opętany — albo jak te przekupki, co ryby wędzone na podwórkach sprzedają. Jest już południe. W Artushofie o tej porze powinno być pusto. Bardzo się śpieszę, chcę ci jednak dać parę rozsądnych uwag i rad. Chodźmy tam, aby chwilę porozmawiać.

Idąc niepewnym krokiem za Schachtmanem ku Długiemu Rynkowi i nie mogąc ani na chwilę opanować swoich strapień i trosk rodzinnych, Zim-

merman w dalszym ciągu, teraz już półgłosem, biadał i rozwodził swoje prośby i żale. Byle tylko od śmierci i więzienia Georga uwolnić! Niechaj go skażą na banicję z Gdańska. Mniejsza o to. Cała nasza rodzina chętnie stąd wyjedzie i do Bremy powróci. Tam się także znajdą interesy. Słuchaj Hans. Jak Filip nie będzie chciał, czy też nie będzie mógł nic zrobić, to może ty się dowiesz, w którym zamku na Pomorzu Georg jest uwięziony? Pojadę tam niezwłocznie i sam sobie poradzę ze strażnikami. Jak im pokażę dobrze naładowany trzos, to Georg nazajutrz będzie wolny i w przebraniu dostanie się do niemieckiej granicy z łatwością.

— Ty przeklęty wariacie! Krzyknął ze wściekłością Schachtman. Nie rozumiesz, co się do ciebie mówi! Jeszcze jedno słowo, a natychmiast bez pożegnania odejdę i nigdy już nie spotkamy się więcej!

Dochodzili właśnie do przedproża Artushofu. Schachtman szedł pierwszy. Uchylił drzwi i przekonawszy się, że w sali nie ma nikogo, skinieniem głowy przywołał Zimmermana. Usiedli w rogu, po prawej stronie od wejścia, gdzie były miejsca przeznaczone na narady prywatne dla ławników miejskich.

Raz jeszcze ostrzegam cię, bądź ostrożny i mów pocichu — odezwał się Schachtman. Ściany i tu mają uszy. Powtarzasz plotki na ulicy zasłyszane, w których nie ma za feniga sensu. Tym nierozważnym gadaniem narażasz na niebezpieczeństwo i siebie i innych. W Gdańsku się urodziłeś, uchodzisz za sprytnego kupca, a nie wiesz, czy też nie rozumiesz, czym jest Gdańsk dla Polski i czym dla

nas niemców. Paplą ludzie dużo. Jedni dla tego, że są ciemni, inni bo im tak kazano, a może nawet im za to zapłacono, ale prawdy w tych gawędach, prowadzonych przy piwie, jest mało! Jak poszperać w starych aktach i księgach, a zastanowić się nad wszystkim sprawiedliwie, to prawda w pokręconych obecnie stosunkach gdańskich jest tylko jedna.

Tak jak Pomorze jest odwiecznie polską ziemią, tak i Gdańsk jest odwiecznie polskim grodem.

Gdańsk założony był przez książąt polskich i zamieszkały był pierwotnie przez polaków. Może ci polacy różnili się trochę mową i obyczajami od polaków z południowej Polski, jak reński niemiec od niemca bawarskiego, ale i polak kaszubski i polak krakowski — to jedna krew, jedna rodzina plemienna, jedna rasa słowiańska.

My, niemcy, ani do tej ziemi, ani do Gdańska żadnych plemiennych uprawnień nie posiadamy! Jedni z nas przyszli tu wczoraj z własnego umysłu, drudzy przed stu laty, sprowadzeni przez krzyżaków niemieckiego pochodzenia, inni jeszcze dwieście lat temu, inni może dawniej, ale wszyscy jesteśmy w Gdańsku tylko gośćmi. Dobrze nas przyjęto, żyjemy spokojnie, pracujemy, powiększamy nasz dobytek, pomnażamy nasze familie, ale gdańszczanami z krwi i kości nie bylibyśmy nigdy, nie jesteśmy i nie będziemy.

Sprowadzili nas niemieccy rycerze krzyżowi, którzy przemocą opanowali Gdańsk, po wyniszczeniu i rzeziach kaszubskiej ludności. Byliśmy krzyżakom potrzebni do nadania niemieckiej politury temu odwiecznemu polskiemu grodowi i do stwo-

rzenia podstaw gospodarczych dla planowanego wówczas przez nich mocarstwa krzyżackiego. Mocarstwo to pragnęło kosztem Polski usadowić się nad Bałtykiem; dążyło ono do stopniowego podboju wszystkich ziem polskich i do wytracenia miejscowej polskiej ludności, ale tymczasem samo przepadło, znienawidzone nietylko przez polaków, ale i przez ludność gdańską.

W obliczu swoich planów krzyżacy pierwsi zaczęli fałszować historię i stosunki polityczne w Gdańsku. Oni pierwsi zaczęli rozsiewać legendy o niemieckości Gdańska. Reszty dokonała zła wola i nieuctwo niemieckich osadników.

Wszystkie przywileje, ułatwienia w handlu morskim i prawa, zabezpieczające nam, niemcom, mienie, spokój i porządek — zawdzięczamy od chwili wypędzania z Gdańska krzyżaków, królom polskim, słusznym więc chyba jest, że ci królowie mają tu władzę i chcą rządzić jak u siebie w Krakowie. Mądrzy i doświadczeni ludzie z Hanzy mówią, że tylko dziwić się należy i winszować Gdańskowi, że potrafił tyle wyjątkowych i korzystnych dla siebie praw od Polski uzyskać. Ostrzegają oni jednak, żeby struny nie przeciągać. Jak Polska, zniecierpliwiona, przejrzy na oczy i przekona się, że zamiast wdzięczności i wygody ma od niemców gdańskich jedynie tylko pretensje i zdrady, skończą się rychło te złote czasy i trzeba będzie wiać z powrotem do Niemiec.

Tobie wrodzonej chytrości nie brak, tylko w tej chwili nieszczęście cię otumaniło. Naogół sprytniejszy jesteś z natury od Georga i dla tego w oka mgnieniu zrozumiesz, co ci powiem i co sam od mądrali gdańskich słyszałem.

Widziałeś na tych wielkich drzewinach, co przy drodze do klasztoru w Oliwie rosną, zielone pęki jemioły? Sprytne i do życia rwące się jemiołuchy i szpaki zasiały ją tam na gałęziach! Te wielgachne drzewa — to Polski Gdańsk, ta jemioła — to niemcy gdańscy!

Dopóki tych drzew, dopóki one rozrastają się i żyją — dopóty jemioła ma z czego soki czerpać, zieleni się cały rok i w jagody obfituje! Jak jemioła zacznie się rozpleniać po wszystkich gałęziach, jak się jej będzie chciało więcej soków, niż drzewo dać może, to w końcu zadusi drzewo. Olbrzym z rozłożystymi konarami uschnie i wichry go obalą, ale jemioła także wtedy przepadnie i skończą się dla niej dobre czasy, dostatek i pomyślność!

Tego wszystkiego, to was Bischoff nauczył w ostatnich czasach — z goryczą odrzekł Zimmerman. On dopiero od roku zrobił się taki mądry. Przedtem mówił inaczej i z Georgem byli za jedno. Georg pod koniec bardzo na niego narzekał i zawsze był z nim w niezgodzie.

Pokutuje teraz za swoją głupotę w podziemiach pomorskiego zamku, odrzekł szyderczo Schachtman! Georg wziął się do polityki ale nigdy nie miał w sobie żadnego poczucia miary. Za prędko chciał zrobić karierę. To nie idzie.

Podobno już w Krakowie i w Piotrkowie na sejmie głupstw narobił bez liku. Żeby nie wstawiennictwo kanclerza Szydłowieckiego, byli by go wtedy już polacy uwięzili. Mało brakowało! Pod koniec Georg zupełnie rozum postradał. Wszystkim było wiadomo, że w partii ludowej on najener-

giczniej rzemieślników i robotników buntował i do rozruchów namawiał. Trafił nawet i do ludności kaszubskiej. Śledztwo potwierdziło to w zupełności. Wszystkim poważnym kupcom się naraził. Chciał koniecznie nadburmistrzem zostać i bardzo utrudniał pracę Bischoffowi. Georg zawinił podwójnie. Swoimi radykalnymi wystąpieniami nietylko powodował w nieoświeconych umysłach drobnego mieszczaństwa i pospólstwa przewrót religijny i umacniał herezję, ale budził również bunt we wszystkich kierunkach. Umniejszał poszanowanie dla dotychczasowego ładu społecznego, podkopywał praworządność i obalał wszelką władzę.

Takich fałszywych trybunów ludowych było wielu w Gdańsku, ale większość zdążyła uciec przed przybyciem Króla Polskiego. Dla tego też, jak Król, po swoim przybyciu do Gdańska, wezwał tutaj, do tej sali, na pierwszą publiczną naradę kupców i cechy, to wszyscy, jak jeden głos orzekli, że największymi winowajcami zaburzeń w Gdańsku byli tak zwani przywódcy ludowi, do których i Georg w ostatnich czasach należał. Cechy i kupiectwo błagały wówczas Króla, aby nie baczył na deklarację Komisarzy Królewskich, przyrzekającą wszystkim obywatelom bezpieczeństwo życia i mienia i aby jaknajsurowiej ukarał winowajców. Z tego wynika, — że sami obywatele gdańscy pragnęli wymiaru sprawiedliwości i sami unieważnili sens powitalnej deklaracji i przyrzeczenia Komisarzy Królewskich.

Pomimo to wszystko chciałbym wam dopomóc i zrobić, co się da, dla Georga! Trochę zapóźno do mnie się zwróciłeś. Zaraz po uwięzieniu go, kiedy

jeszcze nie był wywieziony z Gdańska łatwiej było działać. Zresztą wtedy cały aparat sprawiedliwości nie był jeszcze tak zorganizowany, jak dzisiaj. Nie było jeszcze danych, zdobytych przez drobiazgowe śledztwo, które kazał przeprowadzić Biskup Tomicki, po swoim przyjeździe do Gdańska. Naogół Biskupi polscy, którzy teraz ujęli te sprawy wyłącznie prawie w swoje ręce, są bardzo nieprzychylnie dla nas niemców usposobieni. Ugruntowało się wśród nich przekonanie, że głównymi winowajcami rozruchów są niemcy gdańscy, że miejscowa ludność kaszubska nigdy sama bez podżegania niemieckich przywódców nie była by się dopuściła tylu nadużyć i okrucieństw. Dzisiaj na wszystko są już dowody i większość oskarżonych przyznała się do winy. Są nawet zeznania, stwierdzające przygotowania do tych głupich zamachów. Jeżeli sprawa zamierzanego rzekomo podpalenia beczek z prochem w podziemiach pod ratuszem, w którym Król rezyduje, jest jeszcze dotychczas niewyraźna i niepewna, to w każdym razie zamiary co do innych spisków są zupełnie stwierdzone. Paskudnie wyglądają knowania, dotyczące wymordowania eskorty zbrojnej Komisarzy Królewskich i uwięzienia samych Komisarzy. Nie wygląda również pięknie plan, który był oparty na rachubach, że Komisarze Królewscy ze swoją zbrojną eskortą i wszyscy znajdujący się w Gdańsku polacy oraz stronnicy Polski wyjdą z miasta na powitanie Króla, a wówczas uzbrojony przez przywódców ludowych motłoch zamknie wszystkie bramy i nie wpuści do miasta Króla Polskiego i jego orszaku. Plan ten został całkowicie zdemaskowany i także nam

niemcom zaszczytu nie przynosi. Pamiętasz zapewne, ile wówczas Bischoff zużył słów i energii, aby obalić te zamysły dziecinne z jednej strony, a zbrodnicze i skandaliczne z drugiej strony. Przekonać niemieckie zapalone głowy — to bardzo trudna sprawa. Mają w sobie upór i zaciętość osłów. Właściwie to sam fakt ujawnienia tych knowań i zdrad unieważnia już przyrzeczenia, dane przez Komisarzy Królewskich przy wjeździe do miasta. Przyrzeczenia tego rodzaju mogły mieć wagę i odnosić się tylko do winowajców, którzy bądź przez lekkomyślność, bądź przez uniesienie wykroczyli przeciwko porządkowi publicznemu lub przepisom religijnym, nie mogły jednak obejmować zdrajców stanu i zbrodniarzy, którzy godzili na życie królewskie, względnie na życie przedstawicieli królewskich, i którzy powzięli te zamiary już po przybyciu Komisarzy do Gdańska.

Schachtman urwał nagle rozmowę i zaczął pilnie nadsłuchiwać. Przez otwarte górne szyby wielkich ostrołukowych okien dochodziły do sali odgłosy rozmowy, prowadzonej po polsku przez kilka osób. Głosy te zbliżały się do Artushofu. Po chwili na kamiennej posadzce przedproża rozległy się kroki i drzwi do sali uchylił młody, uśmiechnięty chłopak w liberii laufrów kancelarii królewskiej. Zajrzał do środka i powiódł wzrokiem naokoło sali.

Sprawiedliwie ludzie powiadali, zawołał wesoło, zwracając się do osób, które stały w progu, że w tym zamku w południe zawsze pusto. I teraz są tylko dwie osoby w kąciku. Namawiali mnie nieraz, żeby przyjść tutaj w obiad i tym cackom różnym się przyjrzeć, ale w Gdańsku nigdy człowiek

niema czasu! Panowie referenci mogą sobie tutaj wygodnie w chłodzie posiedzieć i spokojnie porozmawiać, a ja duchem skoczę do apteki po lekarstwo, odniosę je księdzu Biskupowi razem z pocztą krakowską i zapytam, o której godzinie ksiądz Biskup będzie mógł przyjąć Pana Korybuta Koszyrskiego. Za półgodzinki będę z powrotem.

Zambocki i Koszyrski weszli do Artushofu i udali się wgłąb sali ku przeciwległej ścianie, gdzie pod oknami stały szerokie wygodne ławy. Roztasowali się na nich i zaczęli półgłosem rozmawiać.

Schachtman spojrzał znacząco na Zimmermana i szepnął mu prawie do samego ucha: naszej rozmowy nie możemy tutaj kończyć. To są urzędnicy z kancelarii królewskiej; odprowadź mnie do Bischoffa; idę do niego po różne zlecenia; w ogrodzie Bischoffa znajdzie się bezpieczne miejsce, gdzie naradzimy się jak i przez kogo działać należy. Tylko na ulicy ani słowa! Podnieśli się ze swoich miejsc i złożyli w kierunku nowoprzybyłych uniżony ukłon, wypowiadając jednocześnie bardzo głośno sakramentalne słowo miejscowego południowego pozdrowienia „Mahlzeit". — Formułkę tę dosyć sztywno powtórzyli za odchodzącymi Zambocki i Koszyrski i, widząc, że pozostają sami w miłej chłodnej sali Artushofu, mrugnęli na siebie radośnie.

Dzięki Bogu, że się wynieśli, zawołał śmiejąc się Zambocki. Teraz dwór Artusa należy niepodzielnie do nas. Jeszcze dziesięciu takich jak my doborowych witezi, a zjawi się znienacka sędziwy król Artus, każe przynieść okrągły stół i rozpoczniemy gawędę o dawnych dobrych czasach. Kiedy

nie było jeszcze przekornych niemców w Gdańsku. Nie było buntów i zdrad! Święta modra miska Graala nie była w posiadaniu naszej Włoszki na Wawelu, a stała na swoim zwykłym miejscu w Camelot. Piękna, wiecznie młoda królowa Ginevra, małżonka króla Artusa przyjeżdżała w odwiedziny na dwór księcia Lecha do Gdańska, aby szukać cennego bursztynu na brzegach Bałtyku i śpiewać przy dźwiękach lutni łzawe serenady o męskich ponętach miłego jej sercu rycerza Lancelota!

Widzę, wtrącił Koszyrski, że długi pobyt wśród groszorobów gdańskich i ciężka praca w służbie Temidy nie przyćmiły bynajmniej rycerskich inklinacji waćpana i nie stępiły jego bujnej poetyckiej fantazji. Pragnąłbym jednak gawędkę naszą skierować na więcej realne tory i zapytać q u o u s q u e t a n d e m ma ciągnąć się ta niewola i nuda gdańska. Siedzicie tu już od połowy kwietnia, jest połowa czerwca i nic jeszcze nie słychać o powrocie do Krakowa?! Niechaj waćpan opowie mi pokrótce przeżyte niebezpieczeństwa i przygody, nakreśli w przybliżeniu chociaż akty już dokonane i plan dalszych działań, oraz wskaże mniej więcej termin wyjazdu Króla Jegomości z Gdańska.

— Bene, benissime! zawołał Zambocki. A więc przygód i niebezpieczeństw było bez liku i miary! Zdrady i zamachy czychały na nas zza węgła każdej budowli gdańskiej! Dotychczas jednak lawirowaliśmy tak szczęśliwie, że nikomu włos z głowy nie spadł. Kunktatorska polityka Króla Jegomości i kancelarii Królewskiej w tym wypadku święci zupełny i zasłużony triumf. Żeby nie te wy-

wiady bez końca, oczekiwania, cierpliwość, zimna krew, rozważanie każdej najdrobniejszej okoliczności, sprytne szachowanie zamiarów strony przeciwnej et cet, et cet. — ofiar z obu stron było by prawdopodobnie bardzo dużo, a wyniki pozytywne były by mniej doniosłe, niż te, które już dzisiaj zostały osiągnięte. Mamy przytem nadzieję, że po wykonaniu całego zamierzonego planu Króla Jegomości w stosunkach gdańskich zapanuje większa niż dotychczas wzajemna sprawiedliwość i zgoda.

Działalność nasza nastręczała i wciąż nastręcza dużo niebezpieczeństw i trudności.

Raporty, które nadchodziły od Komisarzy Królewskich, wydelegowanych jeszcze w marcu do Gdańska nie były pomyślne. Komisarze stwierdzili, że przybycia Króla do Gdańska szczerze pragnęli tylko: dawna Rada miejska wraz ze stronictwem Ferbera, czyli ludzie formalnie zostracyzmowani przez większość współobywateli, garstka kupców i nieliczne cechy oraz ludność pochodzenia kaszubskiego, zawsze i niezmiennie oddana Polsce. Ludzie ci z niecierpliwością oczekiwali rozprawy z wichrzycielami gdańskimi i tęsknili do mocnej władzy Królewskiej, która wprowadziłaby nareszcie ład i porządek.

Niemcy gdańscy, poczynając od patrycjuszów, a kończąc na drobnym mieszczaństwie i ich przywódcach, prawie wszyscy z małymi wyjątkami intrygowali na różne sposoby, aby wytworzony w Gdańsku przez rozruchy religijne i socjalne stan rzeczy pozostawić własnej ewolucji, jak to zresztą dzieje się obecnie w wielu miastach niemieckich, przez herezję opanowanych. W związku z tym pro-

jektowany przyjazd Króla Jegomości, celem zbadania i osądzenia wypadków gdańskich, był im nie na rękę i projekt ten namiętnie zwalczali. Kiedy wreszcie dowiedzieli się oni, że Król, po długim wahaniu, powziął już decyzję przybycia do Gdańska i wyrusza z Hohenstein na czele zbrojnych hufców, znaleźli się wichrzyciele w partii niemieckiej, którzy chcieli popchnąć tłumy do kroku nieobliczalnego w następstwa. Zamierzono napaść znienacka, nocą, na rozlokowane w Gdańsku oddziały zbrojnej eskorty Komisarzy Królewskich, rozbroić i zniszczyć to wojsko, a samych Komisarzy osadzić w więzieniu. Zamierzonemu spiskowi przeszkodziła z jednej strony czujność polskich żołnierzy i życzliwe ostrzeżenia sprzyjających im gdańszczan, a z drugiej strony podziałały może również rozsądne wpływy nowej Rady miejskiej zwłaszcza samego Burmistrza Bischoffa. Nazajutrz po nocy wyznaczonej na ten nieudany spisek przybył do Gdańska siostrzeniec Królewski, brat Albrechta Pruskiego, Jerzy, książę pomorski, w towarzystwie biskupa Manteufla, na czele okazałego orszaku dobrze uzbrojonego, aby Króla Polskiego powitać. Wobec tego projektowana zasadzka tymbardziej już udaremnioną została. Pomimo tego wichrzyciele nie dali za wygraną. Uplanowali oni nowy spisek, którego wykonanie mogło być przy normalnym biegu wypadków względnie łatwe. Liczyli oni na to, że żołnierze Komisarzy Królewskich wraz z orszakiem księcia Pomorskiego wyjdą naprzeciwko zbliżającego się Króla. Postanowiono zatem, skoro tylko polacy przekroczą mury miasta, zamknąć za nimi bramy i nie wpuścić Króla do Gdańska. W tym

celu były już nawet przygotowane na murach działa. Na szczęście Bischoff, poinformowany w porę o tych zamysłach, doniósł o nich Królowi, który zdążył wysłać na czas surowy rozkaz do swoich ludzi w Gdańsku, aby nikt z polaków nie wychodził na jego powitanie i aby polacy na krok nawet nie opuszczali murów miasta. Tak więc dowcipnie pomyślany spisek został znowu przezornie udaremniony.

Te dowody jednak „g o ś c i n n o ś c i" ze strony pewnej kliki obywateli gdańskich natchnęły Króla myślą powiększenia, o ile możności, sił obronnych polskich w Gdańsku. W tym więc celu posłano wezwanie do okolicznej szlachty pomorskiej, aby stawiła się jaknajliczniej w pobliżu Gdańska i wspólnie z Królem wkroczyła do miasta. Pozatem elblążanie, znając dokładnie ze słyszenia stosunki panujące u sąsiadów gdańskich, z własnej woli ofiarowali Królowi pomoc, która została przez niego przyjęta z podziękowaniem i zastrzeżeniem, aby oddziały uzbrojone nie wchodziły gromadnie, lecz aby starały się dostać pojedyńczo i niepostrzeżenie do miasta. Najmniejszy hałas i niezwykła postawa przybywających mogły wzbudzić w pospólstwie gdańskim podejrzenie i popłoch.

W ten sposób doszliśmy do pokaźnej cyfry sił obronnych, sięgającej obecnie około 8000 ludzi.

Pomimo tego, już podczas pobytu naszego tutaj, krążyły wieści o zamiarach podpalenia beczek z prochem pod ratuszem, gdzie Król rezyduje, ale ta historia dotychczas wyraźnego potwierdzenia w śledztwie nie znalazła i wydaje mi się plotką.

Bogiem a prawdą ciężkie momenty musiał prze-

żyć Król Jegomość, ze współczuciem szepnął Koszyrski.

Wśród tych tak bardzo różnych nastrojów i ostrożności ciągnął dalej swoje opowiadanie Zambocki, odbył się wjazd Królewski do Gdańska w dniu 17 kwietnia bez żadnego oporu i już zupełnie spokojnie.

Król udał się najpierw do przepełnionego tłumami kościoła Panny Marii, gdzie był powitany przez Biskupa Drzewickiego i gdzie ucałował relikwie świętych.

Po długich ceremoniach i modlitwach dziękczynnych udaliśmy się na ratusz, gdzie Król Jegomość zamieszkał i dotychczas rezyduje.

Wobec tego, iż w pierwszych dniach pobytu Króla w Gdańsku nie było wśród nas Biskupa Tomickiego, który wciąż jeszcze kurował swoje oczy w Malborgu, Król nie chciał spraw religijnych poruszać. Heretycy wytłomaczyli to sobie w ten sposób, że Król niema bynajmniej zamiaru bronić praw kościoła katolickiego w Gdańsku i pozostawia zupełną swobodę zwolennikom nowej nauki. W związku z tym w wielu kościołach odbywały się dalej nauki heretyckie, a niektórzy śmielsi wyznawcy herezji nie wahali się nawet proponować dysput teologicznych biskupom polskim.

Natomiast Król zabrał się z całą energią do spraw politycznych.

Nastąpił szereg narad i zebrań publicznych. Posypały się różne edykty i akty, które miały przygotować grunt do wymiaru sprawiedliwości.

Na dzień 21 kwietnia zwołane zostało do Artushofu zebranie kupiectwa i cechów.

Przez usta Kmity, który bawiąc po dworach zagranicznych poznał wiele obcych języków, Król zapytał zgromadzonych, czemu nie słuchali jego rozkazów i czy chcą na przyszłość dochować mu wierności.

Oczywiście wszyscy obecni zadeklarowali najgłębszą i najszczerszą uległość.

Kupiectwo i cechy zwaliło winę wszystkich zaburzeń na przywódców ludowych i prosiło o ukaranie winnych, wbrew przyrzeczeniom Komisarzy Królewskich, którzy wjeżdżając do miasta zapewnili wszystkim bezpieczeństwo życia i mienia.

Wskutek takiego oświadczenia, Król czuł się uwolnionym od przyrzeczenia, danego przez Komisarzy w jego imieniu ludności i mógł już działać z wszelką swobodą, nie krępując się żadnymi skrupułami. Jakkolwiek Biskup Tomicki uważał zawsze te skrupuły królewskie za zbyteczne, tak z punktu widzenia prawa jak i moralności, gdyż przeprowadzone śledztwo wykazało wiele zbrodni, które nie powinny były ujść bezkarnie w obliczu ogólnych praw w Gdańsku obowiązujących i puszczenie płazem których ubliżało by moralności publicznej.

27 kwietnia został wydany edykt, iż nikomu niewolno pod groźbą utraty mienia i kary śmierci wydalać się z miasta bez osobnego zezwolenia.

1 maja nastąpiła indagacja na ratuszu. Poprzedziło ją tajne posiedzenie członków nowej rady oraz 12 mężów zaufania partii ludowej; członkowie starej rady odgrywali rolę oskarżycieli; Król rozpatrywał sprawy w otoczeniu swoich doradców.

Zapozwani przywódcy ludowi i podejrzewani

o udział w rozruchach winowajcy wzajemnie się oskarżali. Zostali zbadani liczni świadkowie. W wyniku tej indagacji postanowiono z górą 40 osób uwięzić.

W pierwszych dniach maja przybył do Gdańska Biskup Tomicki. Wtedy rozpoczęły się również aresztowania najzuchwalszych kaznodziei heretyckich. Równocześnie zaczęto przywracać dawny porządek rzeczy na polu religijnym.

17 maja wydany został edykt, aby do najbliższej soboty przywrócić we wszystkich kościołach dawny porządek.

W tym czasie również zwrócono wielu zakonnikom ich klasztory.

Zaczęto się również zastanawiać, jaką karę wymierzyć uwięzionym winowajcom, którym dowiedziono zarzuconych zbrodni.

Sześciu winowajców zostało skazanych na karę śmierci i egzekucja tych pierwszych ofiar odbyła się na Długim Rynku w dniu 13 czerwca. Niektórych uwięzionych, okutych w kajdany, przewieziono do sąsiednich zamków pomorskich.

Przygnębienie w mieście w ostatnich dniach wzrosło. Zdaje się, że gdańszczanie zdumieni są energicznymi przejawami woli i władzy Królewskiej.

Dla ogółu ludności gdańskiej monarcha polski był dotychczas postacią prawie że legendarną. Gdańszczanie znali go tylko z mądrych edyktów i rozkazów nadchodzących z Krakowa, publikowanych często w Gdańsku na drzwiach ratusza lub ważniejszych kościołów, ale rzadko przestrzeganych, z uwagi na osławioną dobrotliwość królewską

i mglistość kontroli w dziedzinie wykonawczej. Uznawali w nim symbol władzy i potęgi, ale nie wyobrażali sobie możliwości bezpośredniego nieomal zetknięcia się, na terenie samego Gdańska, z majestatem Królewskim.

Zjawienie się Króla Polskiego wśród nich, w roli bezpośredniego sędziego, sprawnie wnikającego w ich czyny i piętnującego z energią nadużycia i zbrodnie onieśmieliło i oszołomiło prawie wszystkich.

Większość ludności oniemiała ze zdziwienia i przerażenia.

Tylko dawni dygnitarze gdańscy, usunięci od władzy przez partję ludową, nie stracili przytomności umysłu i wytrwale zabiegają o swoje prawa. Zrozumieli oni, że jest to jedyny moment nadający się bądź do zupełnego unieszkodliwienia przeciwników, bądź do ich osłabienia; jedyna okazja, jeżeli nie do odzyskania utraconych praw i przywilejów, to przynajmniej do zdobycia pewnych odszkodowań. Ex-burmistrz Ferber, jego krewniacy i liczni przyjaciele, należący do patrycjatu gdańskiego, wywierają wciąż silny nacisk na otoczenie królewskie, domagając się jaknajsurowszego ukarania wszystkich winowajców, a zwłaszcza przywódców partii ludowej, przebywających jeszcze wciąż w więzieniu.

Kara śmierci, banicja lub więzienie w zamkach pomorskich, w ostateczności długi areszt domowy — byle tylko pozbyć się nazawsze lub unieruchomić przynajmniej na czas dłuższy nienawistnych wrogów.

Dawni dygnitarze i ich zwolennicy ze środo-

wiska arystokracji miejskiej są jeszcze wciąż pod wrażeniem upokorzenia, jakiego ze strony partii ludowej doznali. Obawiają się oni, aby przeciwnicy ich, po wyjeździe Króla z Gdańska, nie podnieśli znów głowy i nie wywarli na nich swojej zemsty za represje, jakie na nich w wyniku sądów królewskich spadły lub spadną.

Grupie tej pewne poparcie okazują przedstawiciele zamożnego kupiectwa i cechów, którzy, jakkolwiek nie zabiegają specjalnie o surowe kary dla winnych, pragnęliby jednak uspokojenia stosunków w mieście, ukonstytuowania mocnej władzy i powrotu do warunków, zapewniających im bezpieczny handel i normalny bieg interesów.

W najbliższym otoczeniu królewskim ścierają się dwa prądy.

Partia biskupia, na czele której stoją: Podkanclerzy Tomicki, Krzycki i Drzewicki, prze z energią do jaknajsurowszych wyroków, zwłaszcza w sprawach, gdzie w grze jest interes kościoła, a śledztwo i przyznanie się do winy samych winowajców stwierdziły fakty zbrodni i przestępstwa.

Marszałek Kmita, który z różnych względów dąży do demonstracji siły i potęgi Rzeczypospolitej w Gdańsku, jest stronnikiem tej partii i mając duży posłuch u Króla Jegomości wciąż doradza surowość i bezwzględność w ukaraniu winnych.

Partia biskupia znajduje silny sprzeciw w stanowisku kanclerza Szydłowieckiego i jego stronników, którzy wszelkimi sposobami starają się przekonać Króla, że tylko łagodnością i pobłażaniem można sobie zapewnić dalsze dobre współżycie z Gdańskiem i mocniejsze zespolenie go z Koroną.

W ostatnich tygodniach szła zacięta walka między obu przeciwnymi stronnictwami. Zewnętrznie formy i pozory tych wzajemnych zmagań były bardzo poprawne, ale podziemne knowania i intrygi, prowadzone przez strony, miały nieprawdopodobne napięcie. Metody te co do mistrzostwa i środków walki mogły się mierzyć z pomysłami samego Machiavela.

W tych warunkach, wtrącił Koszyrski, osądzenie spraw gdańskich jest rzeczą diabelnie trudną i teraz rozumiem dlaczego siedzicie tutaj tyle miesięcy.

Trzeba bardzo gruntownie poznać materiał śledczy i mieć wielką siłę woli, aby tym różnym wpływom się oprzeć i powziąć słuszną, niezależną decyzję.

Zdaje się, że w ostatnich dniach, ciągnął dalej Zambocki, Król Jegomość co do większości spraw powziął już pewne postanowienia. Jak zwykle Najjaśniejszy Pan wybrał drogę pośrednią i umiarkowaną, najbardziej odpowiadającą jego ulubionej maksymie m o d e r a t a d u r a n t. Wnioskuję to z tego, że czynią się przygotowania do publikacji nowych ważnych rozporządzeń i nowych edyktów. Wielka rozwaga wciąż jest stosowana.

Mówi się również o nowych egzekucjach. Jakkolwiek, wyroki śmierci mają być podobno wykonane dopiero za kilka tygodni, po dokładnym wysondowaniu nastrojów w środowisku gdańskim! Egzekucja tym razem dotyczyłaby najniebezpieczniejszych winowajców. W grę wchodzą najbardziej popularni przywódcy ludowi.

Ponieważ wielu winowajców zbiegło z Gdań-

ska i miejsce ich pobytu jest zupełnie niewiadome, ma być w stosunku do nich ogłoszona banicja.

Mają być wprowadzone ważne zmiany w obowiązującej obecnie ordynacji miejskiej. Prawa, przysługujące Koronie w Gdańsku, będą podobno znacznie rozszerzone. Projektowane są również przepisy, mające na celu wzmocnienie porządku administracyjnego i bezpieczeństwa publicznego w mieście.

Najistotniejsze projekty i zmiany w ordynacji miejskiej obmyślił sam Król Jegomość osobiście z wielką mądrością. Projekt reorganizacji przedstawicielstwa obywatelskiego pomyślany został przez Króla w duchu niezmiernie ludzkim i sprawiedliwym. Do ordynku trzeciego władz miejskich mają być wprowadzeni, prócz drobnego kupiectwa, również przedstawiciele najuboższej ludności gdańskiej z warstw rzemieślniczych i robotniczych, ogółem w liczbie stu mężów. Organizacja ta zwać się będzie w języku miejscowym *„Hundertmänner"*. Ordynek trzeci wybierać będzie członków rady miejskiej i ławników — i stanowić będzie przeciwwagę nieprawnych względnie samowolnych dążeń i zachcianek rady miejskiej. W razie kontrowersji z radą miejską, Ordynkowi trzeciemu przysługiwać będzie prawo bezpośredniej skargi do władzy Królewskiej. W ten sposób w masach ludności handlującej, cechowej i wyrobniczej, a zwłaszcza w środowisku drobnych kupców, rzemieślników, rybaków i ludzi prostych, żyjących z portu, gdzie zresztą najwięcej jest starej krwi kaszubsko-polskiej, obudzi się żywsza świadomość zespolenia ich najżywotniejszych interesów

z Rzeczpospolitą Polską. Jednocześnie przygotowuje się edykt, dotyczący konfiskaty wszystkich pism i ksiąg luterskich.

Jednym słowem, na wołowej skórze nie pomieściły by się projekty wszystkich zamierzonych zmian i rozporządzeń.

Publikacja tych praw, edyktów i wyroków ulega ustawicznie zwłoce, gdyż otoczenie królewskie wyraża wciąż przekonanie, że niepokój umysłów i zbrodnicze namiętności gdańszczan są tylko chwilowo stłumione i zamaskowane, a w gruncie rzeczy atmosfera w Gdańsku nie uległa zmianie. Powietrze jest jakoby przeładowane nienawiścią i chęcią zemsty. Pomimo pozornego uspokojenia, różne stronnictwa i grupy spoglądają na siebie jak wilki i wyczekują tylko okazji, aby rzucić się na siebie ponownie. W stosunkach jest jeszcze na dnie stan gorączki i podniecenia, co wyklucza możność zgodnej pokojowej współpracy itd. itd.

Król Jegomość, który w takich wypadkach znajduje zawsze mądry pomysł w zanadrzu, przed kilku dniami powziął decyzję sprawdzenia tych obaw i wątpliwości. Zbadamy puls choremu i zajrzymy w oczy tym wilkom, powiedział Król. Przekonamy się, czy gdańszczanie odzyskali równowagę i przytomność umysłu i czy mogą już do zwykłego życia powrócić. W tym celu Król Jegomość umyślił zwołać na dzień 18 czerwca na Długi Rynek wielkie zebranie ludności gdańskiej różnych kondycji i klas, możnych i ubogich, wszystkich pospołu. Podczas tego zebrania będzie ogłoszona oficjalnie ludności nominacja nowych władz miejskich. Nastąpi zapowiedź nowej ordynacji miej-

skiej i różnych innych rozporządzeń królewskich w dziedzinie ostatecznego uporządkowania stosunków w mieście. Jednocześnie moment ten posłuży jako sprawdzian dominujących w Gdańsku nastrojów, wskaże, jaki jest wzajemny stosunek gdańszczan do siebie i ujawni uczucia ludności względem władz królewskich i wojska polskiego.

Jeżeli nastrój zebrania będzie pogodny i zachowanie tłumów spokojne, poniechane zostaną nowe represje i śledztwa. Niebawem osądzone zostaną sprawy wszystkich uwięzionych i nastąpi egzekucja wyroków, w sprawach już osądzonych. Ogłoszone będą wkrótce projektowane prawa i edykty, a cały przebieg interwencji władzy królewskiej w Gdańsku można będzie uważać za pomyślny i bardzo dla rozwoju stosunków polsko-gdańskich owocny.

Bischoff nie posiada się z radości. Zabiegał on oddawna, aby honory i zaszczyty, które faktycznie już od dłuższego czasu zdobył i piastuje, były publicznie i formalnie zatwierdzone przez Króla Polskiego. Obecny obrót rzeczy przeszedł wszystkie jego oczekiwania. Ogłoszenie jego nominacji na pierwszego burmistrza miasta Gdańska i na Burgrabiego Królewskiego zbiegnie się z publikacją najważniejszych aktów prawodawczych i rozporządzeń królewskich z ostatniej chwili, a cała ceremonia na ten dzień projektowana będzie miała dzięki temu niebywale solenny charakter. Powinno to dodać powagi i splendoru nowomianowanym dygnitarzom gdańskim.

Władze miejskie wychodzą ze skóry, aby dekoracja Długiego Rynku i urządzenie tronu królew-

skiego na specjalnie zbudowanym wzniesieniu wypadło jaknajokazalej. Od jutra mają się już zacząć na placu roboty ciesielskie. Setki sztuk czerwonego sukna, sprowadzonego z Anglii przez Bischoffa w związku z wizytą królewską w Gdańsku, mają nareszcie znaleźć zastosowanie podczas tej uroczystości. Cały Długi Rynek ma być wyłożony owym angielskim suknem i łuna będzie biła od jego pięknej czerwieni.

Dotychczas Król Jegomość zastrzegał się zawsze, aby jaknajmniej było ostentacji i zbytkownego aparatu w przyjęciach dla niego urządzanych, ale tym razem zezwolił na wszystko, co Bischoff zaproponował. Podróż Waćpana do Gdańska wypadła w dobrym czasie. Jest to najciekawszy okres całego naszego tutaj pobytu.

Będzie okazja zobaczenia miasta i mieszkańców w odświętnych ramach i przeżycia wraz z miejscową ludnością momentu, który, być może, będzie datą historyczną w kronikach przyszłych stosunków polsko-gdańskich.

Na uroczystość tę zaproszeni zostali do Gdańska różni znakomici mężowie z pobliskiego Pomorza. Zjazd będzie liczny i świetny. Przybędzie wiele osób z Elbląga i Warmii! Między innymi przybyć ma również ze wspaniałą asystą Biskup Warmiński Fabian Luzjański, który pragnie pozdrowić Króla Zygmunta w Gdańsku.

Biskupowi Warmińskiemu towarzyszyć będzie mąż wielkiej nauki, a niebawem, pono, i wielkiej światowej sławy, Mikołaj Kopernik, kanonik Warmiński. Niema jakoby dziedziny wiedzy, która była by obcą temu człowiekowi. Studiował on pra-

wo w Bolonii, sztukę lekarską w Padwie, a matematykę i astronomię w Uniwersytecie Krakowskim. Świetnie włada łaciną i greką. Rysuje, maluje i buduje urządzenia kanalizacyjne. Mówią, że jest tak genialny, jak sławny florentyńczyk Leonardo da Vinci.

Dużo słyszałem od Kanonika Wapowskiego o tym naszym uczonym rodaku, przerwał Korybut Koszyrski. Teraz przypominam sobie, że jak byłem ostatnim razem w Budzie zapytywano mnie, czy wydrukowany już został traktat uczonego polskiego, Kopernika, o jego badaniach z dziedziny astronomii. Nie umiałem dać żadnych wyjaśnień w tej materii. Dotychczas nie miałem nigdy okazji poznania kanonika Kopernika osobiście, a o jego naukowej działalności dochodziły mnie tylko zdania i pochwały ogólnikowe.

O odkryciach i studiach Kopernika w dziedzinie astronomii chodzą tajemne słuchy nietylko w Polsce, ale i w całej oświeconej Europie, ciągnął dalej Zambocki.

Podobno Kopernik kwestionuje teorię i wyobrażenia Ptolomeusza o budowie świata i po wieloletnich studiach astronomicznych, opracował nową własną teorię, opartą na wyobrażeniu, iż n i e z i e m i a, a s ł o ń c e jest mechanizmem świata. Komentarze do tej sensacyjnej teorii są jakoby już opracowane przez Kopernika, ale drukować ich nie chce, pomimo nacisku, jaki na niego wywierają różni bliscy mu uczeni. Mówią, że Kopernik obawia się walki i sporów z innymi astronomami. Przewiduje on zresztą namiętne ataki ze strony

tych uczonych, którzy uznają prawdziwość Ptolomeuszowego mechanizmu świata!

Kopernik osłania swoje zdobycze naukowe dziwną i niezrozumiałą tajemniczością!

Biskup Tomicki, który żywo interesuje się astronomią, wielokrotnie wyrażał pragnienie zapoznania się z odkryciami naszego uczonego rodaka. Podkanclerzy zdaje sobie sprawę, jaki splendor, w razie prawdziwości odkryć Kopernika, spłynął by na Polskę i Wszechnicę Jagiellońską, której Kopernik zawdzięcza początki swojej wiedzy astronomicznej i matematycznej!

Kanonik Wapowski jest kolegą Kopernika z Uniwersytetu Krakowskiego i po dziś dzień łączą go z kanonikiem Warmińskim bardzo przyjazne i zażyłe stosunki. Do Kanonika Wapowskiego zwracał się ostatnio, już w Gdańsku, parę razy Podkanclerzy z propozycją, aby skłonił Kopernika, ze względu na niewielką odległość Warmii od Gdańska, do przyjazdu tutaj i wygłoszenia krótkiej chociaż prelekcji o swoich odkryciach w ścisłym kółku dygnitarzy kościelnych. Pod różnymi pretekstami Kopernik zawsze odmawiał!

Może obecnie, podczas pobytu na uroczystości królewskiej w Gdańsku, Kopernik da się uprosić, uchyli rąbek tajemnicy i znajdzie odpowiednią chwilę aby przedstawić wybranemu gronu zaufanych osób spostrzeżenia i wyobrażenia swoje o budowie świata.

Przy okazji pozna Waćpan Kopernika i dowie się może chociaż ukradkiem tych ciekawostek o stosunku naszej ziemi do słońca!?

Zdaje się, że ktoś zmierza do Artusowego Dwo-

ru. Słyszę odgłos kroków na kamieniach przedproża, szepnął Zambocki. Może to Wicek wraca? Ten pachoł jest urodzony na laufra. Chyży jak jeleń!

Drzwi się otworzyły i do sali ciekawie zajrzał Biskup Krzycki.

Zambocki i Koszyrski zerwali się z ławy i obydwaj podbiegli ku drzwiom. Witamy, witamy i prosimy dalej księdza Biskupa. My tutaj czekamy na Wicka. Miał nam przynieść wiadomość, kiedy Podkanclerzy będzie miał dzisiaj chwilę czasu, aby wysłuchać poufnego raportu Koszyrskiego, który przed paru godzinami przyjechał z Krakowa i ma różne konfidencjonalne zlecenia z kancelarii dyplomatycznej.

Właśnie idę od wuja, gdzie spotkałem Wicka, odrzekł Krzycki. Odebrałem od tego pędziwiatra pocztę krakowską i dowiedziałem się jednocześnie, że Kastor i Polluks gawędzą w Artushofie, dlatego więc tutaj zajrzałem. Za godzinę wuj siada do obiadu i prosi, abyście obydwaj zwyczajem krakowskim, zaszczycili jego skromny podróżny stół. Po obiedzie można będzie załatwić sprawę poufnego raportu. Gorzej będzie z noclegiem Koszyrskiego. U wuja niema literalnie ani jednego wolnego kąta. Zambocki śpi na ławie w improwizowanej kancelarii i znosi od dawna niewygody. Drugiej osoby nieopdobna już tam umieszczać. Napisałem do klasztoru w Oliwie, aby Cystersi przytulili pielgrzyma. Pismo zabrał Wicek i ma zaraz wysłać umyślnym. Koni i różnych kałamaszek mamy do licha, więc przejazd nie będzie trudny i długi a przynajmniej dostanie tam schludną czystą izbę i wypocznie jak należy. Tutaj w Gdańsku nawet

marzyć nie można o mieszkaniu. Wszystkie klasztory, oberże i zajazdy nabite ludźmi, nawet w drwalniach lokują gości.

Bóg zapłać Księdzu Biskupowi za tyle uwagi i starań o moją wygodę, ze wzruszeniem powiedział Koszyrski. Kilka dni to nie wieczność. Jakoś tam się wszystko urządzi. Wielce rad będę w Oliwie zamieszkać i poznać ów piękny klasztor!

Koszyrski jest pierwszy raz w Gdańsku, trzeba mu więc będzie tutejsze curiosa pokazać ciągnął Krzycki. Waćpana to obowiązek, Mości Zambocki. Ja dzisiaj od rana, z pozwolenia Królewskiego, zrobiłem sobie święto, aby trochę pochodzić po kościołach gdańskich, przyjrzeć się różnym obrazom i rzeźbom, i porównać je z dziełami włoskimi. Podczas wędrówki mojej zauważyłem, że najczęściej spotykanym i specjalnie popularnym tematem jest w gdańskich świątyniach Sąd Ostateczny. Widocznie miejscowi patrycjusze mają multum zbrodni i przewinień na sumieniu, a, lękając się odwetu w życiu przyszłym, chcą za pomocą wyobraźni różnych artystów odgadnąć, co czeka ich na tamtym świecie za tutejsze grzeszne życie. Dla tego fundowane przez nich obrazy ten temat najczęściej wyobrażają! Obecne sądy królewskie w Gdańsku kojarzą się do pewnego stopnia z tym gustem gdańszczan do wszelkiego typu wymiarów sprawiedliwości. Kto wie, czy gdańszczanie w ciągu ostatnich lat nie broili umyślnie, aby zobaczyć potem własnymi oczami, jak wygląda sprawiedliwość i sądy Króla Polskiego?!

Żart na stronę! Koszyrski powinien poznać przynajmniej najstarsze świątynie gdańskie, zwła-

szcza te, które pochodzą z epoki przedkrzyżackiej i które świadczą o rozwoju budownictwa kościelnego w Gdańsku za czasów, kiedy książęta pomorscy, a później polscy królowie byli wszechwładnymi panami i opiekunami miasta.

Kościoły Ś-go Mikołaja obecnie Dominikański, Ś-go Jana, Św. Katarzyny i Mariacki są najstarszymi w tym sensie zabytkami i początkiem swoim sięgają XII i XIII wieku.

Jeżeli nawet obecny wygląd i dzisiejsze mury tych kościołów są dziełem późniejszych czasów, to w każdym razie kroniki gdańskie wykazują niezbicie, że na tym samym miejscu były przed wiekami wzniesione przez prastarych książąt pomorskich, pod wezwaniem i na cześć tych samych świętych, z tymi samymi pobożnymi intencjami, świątynie w takiej formie i z takich materiałów, jakie w ówczesnej epoce były w użyciu.

Prawdopodobnie te pierwotne kościoły były drewniane i dopiero, stopniowo, z czasem ściany i wieże drewniane zastępowane były murowanymi. Zresztą we wszystkich tych kościołach spostrzegamy obecnie brak jednolitych planów i są one raczej wyrazem zbiorowej twórczości różnych pokoleń i epok. Stopniowo dokonywano różnych zmian w istniejącej już budowli, czyniono przeróbki lub przybudówki i stąd np. w olbrzymiej budowli kościoła Mariackiego spotykamy ów labirynt pomysłów architektonicznych i różnych planów. Ostatnia przebudowa tej świątyni ukończoną została dopiero dwadzieści lat temu. Nie można powiedzieć, aby architektura, w ten sposób tworzona, była zawsze dla oka przyjemna i celowa, zwłaszcza w budownictwie kościelnym.

Myśl twórcza, która kojarzy poszczególne części w jedną zwartą całość i nadaje piętno indywidualnego, jednolitego natchnienia wszystkim momentom budowy, poczynając od fundamentów, a kończąc na szczytach wież, jest specjalnie pożądana w architekturze kościelnej. W takich świątyniach ogarnia nas błogi, kojący spokój, który sprzyja skupieniu ducha!

Według mojego rozumienia, ideałem w tym sensie są niektóre katedry gotyckie na zachodzie. Jednolity plan ich architektury sprzyja znakomicie harmonijnemu zestrzeleniu modlitwy, z duchem i pobożnym natchnieniem tego, który świątynię na chwałę Bożą projektował i tworzył. W takim nastroju nasza myśl najchętniej odrywa się od spraw ziemskich i dąży ku niebu.

Rozumie się, są to moje osobiste spostrzeżenia. Może Koszyrski po obejrzeniu starych kościołów gdańskich uzupełni je swoimi uwagami.

Nie bacząc na to, co przed chwilą powiedziałem, przyznaję, że kościoły gdańskie, a zwłaszcza Mariacki są w szczegółach technicznych i artystycznych niezmiernie ciekawe.

Kościół Mariacki przedewszystkiem imponuje swoim ogromem i bogactwem. Mało jest na świecie świątyń, które mogłyby się z nim pod tym względem mierzyć. Długość świątyni przekracza 400 stóp, a wysokość naw dosięga czterech pięter. Masywne mury kolosalnej wieży z przyporami sięgają 300 stóp, a pamiętać trzeba, że wieża ta czeka jeszcze na hojnych fundatorów, którzy dodali by jej strzelisty szczyt. Niewiadomo, czy w czasach, które idą, doczeka się kiedykolwiek tego zakończenia?! Moż-

na sobie wyobrazić jednak, jaka byłaby wtedy wysokość tej wieży? Pomimo różnorodności planów licznych kaplic i naw poprzecznych cała świątynia nacechowana jest wielką powagą. Niektóre kaplice pomyślane są bardzo artystycznie. Świeczniki i żyrandole niedawno ukończone, a wykonane z mosiądzu na modłę holenderską, są przepiękne. Niezliczona jest ilość ciekawych pomników w kamieniu i marmurze, tak wewnątrz ścian świątyni jak i na płytach posadzki. Bardzo wiele jest pięknych rzeźb w ołtarzach i cennych obrazów, z których, rozumie się, Sąd Ostateczny Memlinga przedewszystkiem przykuwa uwagę.

Rozmiary i bogactwo dekoracji świątyń są z jednej strony wyrazem dotychczasowej gorliwości gdańszczan w wierze katolickiej i ich ofiarności dla domów Bożych, z drugiej strony jednak świadczą o wielkiej próżności i pysze patrycjuszów gdańskich. Bogacze gdańscy przesadzają się w fundowaniu rzeczy kosztownych, dotychczas niewidzianych. Pomniki i dzieła sztuki, przez nich wznoszone, są piękne i wspaniałe, ale przebija w nich często niezdrowa chęć wywołania podziwu dla świetności rodu lub osoby fundatora, dążenie do zaćmienia rywali i do olśnienia widza bogactwem.

Jakkolwiek nie łączy się to bezpośrednio z omawianym tematem podkreślić jeszcze trzeba, że tak rozmiary i zbytek gmachów publicznych i świątyń, jak i wspaniałe siedziby kupców gdańskich oraz wysoka ich stopa życiowa mają pozatym doniosłą wprost historyczną wymowę dla dziejów polsko-gdańskich.

Grandioso pomyślane zabytki architektoniczne,

niebywałe rozmiary gmachów i świątyń, wydatki lekką ręką asygnowane na upiększenie miasta i domów Bożych, przepych życia prywatnego — świadczą o olbrzymich, wprost bajecznych, zyskach, jakie dzięki Polsce Gdańsk od wielu generacji zgarniał i gromadził. Handel polski tak bogacił sfery kupieckie w Gdańsku, że dostatek wprost się przelewał. Patrzyło się w tym mieście na wyścig najkosztowniejszych fantazji i zachcianek. Gdańsk zaczynał naśladować Wenecję, wzorował się na antycznej Kartaginie, kroczył szlakiem wielkich centrów handlowych Wschodu, dla których przepych i zbytek, pod koniec ich historii był jedyną racją i jedynym celem istnienia.

Ostatnimi laty w Gdańsku nastąpiła rewolucja pojęć i zasad. Bunty religijne i w związku z nimi będące przewroty socjalne pozostawiły już i pozostawią bez wątpienia swój stygmat na wszystkich dziedzinach życia najbliższej epoki. Wieża Mariacka nie doczeka się teraz rychło swojego szczytowego zakończenia, a kościoły i klasztory gdańskie zamiast przyciągać ofiarność wiernych, będą budziły haniebne pożądania grabieży i niszczenia dóbr kościelnych jeszcze przez szereg długich lat! Ciemiężone przez bogaczy ubogie warstwy ludności, ośmielone przez Lutra i otumanione przez fałszywych apostołów, przemówiły groźnym językiem!

Należy życzyć patrycjuszom gdańskim, aby stosunki socjalne w ich mieście jaknajrychlej powróciły do równowagi.

Do życzeń tych jednak wypada dołączyć pragnienie, aby bogacze gdańscy znaleźli w sumieniu

swoim zrozumienie dla niedoli ubogich, a wyzyskiwanych dotychczas współobywateli i żeby w umysłach ich obudziła się żywsza świadomość, że Rzeczpospolita polska, dzięki której tak im się dobrze dzieje, powinna otrzymywać polityczny i ekonomiczny ekwiwalent za świadczone gdańszczanom dobrodziejstwa!

Ale powracam jeszcze do Sądu Ostatecznego Memlinga, obecność którego w świątyni Mariackiej interesuje z dwuch względów: przedewszystkim piękny ten tryptyk zaciekawia, bo jest dziełem wielkiego flamanda, którego talent ma sławę światową. Poza tym obecność obrazu w Gdańsku, w zestawieniu z jego pochodzeniem i pierwotnym przeznaczeniem, dziwi i rzuca światło na metody, stosowane przez gdańszczan, przy zdobywaniu rzadkich i cennych arcydzieł dla swojego grodu.

Nie wiem, czy słyszeliście Waszmościowie, jaką drogą ten Memling zjechał do Gdańska? — zapytał Krzycki.

Nie znamy zupełnie tej historii i bardzo jej jesteśmy ciekawi, zawołali razem obydwaj zagadnięci.

Historia jest niezwykła i bardzo charakterystyczna — mówił dalej Krzycki. Narobiła ona w swoim czasie dużo wrzawy w całej Europie. Jeszcze jak byłem na studiach w Bolonii, głośno było o tej sprawie w tamtejszych kołach artystycznych, a w rozmowach, przy mnie prowadzonych, niejednokrotnie wygłaszano sądy i zdania niezbyt dla gdańszczan pochlebne.

W końcu zeszłego wieku w Brugii, gdzie zamieszkiwał Jan Memling, posłem florenckim był An-

gelo Tagni, przyjaciel Medyceuszów i wielki znawca sztuki. Dla upamiętnienia swojego posłowania w Brugii, Tagni zamówił u Memlinga ten właśnie tryptyk dla jednego z kościołów florenckich. Memling długo pracował nad swoim dziełem i po ukończeniu powierzył je, z polecenia fundatora Tagniego, opiece kupców florenckich, w Brugii przebywających. Ci ostatni wysłali tryptyk Memlinga wraz z towarami, w Niderlandach nabytymi, do Anglii okrętem, pod burgundską flagą Ś-go Tomasza żeglującym. Z Anglii obraz miał być przesłany do Florencji. Tymczasem okręt, wiozący dzieło Memlinga, w drodze do Anglii, został napadnięty przez gdański okręt Peter von Danzig, którego kapitanem był niejaki Paweł Benecke. Tak towary jak i obraz Memlinga stał się łupem Pawła Benecke. Gdańszczanie zapewniają, że wówczas między Hanzą i Anglią były wrogie stosunki i Peter von Danzig brał udział w tej walce, sprawa ta jednak przedstawia się niejasno. W każdym razie obraz Memlinga znalazł się w Gdańsku i został umieszczony w kaplicy Ś-tej Doroty w Mariackim kościele. Napróżno o zwrot obrazu prosił książę burgundzki Karol Śmiały. Bez rezultatów pozostała również interwencja papieża Sykstusa IV, który w pewnej chwili groził nawet gdańszczanom klątwą za tę sprawę. Nic nie pomogło, gdańszczanie są uparci, lubią przytem specjalnie, jak zaznaczyłem wyżej, malowidła, wyobrażające Sąd Ostateczny i tryptyk Memlinga, pomimo oburzenia całej Europy, został w Gdańsku.

Przyznać trzeba, że relacje światowej kroniki w tej sprawie mają niemiły dla gdańszczan po-

smak, rzekł Koszyrski, ale pragnąłbym niezmiernie usłyszyć osobisty pogląd księdza Biskupa na tę sprawę, jak również zdanie jego co do artystycznej wartości dzieła, losy którego tyle rumoru wywołały w świecie cywilizowanym.

Przyglądając się dzisiaj rano dłużej obrazowi Memlinga, odpowiedział Krzycki, przebiegałem również myślą jego koleje i przyszedłem do konkluzji, że nie chciałbym być sędzią w tej sprawie. Czas złagodził już i przysłonił ostre momenty sporu.

W tych warunkach napiętnowanie winowajcy i krzywdy staje się z każdym rokiem trudniejsze. Może kiedyś, jak nadejdzie w rzeczywistości moment, przez Memlinga na tryptyku imaginowany, a przez dogmaty wiary naszej zapowiadany, prawda wreszcie zatriumfuje i Najwyższy Sędzia orzeknie, kto jest winowajcą i jaką mu należy karę wymierzyć. W każdym razie ja się od roli sędziego uchylam. Co do drugiego punktu pytania Waćpana, to nie jestem dosyć biegły w sztuce malarskiej, aby wygłaszać zdanie decydujące. Przypominam sobie tylko, co słyszałem o tym obrazie w Bolonii i Rzymie od malarzy włoskich, którzy go jeszcze w Brugii, w pracowni Memlinga, oglądali. Zdaniem ich geniusz Memlinga przejawił się w tym dziele w rysunku, w świetnych aktach ciał ludzkich i w przepięknym kolorycie obrazu. Co do pomysłu i wyobrażenia samego tematu słyszałem wiele zastrzeżeń. Mówiono, iż pędzel Memlinga był naogół za słodki i za miękki, aby taką scenę, jak Sąd Ostateczny, nawet w przybliżeniu, odtworzyć. Słyszałem zarzuty, iż w obrazie niema siły dramatycznej,

niema grozy i powagi należytej, a postać Ś-go Michała, ważącego dusze ludzkie, najbardziej pod tym względem szwankuje. Przypominam sobie również charakterystyczną uwagę jednego z krytyków, iż postacie sądzonych, ich rozlokowanie i ruchy więcej przypominają na obrazie Memlinga igrzyska olimpijskie, niż przerażający każdego chrześcijanina swoją powagą, dramatyczną głębią i mistyką moment Sądu Ostatecznego. Naogół większość artystów włoskich głosiła przekonanie, że wyobrażenie Sądu Ostatecznego jest ponad siły najgenialszego artysty. Nawet taki tytaniczny wyraziciel grozy i żywiołowego dramatu w malarstwie, jak Michał Anioł Buonarotti nie mógł uporać się z tym tematem w kaplicy Sykstyńskiej.

Wstańcie jutro o świcie i idźcie obejrzyć stare kościoły gdańskie. Powiecie mi po zapoznaniu się z Memlingiem, czy podzielacie uwagi malarzy włoskich.

Musimy skończyć tę miłą gawędkę, bo wuj Tomicki z pewnością siada już do obiadu.

Mam jeszcze prośbę do księdza Biskupa, odezwał się nieśmiało Korybut-Koszyrski, o parę chociaż słów informacji, jak i kiedy powstał dwór Artusa w Gdańsku, w którym obecnie się znajdujemy, jakie jest jego przeznaczenie i skąd wzięła się tutaj i co oznacza ta wielka ilość rogów jelenich, jak również obrazy z głowami jelenimi, wprost w płótno obrazów wprawionymi? Wreszcie, które z tych licznych obrazów tutaj są warte uwagi? W Gdańsku tyle jest różnych czynności, że nie będę miał już pewno okazji usłyszenia cennych uwag księdza Biskupa w tej materii, zwłaszcza, że 20 czerwca

muszę wracać do Krakowa, a stąmtąd prawie że natychmiast czeka mnie podróż do Budy!?

Tylko bardzo ogólnikowo odpowiedzieć mogę na pytania Waćpana, bo czas już bardzo nagli.

Otóż dwory Artusa ufundowane zostały, za czasów krzyżackich w większych miastach pruskich, w związku z legendą o Królu Artusie, znaną z pewnością Waćpanom w ogólnych zarysach, a bardzo popularną w XIV i XV wieku w Walii, Niderlandach i środkowej Europie.

Dom Artusa w Gdańsku zbudowało w XIV wieku bractwo Ś-go Jerzego, do którego należeli zamożni mieszczanie. Z początku dwór Artusa służył za miejsce zabaw towarzyskich, w ostatnich czasach zaś zaczęto go uważać jako miejsce do załatwiania spraw kupieckich.

Zbierały się tutaj na swoje narady różne stowarzyszenia, zasiadały zwykle na tych samych ławkach i traktowały to miejsce jako rodzaj klubu, czy kancelarii danego stowarzyszenia. O ile mi wiadomo, w rogu, po prawej stronie od wejścia, zbierają się ławnicy miejscy. Dalej jest siedziba żeglarzy. Sąsiaduje z nią bractwo Malborskie, mające nazwę od obrazu, przedstawiającego oblężenie Malborga, przez Króla Kazimierza Jagiellończyka. Obraz ten wisi nad ławami bractwa.

Na lewo od wielkich drzwi zasiada bractwo Ś-go Jerzego, około tego bractwa zasiadają radni miejscy, dalej stowarzyszenie Ś-go Krzysztofa, które zajmuje się sprawami, prowadzonymi z Lubeką. Dalej ku ścianie północnej bractwo Ś-go Rainolda, do którego należą niemcy z nad Renu itd.

Stowarzyszenia te na pamiątkę rozmaitych

uroczystości sprawiały lub otrzymywały w darze różne cenne pamiątki, którymi dekorowały ściany nad swoimi miejscami.

Co do rogów i głów jelenich, to zostały one tu umieszczone na znak, iż miasto Gdańsk, a raczej niektórzy znakomici obywatele posiadają prawo łowów. Jak Waćpanom wiadomo, łowy uważane są za rozrywkę rycerską i są przywilejem książąt i szlachty. Ktoś co nieprawnie na łowy sobie pozwoli, podlega ciężkiej karze. Mieszczanie, którzy otrzymali prawo łowów, uważają je za wielki dla siebie zaszczyt. Łowy na jelenie uchodzą za trudniejsze i udział w nich powiększa chwałę. Uczestnicy chełpią się chętnie tymi trofeami i ogłaszają je skwapliwie spółczesnym i potomności.

Myśliwi, należący do różnych związków i stowarzyszeń, umieszczają zdobyte trofea, najczęściej z odpowiednimi napisami, w miejscach swych zebrań, skąd pochodzi ta wielka ilość rogów i głów jelenich we dworze Artusa.

Bardzo ciekawy, może dla nas polaków najciekawszy, jest obraz, przedstawiający oblężenie Malborga przez Kazimierza Jagiellończyka. Jutro proszę przyjść tutaj specjalnie, aby go obejrzeć. Do zdobycia Malborga bardzo przyczyniło się wojsko gdańskie. Na jednej ze zdobytych wież widzimy chorągiew gdańską już z koroną nad krzyżami. Koronę tę dodał Gdańskowi do herbu Król Kazimierz Jagiellończyk. Basztę zdobyli właśnie gdańszczanie i na znak zwycięstwa wywiesili swoją chorągiew. Obraz jest malowany naiwnie, perspektywicznie słaby, ale jako dokument historyczny jest dla nas niezmiernie cenny.

Bardzo ciekawym jest również „Okręt Kościoła". Obraz ten przedstawia łódź Ś-go Piotra, z której Pan Jezus nauczał: Jest to symbol Kościoła naszego, który wiernych wiedzie do przystani zbawienia. Porównanie to istnieje od najdawniejszych czasów. Na okręcie widzimy Trójcę Świętą i świętych. Z okrętu duchowni rzucają powrozy na ratunek topiącym się. W górze nad okrętem aniołowie trzymają herb Polski, po lewej stronie herb Prus Królewskich — po prawej Gdańska. Na masztach bandery: polska i gdańska. Bardzo ciekawa i cenna pamiątka. Oby tylko zwolennicy Lutra nie chcieli na obrazie domalować jego postaci obok Ś-go Piotra.

Jest tu jeszcze dużo pięknych obrazów i rzeźb, ale o nich teraz mówić nie będziemy, bo już jesteśmy i tak spóźnieni. Może 19 czerwca nazajutrz po uroczystości Królewskiej znajdę wolną chwilę i jeszcze raz tutaj z Waćpanami przyjdę. Koszyrski dobrze trafił, zobaczy Gdańsk podczas pięknej pogody i to — pogody nietylko w atmosferze... Podobno i nastrój jutrzejszego zgromadzenia zapowiada się bardzo pogodnie. Takie przynajmniej wiadomości przyniósł dzisiaj rano Bischoff wujowi Tomickiemu.

Ale, ale! Wyszło mi zupełnie z pamięci! Jutrzejszemu zgromadzeniu przybyła jeszcze jedna siła przyciągająca!

Przed chwilą zjechał do Gdańska, należący do świty Biskupa Warmińskiego kanonik Mikołaj Kopernik, wielki astronom polski, nasza przyszła chluba i duma!

More Pythagoraeorum, *) Kopernik zachowywał dotychczas zawsze wielką tajemniczość i ostrożność w stosunku do ludzi pospolitych, jakoby z obawy profanacji niedostępnych dla nich tajemnic ducha i wszechświata. Nauka Kopernika jest tak osobliwa i trudna podobno do zrozumienia nawet dla bardziej wykształconych jednostek, iż nic dziwnego, że osłania on ją tajemniczością. Mam jednak nadzieję, że tym razem Kanonik Warmiński będzie łaskawszy i na usilne prośby różnych dygnitarzy, podczas pobytu w Gdańsku, wygłosi chociaż by w najmniejszym kółku prelekcję o swoich odkryciach i zdobyczach astronomicznych!?

Nareszcie dowiemy się może, co to jest ów system heliocentryczny mechanizmu świata!?

Idziemy!

*

* *

*

Bałtyk, który, od tysięcy lat, u dorzecza Wisły i rzek sąsiednich, zżył się z łagodnymi i miłującymi się wzajemnie szczepami słowiańskimi, w ciągu ostatnich paru wieków zniewolony był patrzeć na potworne zbrodnie, chciwość i zakłamanie obcych przybyszów, którzy te nadmorskie niziny zdradziecko zagarnęli.

Po długich zmaganiach odparto wreszcie zaborców. Najgorsi odeszli, ale szkódnicy, przez nich sprowadzeni, pozostali. Pozostały złe wpływy i in-

*) Zwyczajem Pitagorejczyków.

trygi, po przez które zaczął się szerzyć na Pomorzu i w Prusach nowy ferment z herezją religijną związany.

Nastały ciężkie lata.

W Gdańsku, największym zbiorowisku ludzkim na wybrzeżu Bałtyckim, zapanowały stosunki upiorne. Grzech i występek panoszyły się tu bezkarnie. Ale wszystko na tej ziemi ma swój koniec, więc i niedola prastarej Kaszubskiej stolicy skończyła się. Miasto otrząsnęło się z ciężkich przeżyć. W Gdańsku zaświeciło znów słońce wolności i sprawiedliwości!

Sprawiła to mądra rozprawa z wichrzycielami, podjęta przez Króla Polskiego! Sprawiły to roztropne sądy królewskie!

Trujące opary zbrodni i zdrad, które od paru lat unosiły się nad Gdańskiem, wchłonął bez śladu dobroczynny Bałtyk i polecił falom zanieść ich echa i wspomnienia ku polarnym otchłaniom i cieniom, aby złym przykładem nie gorszyły potomnych.

Dzisiaj Gdańsk przeżywa wielki i piękny dzień! Data 18 czerwca 1526 roku wiekopomną będzie w kronikach tego miasta!

W dniu dzisiejszym Król Polski, który gości tutaj od dłuższego czasu, oficjalnie ustanawia nowe, mocne władze w swoim Królewskim grodzie, potwierdza stare przywileje i prawa, uroczyście ogłasza nowe statuty i nowe ogniwa łączności między Gdańskiem i Koroną Polską.

W dniu dzisiejszym Król Polski symbolicznie stwierdza w Gdańsku odwieczne dziedziczne prawa Korony Polskiej do morza Bałtyckiego i jego wybrzeży.

W dniu tym Bałtyk, wierny sprzymierzeniec Polski, chce dać również wyraz swojej radości.

Kazał on swoim, szarym zazwyczaj, zwałom wodnym zapożyczyć z niebios tyle błękitu, i szafiru ile mają ich w swoich wodach południowe morza. Polecił niewiedzialnym delfinom wysrebrzyć i ubrać skarbami z dna morskiego grzywy fal. Dał rozkaz falom, aby szumiały dzisiaj triumfalnym hymnem na cześć Polski. Posłał przeczyste orzeźwiające powiewy morskie ku przedprożom osiedli gdańskich i skierował ku długiemu Rynkowi, gdzie odbywa się dzisiaj uroczystość Królewska, przejrzyste, migoczące barwami tęczy, mgły morskie, jako swoich ambasadorów.

Długi Rynek w Gdańsku przybrał odświętny wygląd. Czerwcowe słońce już od rana wyzłociło swoimi jasnymi promieniami fasady domów.

Niebo chciało widocznie wynagrodzić Królowi Polskiemu tymi potokami światła ciężkie chwile i udręczenia, jakie mu przeżyć wypadło w związku z wyprawą do Gdańska. Chciało dać wyraz swojego zadowolenia, że dobra wola, przezorność i męstwo Królewskie wraz z ogromem trudów i wysiłków, podjętych przez polskiego monarchę — przywróciły w grodzie gdańskim ład, zgodę i sprawiedliwość.

Wielkie ostrołukowe okna Artushofu oraz otwory sąsiednich domów były przybrane bogato jedliną i wiązankami wiosennego kwiecia. Pod ścianami tych budynków ustawiono cały gaj młodziutkich jasno-zielonych brzózek i ciemnych jodełek. Poważne, a zawsze zachwyt budzące gotyckie linie okien i drzwi Artushofu i pełne wdzięku frag-

menty, w stylu odrodzenia włoskiego, zdobiące sąsiednie domy, nabrały specjalnej krasy i życia w ramach świeżej zieloności.

Bezpośrednio przed Artushofem i sąsiadującymi z nim domami zbudowano szerokie podium, kilka stóp ponad poziom placu wzniesione. W samym środku wzniesienia, naprzeciwko drzwi wejściowych do Artushofu urządzono wyniosły tron dla Króla Polskiego. Z obu stron Królewskiego tronu szeregi ław i krzeseł. Z prawej strony dla dostojników, którzy przybyli z Polski — z lewej strony dla władz gdańskich i przedstawicieli patrycjatu miejskiego. Całe podium, stopnie, po których się na podium wchodziło, ławy i krzesła pokryte były szkarłatnym suknem, umyślnie w tym celu z Anglii sprowadzonym. Tron Królewski obito piękną purpurową materią, bogato przetykaną złotem.

Punktualnie o dziewiątej rano przybył Król Zygmunt ze swoim orszakiem. Król był okryty pozłocistym płaszczem i miał na głowie koronę Jagiellonów. Biskupi i dygnitarze koronni byli w paradnych strojach. Władze gdańskie powitały Króla z należnymi honorami, poczym wszyscy zajęli przeznaczone dla nich miejsca. Po obu stronach wzniesienia stały paradne oddziały różnych hufców zbrojnych, przez Króla do Gdańska sprowadzonych. Rozumie się, chorągiew pancerna wyróżniała się wśród innych wspaniałą postawą i wzbudzała szczery i entuzjastyczny zachwyt w całym mieście. Tłumy gdańszczan zalewały cały plac Długiego Rynku i sąsiednie ulice.

Obraz ten skąpany w słońcu sprawiał fantastyczne wrażenie.

Prastare, okryte patyną wieków, mury gdańskie, jako tło. Rama z zieleni, od której odbijały szeregi dorodnych młodzieńczych twarzy polskich rycerzy, w błyszczących jak zwierciadła zbrojach. Patriarchalna pełna godności i majestatu postać Zygmunta Starego na tronie. Lśniące od złota infuły i pontyfikalne szaty biskupów. Fantazyjne kołpaki magnatów polskich z kitami z czaplich piór, u nasady których połyskiwały bezcenne diamentowe guzy. Delie z kosztownych, barwnych aksamitów, bramowane gronostajami, sobolami i bobrami na ramionach dygnitarzy krakowskich i gdańskich. Po obu stronach wzniesienia przedstawiciele cechów, różnych związków i stowarzyszeń w barwnych korporacyjnych ubiorach, ze sztandarami, na których widniały złotem i srebrem haftowane godła i znaki. Przeglądająca miejscami, paląca się płomieniem, żywa czerwień sukna. Wszystko napraszało się o pędzel jakiegoś genialnego weneckiego mistrza, który w porywie natchnienia, uwieczniłby dla potomności ten przepiękny widok, jakby z czarodziejskiej bajki wyśniony, stanowiący najwymowniejszą ilustrację odwiecznego współżycia Polski z Gdańskiem.

Rycerstwo Polskie, które dosiadało rumaków z przedziwnym mistrzostwem, tak zaimponowało gdańszczanom postawą i świetną zbroją i takie wywarło wrażenie, że pewien kupiec, niegrzeszący widocznie rozumem, patrząc na tych rycerzy, nie mógł powstrzymać się od powiedzenia, że tacy kawalerzyści, gdyby chcieli, zdolni byliby zmusić lud gdański do wierzenia nietylko w Boga, ale nawet i w osła!

Radość i kaskady zdrowego mocarnego śmiechu słychać było w rozlegającym się raz po raz rżeniu śnieżno-białych arabów, których dosiadali trębacze chorągwi pancernej. Zabrzmiały fanfary i bębny. Rozpoczęła się uroczystość.

Na wstępie odczytana została nominacja nowych burmistrzów i członków rady miasta Gdańska.

Filip Bischoff, w uznaniu zasług oddanych Królowi i miastu w ostatnich czasach, mianowany został pierwszym burmistrzem, z tytułem Burgrabiego Królewskiego. Jego uprawnienia i honory związane z dostojeństwem Burgrabiego Królewskiego będą ogłoszone w osobnym rozporządzeniu.

Towarzyszami jego recte Podburmistrzami mianowani zostali Maciej Lange, Edward Niederhof i Jan Werden.

Zostały odczytane również nazwiska członków rady miejskiej.

Nowomianowani burmistrze i członkowie rady złożyli natychmiast Królowi Polskiemu przysięgę na wierność.

Następnie zgromadzone tłumy przysięgły na wierność Królowi Polskiemu i ustanowionym przez niego władzom. W przysiędze tej, odczytanej przez Achacego Czemę podkomorzego pomorskiego, obywatele gdańscy zobowiązali się stać wiernie przy dawnej wierze i przestrzegać pilnie wszystkich jej przepisów.

Król zapewnił zebranych obywateli gdańskich, że na radę miejską został włożony obowiązek traktowania wszystkich mieszkańców miasta, jak współobywateli, a nie jak poddanych. Wszyscy

mieszkańcy tak możni i wpływowi, jak i maluczcy i ubodzy muszą być traktowani sprawiedliwie. Dochodami miejskimi rada będzie rozporządzała nie samowolnie, a ku pożytkowi gminy.

Jego Królewska Mość rozpatrzył wszystkie, obowiązujące w Gdańsku prawa i przywileje, i w uzupełnieniu ich daje obecnie swojemu Królewskiemu miastu nowe statuty. Opracowanie ich powierzone zostało specjalnej ad hoc powołanej komisji.

Szczegółowy tekst statutów będzie ogłoszony mieszkańcom przed wyjazdem Królewskim z Gdańska.

W nowych ustawach jest położony nacisk: na rozszerzenie praw, przysługujących Koronie Polskiej w Gdańsku, na utrwalenie katolicyzmu i zapobieżenie wszelkiego rodzaju rozruchom oraz na utwierdzenie powagi rady miasta Gdańska. W związku z tym ostatnim punktem wzmocniona została kontrola nad działalnością rady.

W nowej ordynacji władze miejskie podzielone zostały na trzy ordynki:

1) Rada miejska stanowi pierwszy Ordynek,

2) Izba ławników, której powierzone zostało sądownictwo stanowi drugi Ordynek,

3) Trzeci Ordynek stanowi reprezentacja ludowa, złożona ze stu mężów (Hundertmänner) powołanych przez radę miejską z czterech „kwater" miejskich i czterech wielkich cechów (rzeźnicy, szewcy, kowale i piekarze). Reprezentacja ta będzie przeciwwagą samowoli rady miejskiej i będzie posiadała prawo wyboru rady i ławników.

Jego Królewska Mość żywi niepłonną nadzieję, że zmodyfikowana w ten sposób ordynacja miej-

ska, a zwłaszcza Ordynek trzeci, który składać się obecnie będzie z przedstawicieli szerokich mas mieszczańskich, zdobędzie sobie trwałe oparcie moralno-polityczne w całej gminie gdańskiej.

Władza Królewska ze swej strony pilnie baczyć będzie, aby uchwały i wnioski Ordynku trzeciego z prawem zgodne, znajdywały zawsze posłuch w radzie miejskiej. W razie kontrowersji rady miejskiej z przedstawicielami trzeciego Ordynku, ci ostatni władni będą, w każdej chwili, odwołać się do wysokiej opieki i sprawiedliwości Królewskiej.

Miłościwy Pan przypuszcza, że ludność gdańska w obliczu tych nowych ustaw, będzie się czuła mocniej związaną nietylko unią osobistą ze swoim polskim monarchą, ale zespoli się również unią materialną i duchową z Rzeczpospolitą.

Następnie marszałek Kmita oznajmił zgromadzonym, że Jego Królewskiej Mości bardzo leży na sercu, aby kościołowi katolickiemu przywrócone zostały, należne mu, a przez wichrzycieli poważnie zagrożone prawa. Aby zapobiec na przyszłość rozruchom religijnym i umocnić ład i sprawiedliwość w życiu i stosunkach Królewskiego grodu, Miłościwy Pan kazał zbadać skrupulatnie wszystkie przewinienia i nieprawości, w ostatnich latach w Gdańsku popełnione.

Śledztwo, przeprowadzone przez komisarzy i urzędników Królewskich i zeznania samych winowajców ujawniły w Gdańsku liczne nadużycia i zbrodnie, popełnione w ostatnich czasach przeciwko Bogu i władzy świeckiej.

Jego Królewska Mość postanowił winnych

i złych ukarać, a niewinnych i dobrych wziąć w obronę i okazać im swoją szczególną łaskę.

W związku z powyższym część winowajców została ukarana śmiercią. Egzekucja odbyła się już w dniu 13 czerwca. Niektórzy z winowajców zostali wypędzeni z miasta, inni zostali osadzeni w warownych zamkach pomorskich. W najbliższych dniach rozpatrzone i osądzone będą sprawy pozostających jeszcze w więzieniu przestępców i wymierzona im zostanie słuszna kara.

Gwarancji, danej mieszkańcom przez komisarzy, zrzekli się wszyscy obywatele od samego początku, na zebraniu w Artushofie w dniu 21 kwietnia, i sami prosili, aby nadużycia były ukarane, a krzywdy wynagrodzone. Zresztą winowajcy wykroczyli niejednokrotnie przeciw warunkom danej gwarancji i sami ją wobec tego unieważnili.

Jakkolwiek większość dowiedzionych zbrodni zasługiwała na bardzo surową karę, dotychczas Jego Królewska Mość skazał na karę śmierci tylko sześciu przestępców. Skazańców z uwagi na ogrom i rodzaj ich zbrodni powinna była spotkać ciężka śmierć połączona z torturami. W innych krajach podobnych zbrodniarzy, zwłaszcza zaś odszczepieńców religijnych palą na stosie, miłosierdzie Królewskie jednak sprawiło, że skazańcy ci zginęli tylko od miecza.

Kara śmierci w rzeczonych wypadkach zastosowaną być musiała, aby każdy z mieszkańców wziął sobie z tego przykład i strzegł się, a unikał na przyszłość podobnych zbrodni przeciwko Jego Królewskiej Mości i popsolitemu dobru.

Przy wymierzaniu wszelkich wogóle kar wino-

wajcom, Miłościwy Pan uznał dla swojej łaskawości za stosowniejsze działać raczej w sposobie zbawiennego lekarza aniżeli surowego tylu występków mściciela.

Jego Królewska Mość polecił radzie miejskiej, aby dla zapobieżenia możliwym zaburzeniom w przyszłości oraz dla utwierdzenia porządku w mieście utrzymywała do pewnego czasu trzystu żołnierzy. Żołnierze ci pozostawać będą pod rozkazami dwuch ze szlachty pruskiej, przez Króla mianowanych.

Na zakończenie uroczystości Król Zygmunt, na dowód swojej szczególnej łaski w stosunku do gdańszczan, pasował kilku członków nowej rady miejskiej i niektórych znakomitych patrycjuszów na rycerzy.

Ci, którzy mieli dostąpić tego zaszczytu, zbliżyli się do tronu Królewskiego, aby przyklęknąć na stopniach wzniesienia.

Po wygłoszeniu przez nich krótkiej roty ślubowania rycerskiego, Jego Królewska Mość trzykrotnie dotknął podanym mu przez giermka mieczem koronnym każdego z klęczących.

Podczas tych ceremonii zdarzył się komiczny epizod. Jakiś krawczyna, niebardzo zresztą trzeźwy, przyplątał się do idących ku tronowi przyszłych rycerzy i wraz z innymi przyklęknął. Zanim pachołkowie to spostrzegli i usunęli go, miecz królewski dotknął również i jego ramienia i został on wraz z innymi pasowany na rycerza. Trefniś królewski Stańczyk, który siedział u nóg Króla Zygmunta na stopniach tronu, zoczywszy to nieporozumienie, zakrzyknął: mości rycerzu, schować

należy głębiej nożyce krawieckie, które z kieszeni wyzierają. Jak Burgrabia Bischoff je dostrzeże, pomyśli, że nowy spisek Gdańsk knuje i sądom nie będzie końca!!... Odtąd zwano tego szewca zawsze żartobliwie „Ritter Stenzel".

Obecnym oznajmiono, że w niedzielę 24 czerwca na drzwiach kościoła Panny Marii ukaże się pismo królewskie, opatrzone wielką pieczęcią, z uwiadomieniem o wszystkim, co się działo i co zostało ogłoszone na dzisiejszym zebraniu, aby na przyszłość nikt nie mógł tłomaczyć się niewiadomością.

Zebrane tłumy rozeszły się w największym porządku, wznosząc życzliwe okrzyki i wiwaty na cześć Króla Polskiego.

Spokój i doskonała harmonia nie zostały ani na jedną chwilę zakłócone.

*
* *
*

W niewielkiej komnacie, przylegającej do kancelarii Królewskiej, na Ratuszu gdańskim, siedział Zambocki i dyktował pisarzowi z notatki, nakreślonej ręką Marszałka Kmity, pismo do Królowej Bony. Marszałek Kmita bardzo zajęty w ostatnich dniach pobytu Królewskiego w Gdańsku, nie miał możności i czasu własnoręcznie opracować swego przydługiego sprawozdania pod adresem Królowej. Wręczył on tylko Zambockiemu niedbały koncept z prośbą o polecenie kancelarii przepisania go i wykaligrafowania drobnymi, rysowanymi, jak śpiczaste pismo gotyckie, literami na pięknym cienkim papierze. Około południa Marszałek ma wstą-

pić na Ratusz, aby pismo podpisać i własnoręcznie powierzyć je kurierowi, który dzisiaj wieczorem jedzie do Krakowa. Liczni, przed odjazdem Królewskim z Gdańska, interesanci przeszkadzali wciąż Zambockiemu. Przed chwilą wyszedł Bischoff, który przyniósł dla Króla Jegomości jakieś ważne akty do podpisania. Zambocki, po odprowadzeniu i pożegnaniu gościa, ponownie usadowił się na wygodnym zydlu i polecił pisarzowi odczytać głośno gotową część pisma, aby nawiązać przerwanywątek, i zaczął pośpiesznie dyktować dalszy ciąg:

*) „Wieść się rozchodzi, że książę pruski, osierocone przez śmierć książąt mazowieckich, księstwo dla brata swego u Jego Królewskiej Mości prosić zamyśla, lecz pewien jestem, iż nie będzie mógł tego otrzymać, księstwo to bowiem j u r e f e u d o do Króla i Królestwa Polskiego należy, ani żadnym sposobem oderwane od nich być nie może.

Przybyli tu także posłowie Króla Węgierskiego, prosząc imieniem Pana swego, aby Jego Królewska Mość Pan nasz miłościwy pomienione księstwo siostrom zmarłych książąt puścić raczył. Naderszpan, wojewoda węgierski, mąż Zofii księżniczki Mazowieckiej, także się z prośbami odzywa, lecz wszyscy, nic nie otrzymawszy i niedługo tu zabawiwszy, odjechali.

Dostatniem jest to księstwo Mazowieckie, może ono wiele siły i dochodów Królowi Jegomości przyczynić, którem to księstwem, aby Jego Królewska

---

*) Urywki z oryginalnego pisma Marszałka Kmity do Królowej Bony.

Mość i Wasza Królewska Mość, Pani moja miłościwa wraz z Królewskiem swojem rodzeństwem, najdłużej się cieszyła z serca życzę; pokornie oraz upraszam, aby Wasza Królewska Mość w tej okoliczności gorliwych usług moich nie raczyła być niepomną. Będziesz Wasza Królewska Mość w teraźniejszem zdarzeniu mieć dobrą sposobność, usługi moje nagrodzić i zobowiązać sobie, mnie wiernego służebnika swego, żonę i wszystkich moich na zawsze. Polecam się raz jeszcze łasce i pamięci Waszej Królewskiej Mości, Pani mojej miłościwej".

Niechaj Waćpan zostawi parę pustych wierszy na podpis, a w dalszym ciągu proszę nakreślić tytuł: *Post scriptum* i pisać pod nim, co następuje, powiedział Zambocki:

„Ogółem czternastu winowajców zostało w Gdańsku straconych, pozostało jeszcze kilku, którzy w równym stopniu zawinili, a których ukarania się domagałem. Jeśli wszystko nie poszło tak, jak pójść powinno, to nie moja wina, gdyż walczyć przeciw większości nietylko bardzo trudną, ale wprost niemożliwą jest rzeczą. I tak zachowaniem się swojem naraziłem sobie w wysokim stopniu bardzo wysoko postawione osobistości i mogę się spodziewać z ich strony wszystkiego złego, bo Król, jakkolwiek wie o wszystkiem, to jednak przyzwyczaił się tak zachowywać, jak gdyby nic nie widział, co się w koło niego dzieje."

Proszę niech Waćpan przeczyta mi raz jeszcze całość, rzekł Zambocki, bo Królowa Bona bardzo jest wymagająca i w oka mgnieniu spostrzega najdrobniejsze usterki każdego pisma.

Z kancelarii Królewskiej wyjrzał Biskup Krzy-

cki i, zwracając się do Zambockiego, zakomunikował mu półgłosem, że Marszałek Kmita jest już u Króla Jegomości. Pytał się, przechodząc o Zambockiego. Narada z Królem ma potrwać dłuższą chwilę. Jeżeli przygotowaliście już wszystkie odpisy aktów i dokumentów, o które prosił wuj Tomicki, dodał Krzycki, pragnąłbym je przejrzeć i prosić o odesłanie do nas dzisiaj nad wieczorem przez Wicka. Trzeba te papiery systematycznie zapakować do podróży.

Wszystko już gotowe, proszę księdza Biskupa, oznajmił Zambocki. Archiwista całą noc dzisiaj pracował, aby skompletować i uporządkować potrzebne papiery. Zaraz go przywołam. Poszedł do obocznej małej izby i za chwilę powrócił, a za nim podążał ów pilny archiwista z naręczem różnych aktów.

Rozłożymy te papierzyska tutaj, rzekł Krzycki do archiwisty, siadając za stołem. Waćpan będzie mi podawał kolejno akty, a ja muszę każdy przejrzyć, aby nie zabierać rzeczy niepotrzebnych:

1) Uniwersał Królewski z dnia 16 lipca 1526, w którym Król zniósł formalnie gwarancję, daną przez Komisarzy, przy wjeździe do Gdańska.

2) Akty egzekucji z dnia 13 czerwca 1526; Śmierć od miecza ponieśli: 1) Kasper Neyemann, 2) Jan Mynke, złotnik i członek nowej rady, 3) Jan Netcak piwowar, 4) Wawrzyniec Bollhagen, 5) Joachim Nevemann-Steinbart i 6) Wawrzyniec Otto.

Do akt tych dołączone są wyniki śledztwa, poszczególnie do każdej sprawy się odnoszącego, oraz odpis wyroku królewskiego odczytanego, przed egzekucją, skazanym przez naczelnika pachołków

miejskich Jana Fischera. Wyrok ten ma brzmienie następujące: Jego Królewska Mość, Pan nasz najmiłościwszy, przybył do tego swojego miasta Królewskiego z powodu rozmaitych przestępstw i postanowił złych ukarać, a dobrych wziąć w obronę i okazać im szczególną łaskę swoją. Aby zaś wszyscy wiedzieli o przestępstwach stojących tu o to winowajców, nadmienić należy, że bezczelnie i zuchwale wykraczali w tym Królewskim mieście przeciw Bogu i Jego świętym sakramentom, przeciw niewysłowionej rodzicielce Boga Marii i wszystkim świętym, że szydzili z nich i wbrew staremu uświęconemu zwyczajowi Kościoła targnęli się bez wiedzy i woli Jego Królewskiej Mości na święte ceremonie, poznosili je i przyjęli nauki kacerskie, niezgodne z porządkiem dawnego i świętego prawa chrześcijańskiego, że złupili i obrabowali klasztory i kościoły i wszystkie duchowne osoby, jak zakonników, zakonnice i księży, pospędzali ich do jednego budynku lub też zupełnie z miasta wypędzili, gotując im tym sposobem zgubę, czego by nawet Tatarzy, Turcy i inni niewierni nie odważyli się uczynić. W następstwie nie wahali się także obalić świeckich rządów i usunęli burgrabiego, burmistrzów, radę, ławników i innych zaprzysiężonych urzędników w sposób gwałtowny z ich urzędów i ustanowili nową władzę, ustawy i prawa. Działa zaś ze zwykłych miejsc pozataczali na wały i mury przeciw Jego Królewskiej Mości i pozabierali do swoich i swoich przyjaciół domów, aby przeszkodzić spełnieniu woli Królewskiej. Wystawili samowolnie na rynku szubienicę i koło przeciw Jego Królewskiej Mości i dobru pospolitemu, powysa-

dzali w sposób zbrodniczy i gwałtowny bramy, a nie nasyceni jeszcze tymi wszystkimi zbrodniami chcieli doradców królewskich, których Jego Królewska Mość wysłał dla obrony dobrych, przed jego przybyciem do miasta uwięzić i brnąc coraz dalej we wszelkiego rodzaju przestępstwach śmieli wykonywać prawa, przysługujące jedynie Jego Królewskiej Mości i jego świętej koronie, dopuszczając się niesłychanych nadużyć, wywoływać zaburzenia, odbywać zgromadzenia na cmentarzu Św. Elżbiety i na dziedzińcu młyńskim. I tam według własnych zeznań wykraczali przeciw Jego Królewskiej Mości i pospolitemu dobru. Za długo byłoby opowiadać wszystko, co zeznali sami i co się okazało ze śledztwa. Jego Królewska Mość Najmiłościwszy i dziedziczny Pan, zważywszy tedy niesłychane zbrodnie tych ludzi i wiedząc dobrze, że według sprawiedliwości powinna ich spotkać ciężka śmierć, to jednak powodując się raczej miłosierdziem, aniżeli surowością praw, postanowił, aby zginęli tylko od miecza, iżby zbrodnie, do których się sami przyznali, nie uszły im bezkarnie, lecz spotkała je zasłużona kara. Jego Królewska Mość pragnie, aby każdy wziął sobie z tego przykład i strzegł się, i unikał podobnych zbrodni przeciwko Jego Królewskiej Mości Najmiłościwszemu Panu i pospolitemu dobru.

3) Akty egzekucji z dnia 19 lipca 1526 r. Śmierć od miecza ponieśli: 1) Jan Wendland, licencyjat obydwuch praw, człowiek bardzo uczony, 2) Jan Brusekorn, złotnik, który z kościołów srebro powynosił, 3) Karsten Steff, bednarz ze starego miasta, który podczas rozruchów został zarządcą Pucka,

4) Jan Schulz ze starego miasta, piwowar, który wyszedł z rozruchów ławnikiem, 5) Andrzej Heyke, piwowar, 6) Mikołaj Schultz, piekarz i 7) Jan Schultz, szyper, jeden z tych, którzy we wszystkich wypadkach najważniejszą i najbardziej buntowniczą odegrali rolę. Do akt dołączone śledztwo i ten sam wyrok, który był odczytany pierwszym skazańcom przez naczelnika policji gdańskiej Jana Fischera.

4) Akty egzekucji Piotra Königa, kowala, ściętego w dniu 20 lipca w Malborgu, dokąd jako więzień wywieziony był z Gdańska w dniu 15 maja 1526 roku.

5) Akty, dotyczące banicji czterdziestu obywateli gdańskich.

6) Akty, dotyczące wywiezienia i osadzenia w podziemiach różnych zamków pomorskich i pruskich dwudziestu trzech obywateli gdańskich.

7) Akty dotyczące skazania na areszt domowy trzydziestu sześciu obywateli gdańskich.

8) Odpisy edyktów religijnych wraz z odpisem rozporządzenia, polecającego odniesienie wszystkich zakazanych ksiąg luterskich do pomieszczenia Marszałka Kmity w Gdańsku.

9) Akty dotyczące nowej ordynacji miejskiej (Statuta Sigismundi I 1526) ze wszystkimi odnoszącymi się do nich załącznikami tak w dziedzinie politycznej i gospodarczo finansowej jak i kościelnej. Teksty nowych ustaw w takim brzmieniu, w jakim zostały ogłoszone ludności gdańskiej oficjalnie.

10) Polecenie radzie miasta Gdańska utrzymywania nadal trzystu żołnierzy dla utwierdzenia porządku w mieście.

11) Akt darowizny na rzecz miasta Gdańska

półwyspu Heli z wyjaśnieniem motywów tej szczodrobliwości Królewskiej (ułatwienie gdańszczanom rozwoju przemysłu rybnego).

12) Nominacja Bischoffa na pierwszego burmistrza i na Burgrabiego Królewskiego, z czym łączy się pensja na okres lat 10 w wysokości 250 grzywien rocznie.

13) Różne przywileje i dobrodziejstwa Królewskie dla niektórych radnych i urzędników rady miejskiej.

14) Ustanowienie opłat na rzecz Rządu Polskiego w wysokości 4000 grzywien rocznie, wzamian za udzielone Gdańskowi prawo zabierania na własność towarów i wszelkich pozostałości z rozbitych w pobliżu brzegów okrętów oraz pobierania cła od wprowadzanych towarów.

14) Ostateczne rozstrzygnięcie Królewskie sprawy ex-burmistrza Ferbera. Zatwierdzenie dawnego wyroku, dotyczącego zapłaty Ferberowi przez miasto Gdańsk, tytułem odszkodowania, ogólnej sumy 12000 grzywien (z rozłożeniem zapłaty tej sumy na sześć lat). Nominacja Ferbera na królewskiego doradcę pruskiego.

16) Akty dotyczące uroczystości królewskiej w Gdańsku, która odbyła się na Długim Rynku w dniu 18 czerwca 1526 r.

Kontrolę aktów przerwał Biskupowi Krzyckiemu Wicek, który oznajmił, że Król Jegomość wraz z marszałkiem Kmitą przeszli z komnaty królewskiej do kancelarii, gdzie rozmawiają obecnie z panem Zambockim i proszą, aby ksiądz Biskup był łaskaw na chwilę podejść do rozmawiających.

Krzycki podniósł się z krzesła, wszystkie papiery zlecił opiece archiwisty, zapowiedział rychły

powrót do przerwanej pracy i udał się do kancelarii.

Przeszkodziłem księdzu Biskupowi w przygotowaniach do podróży, odezwał się uprzejmie Król Zygmunt, ale skłoniły mnie do tego ważne i niepokojące nowiny, zakomunikowane mi przed chwilą przez pana Marszałka Kmitę. Pragnąłbym w tej materii, przed wyjazdem z Gdańska, zasięgnąć opinii Podkanclerzego Tomickiego. Czy ksiądz Biskup nie zechciał by mi tej narady ułatwić?

Z uwagi, iż pożegnalna uczta, wczoraj na naszą cześć przez Burgrabiego Bischoffa wydana, przeciągnęła się bardzo późno w noc, a zdrowie Podkanclerzego Tomickiego ciągle szwankuje, obydwaj postanowiliśmy dzień dzisiejszy poświęcić wyłącznie tylko wypoczynkowi i przygotowaniom do podróży, żadnych już wspólnych narad przed wyjazdem z Gdańska nie odbywać i spotkać się dopiero na jutrzejszym nabożeństwie w kościele Mariackim, bezpośrednio po którym cały Dwór Królewski miał wyruszyć w drogę powrotną do Krakowa.

Tymczasem plan ten chwieje się, wobec nowych niepokojących pogłosek. W obliczu zakomunikowanych mi przed chwilą niepomyślnych nowin, wydaje mi się, że krótka chociaż wymiana zdań z Podkanclerzym Tomickim byłaby bardzo pożądana. Proszę, niech ksiądz Biskup powie nam, jak czuje się dzisiaj Podkanclerzy? Czy był by w stanie po południu na chwilę zajść do mnie lub w ostateczności chociażby tylko przyjąć u siebie pana Marszałka Kmitę, który omówił by w moim imieniu najważniejsze kwestie?

Okazuje się, że chwasty nie wyrwane z korzeniem odnawiają się bardzo szybko! Ludzie zaufa-

nia zameldowali panu Marszałkowi, że tajne zebrania niektórych odłamów ludności gdańskiej znów się odbywają na krańcach miasta, a trafiają się kapłani, którzy w mowach swoich, jakkolwiek z wielkim umiarkowaniem i ostrożnością, czynią wciąż wzmianki o nowej nauce i reformie religijnej. Słowa te podobno znajdują życzliwy posłuch wśród pewnych warstw ludności!?...

Zwrot ksiąg kacerskich idzie jakoby również dosyć opieszale. Stosy druków zniesiono do mieszkania pana Marszałka Kmity, ale w mieście jest jeszcze wiele tajnych składów tych pism!

Wszystkie te wiadomości są mi niezmiernie przykre i bolesne! Widzę z żalem, że wytężona, tyle miesięcy trwająca, praca nasza nie dała w dziedzinie religijnej oczekiwanych wyników. Nasuwa się pytanie, co uczynić należy, aby te stosunki radykalnie uzdrowić? Przychodzi mi do głowy, że trzeba może jutrzejszy wyjazd odroczyć? pogłębić jeszcze dochodzenie i uzupełnić akcję sanacyjną w sprawach kościelnych? Jednocześnie Pan Marszałek Kmita słusznie porusza sprawę heretyckich pism i zapytuje, jakie będą dalsze losy zniesionych do jego mieszkania druków? Czy spalić je tutaj w Gdańsku? Czy może zabrać do Krakowa? tam skatalogować i spisy przedłożyć Stolicy Apostolskiej, aby orzekła, czy życzy sobie zapoznać się z treścią tych pism? czy też wszystkie bez przejrzenia zakwalifikować na stos? Zdaje się, że pan Marszałek Kmita ma jeszcze w tej kwestii jakieś zastrzeżenia, czy uwagi formalne do zrobienia? Wszak prawda panie Marszałku?

Należałoby wyjaśnić pewien formalny szczegół, odezwał się Marszałek Kmita. W swoim czasie

otrzymałem z kancelarii królewskiej, w związku z edyktem o księgach kacerskich poufną instrukcję, aby wszystkie, składane do mojego mieszkania przez ludność gdańską pisma, dostarczyć, przed wyjazdem z Gdańska, Biskupowi Drzewickiemu. Sądzę, że wykonaniem tej instrukcji naraziłbym Biskupa Drzewickiego na wiele kłopotów i nieprzyjemności. Najpraktyczniej było by moim zdaniem pisma te odwieść do Krakowa. Transport ich powierzyć naszym oddziałom wojskowym i dopiero w Krakowie, w porozumieniu ze Stolicą Apostolską, losy ich rozstrzygnąć. W ten sposób uniknęło by się ryzyka — bądź prób ich rewindykacji, bądź symulacyjnego zagubienia niektórych pism, podczas transportowania ich za pośrednictwem bezbronnej służby biskupa Drzewickiego. Co do tej sprawy przedewszystkim chciałbym zasięgnąć rady Podkanclerzego. Pozatem sprytni, a zaufania godni ludzie donieśli mi, że w sprawach religijnych stanowisko nowej Rady Miejskiej nie jest zupełnie wyraźne i przejrzyste. Dochodzą mnie głosy, że znane są już konkretne wypadki, gdzie radni miejscy wyrazili niechęć do przywrócenia w kościołach wszystkich dawnych form i obrządków.

Podobno niewinny pozornie punkt, wprowadzony naskutek zabiegów Bischoffa do nowej ordynacji miejskiej, przewidujący, iż proboszcz, który nie był by zdolny do wygłaszania kazań i pouczania ludu winien trzymać odpowiedniego kaznodzieję, za wiedzą i zezwoleniem Rady miejskiej, w życiu praktycznym dawać będzie Radzie miejskiej przemożny wpływ na sprawy kościelne nie tylko co do ich formy, ale i co do ich istotnej treści.

Dzięki tej klauzuli uznana została przez nas kompetencja Rady w obsadzaniu posad duchownych i w kwalifikowaniu kandydatów na te posady. W ten sposób Rada miejska, członkowie której są życzliwie usposobieni dla herezji, będzie mogła torować drogę nowej nauce, nie zdradzając zewnętrznie swoich przekonań i nie ponosząc za to żadnej odpowiedzialności.

Rozumie się, że w obecnej chwili mowy być nie może o zmianie treści tekstów ordynacji miejskiej dopiero co opracowanej i opublikowanej. Było by to posunięcie niezręczne i niebezpieczne. Mogło by osłabić powagę i doniosłość całego tego aktu prawodawczego, który w wielu punktach jest pomyślany niezmiernie głęboko i powinien mieć zbawienny wpływ na układ przyszłych stosunków między Polską i Gdańskiem. Tymczasem należało by zastosować jedynie metodę wzmocnionej czujności i kontroli. Instrukcja, w kategorycznej formie zredagowana, pod adresem Rady miejskiej, powinna spowodować duże otrzeźwienie w tych stosunkach. Władza Królewska może zażądać tymczasem, właśnie powołując się na wzmiankowaną klauzulę, wytężonej uwagi i ostrożności ze strony Rady miejskiej w dziedzinie spraw religijnych; może polecić wydanie formalnego zakazu tajnych zebrań ludności, cenzurę głoszonego przez kapłanów słowa bożego itp., pod groźbą wydania nowych, uzupełniających ordynację ustaw, wprowadzających stałą kontrolę, z ramienia władzy królewskiej.

Te wszystkie sprawy i wniosek przeze mnie nakreślony wypadało by przedłożyć Podkanclerzemu z prośbą o zajęcie stanowiska i wydanie opinii.

Sądzę jednak, że sprawy te nie powinny mieć wpływu na ustaloną już oficjalnie datę wyjazdu królewskiego z Gdańska. Część kancelarii królewskiej, wreszcie sam Podkanclerzy mógł by pod pretekstem choroby o kilka dni pobyt przedłużyć i wszystkie posunięcia taktyczne w stosunku do Rady Miejskiej formalnie załatwić.

Ja osobiście mógłbym również jeszcze dni kilka w Gdańsku pozostać, zatrzymać moje zbrojne poczty i część eskorty królewskiej i być pomocnym Podkanclerzemu w jego poczynaniach.

Jeżeli Biskup Krzycki uważa, że można będzie dzisiaj po południu parę chwil rozmowy u Biskupa Tomickiego uzyskać, chętnie udam się do mieszkania Mości Podkanclerzego i odbędę z nim naradę. Wieczorem około ósmej zdam sprawę ze wszystkiego Waszej Królewskiej Mości i poproszę jedynie tylko o sankcję królewską dla powziętych przez nas planów.

Jakkolwiek lekarz polecił dzisiaj Podkanclerzemu przez dzień cały łoża nie opuszczać, przemówił Krzycki, jestem pewny, że wuj Tomicki, czy to chory, czy to zdrowy, stawił by się na każde wezwanie Jego Królewskiej Mości. Jeżeli jednak mam być szczerym, to muszę podzielić stanowisko pana Marszałka Kmity. Prawda, że poruszone tutaj sprawy są pierwszorzędnej wagi. Dotyczą one stosunków religijnych w Gdańsku i wiążą się z tymi zagadnieniami politycznymi, uzdrowienie których wszystkim nam specjalnie leży na sercu. Ale sprawy te nie są w takim stadium, aby już wszczynać alarm! Aby manifestować nasz niepokój zmianą daty ogłoszonego oficjalnie wyjazdu królewskiego z Gdańska! Trzeba wyczekać, co czas i rozwój wy-

padków przyniesie i dopiero rzeczywistej groźbie walkę wypowiedzieć!

Przewrotom i zmianom, które w ostatnich czasach życie niesie ludzkości, nie zawsze można i należy uparcie się przeciwstawiać. Przychodzą mi w tej chwili na myśl słowa Jego Królewskiej Mości, własnoręcznie skreślone przed rokiem, w piśmie do Kardynała Czterech Świętych, protektora Polski, w związku z obawami Rzymu o losy Kościoła Katolickiego w Prusach: *„Nie wszystko się dzieje według naszej woli i przekonania, ale powoduje to w części niegodziwość tych czasów, w których się wszystko kłębi i przewraca do góry nogami!"* Słowa te w chwilach rozterki duchowej umacniają zawsze moją wolę i bronią mnie od zwątpienia, kiedy jestem pokonany przez *vis major*. Czynię, co jest w mojej mocy i czuwam!

Obecnie przychylam się w zupełności do wniosku pana Marszałka Kmity. Dwaj mężowie tej powagi i doświadczenia jak Podkaclerzy Tomicki i Marszałek Kmita z pewnością uporają się z zatrważającymi symptomami recydywy luterskiej. Nagłe odwołanie wyjazdu królewskiego z Gdańska i udział Króla Jegomości w tej akcji mógłby tylko wywołać niepożądane gawędy i domysły wśród gdańszczan.

Wygłoszone przez was, moi panowie, opinie i słowa odpowiedział Król Zygmunt są bardzo słuszne i przekonywujące. W każdym innym wypadku rozproszyły by one zupełnie moje niepokoje i wątpliwości! Dzisiaj jednak chodzi o Gdańsk! chodzi o spokojny niczem niezakłócony dostęp Polski do Bałtyku! W tych sprawach wydaje mi się zawsze, że wszystkie poczynania są zbyt nikłe, wy-

siłki — zbyt słabe, czujność — zbyt mała. Jednym słowem, sprawy gdańskie mierzę inną miarą niż sprawy innych ziem polskich. Bałtyk — to źródło mojej nieustającej, wiecznej troski! Tak zdaleka jak i zbliska!

Miłościwy panie, z patosem zawołał Krzycki, trudno wykazać więcej dobrej woli i światłości politycznej, niż ich wykazał w ostatniej rozprawie z Gdańskiem Król Polski. Historia przez wieki mówić będzie o sprawiedliwości i mądrości sądów monarchy polskiego w Gdańsku, a nasza święta wiara katolicka nie miała dotychczas obrońcy, który potrafił by z taką godnością i umiarem godzić przykazania kościelne z miłosierdziem Chrystusowym! Bóg da, że roztropne zarządzenia, jakie zawierają gdańskie statuty Zygmunta Pierwszego stanowić będą na długie lata podwalinę przyszłego harmonijnego współżycia Polski z Gdańskiem.

Król Zygmunt zadumany rozważał czas jakiś w milczeniu swoje troski gdańskie i po chwili z westchnieniem oświadczył: wszystko uczyniłem według najlepszej woli i najlepszego przekonania, a teraz niech się dzieje Wola Boża! Pójdę za radą waszmościów! Pan Marszałek Kmita będzie łaskaw odbyć w moim imieniu naradę z Podkanclerzym Tomickim i o wynikach zawiadomić mnie dziś wieczorem.

Jutro po nabożeństwie w kościele Mariackim wyruszam do Krakowa.

Przysłuchujący się tej rozmowie w drzwiach, prowadzących do komnat królewskich, Stańczyk zwinnie wskoczył na stół, zadzwonił swoim berłem trefnisia i prostując wątłą postać, przemówił z powagą:

Nie turbuj się Królu o zbawienie odszczepieńców gdańskich! Uczyniłeś, co było w Twojej mocy, resztę pozostaw sprytowi przemyślnych Hanzeatów!

Jeden tylko grzech, masz Królu na swoim sumieniu w stosunku do Gdańska, a za przykładem twoim grzeszą liczni polacy:

Wciąż się obawiacie, że Gdańsk oderwie się od Polski i niemieckim się stanie! Jesteście siewcami popłochu!

Macie pozornie zdrowe i otwarte oczy, a jesteście ślepcami!

Niema pod słońcem takiej mocy, która mogła by orła białego z tych murów wypłoszyć!

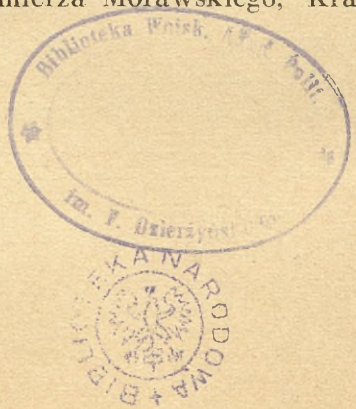
Mogą czasowo w Gdańsku zachodzić zmiany polityczne, bo historia jest jak morze, ma swoje przypływy i odpływy. Może tu chwilowo nie być żywych władz polskich, ale duch i godło Polski tkwić będą wiecznie! Kamienie i to, co jest w tym grodzie najciekawszego i najpiękniejszego, mówić będą ciągle o nierozerwalnej przez wieki łączności Gdańska z Polską. Stwórca świata i sama natura ustanowiła tę łączność. Gdańsk, jeżeli chce żyć i rozwijać się, musi należeć do Polski. Jeżeli oderwie się, uschnie prędzej czy później i zginie. Prawa życia są mocniejsze od polityki ludzkiej!

Miłościwy Panie! Kancelaria Królewska ma dzisiaj więcej, niż zwykle do czynienia z powodu jutrzejszego wyjazdu; przejdźmy więc, aby jej nie przeszkadzać, do komnat prywatnych. Muszę wydać rozkazy pokojowcom, aby godnie ułożyli do podróży moje berło z dzwonkami.

KONIEC.

ŹRÓDŁA:

Bunt w Gdańsku — A. Lorkiewicz 1881.
Polska Jagiellonów — L. Kolankowski 1936.
Czasy Zygmuntowskie — Kazimierz Morawski 1922.
Gdańsk a Polska — S. Askenazy 1919.
Walka o Bałtyk — A. Szelągowski 1904.
Rocznik Gdański (1933-6) — Dr. S. Bodniak
(Żołnierze morscy Zygmunta Starego).
Stary Gdańsk — Ks. Dr. T. Kruszyński.
Jagiellonki Polskie — Przeździecki.
Dwaj Zygmunci — Czarnowski 1859.
Beatrice d'Este Duchess of Milan — J. Cartwright.
1912.
Chrystus i Antychryst — D. Mereżkowski.
Krzycki (Critius) Andreas — Carmina.
wydanie Kazimierza Morawskiego, Kraków 1888.



B-ka Czytelnicza
8.X.47 r.

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP

34585/2